~~Dziecinne. Nr 106.~~ 20. centów

Da la Fiće Marza
Elik

ROZMOWKI
I
KOMEDYIKI
TOMIK I.

ROZMOWKI

KOMEDYIKI

POWIASTKI OBYCZAIOWE

dla małych dzieci



w Krakowie 1786.

Kosztem i Drukiem Ignacego Grebla Typografa i Bibliopoli
Jego Królewſkiey Mości.

DO

Jaśnie Wielmożney Pani

z Małachowskich

HRABINY

ANKWICZOWEY.

Troskliwá staránność JWWCP. Dobrodzieyki, żeby iak naywyborniey-szą mieli edukacyą, a tak Oyczyznie pomocą, Domu pociechą byli, Synowie i Córki JW Pani, iest dla mnie przyczyną, iż się ośmielam té rozmówki do Rąk szanownych Jey oddadź.

Matka usposabiaiąca swé dzieci do tego, co Religii, co Społeczności wpaia znanié: Matka toruiąca swém przykładém dla dzieci drogę, aby pierwszéy szacowały i zachowały ustawy, a drugiey nie ciężarem, ale ozdobą były: Matka idącá z Domów zacnych w naszey Polszcze, á złączona z naydawnieyszemi Familiami, lubo sama przez się baczné na wszelk é dzieci swych ruszenia ma oko: iednak

nie ufaiąc ſobie, gdy rady ſzuka, słucha, koſztu nie żałuie, żeby dzieci naydokładnieyſze miały wychowanie, czyliż niepowinna od wſzyſtkich zacnie urodzonych Matek bydż naśladowana? Takową ieſteś JW. Hrabino. Wſzak Domy, Małachowſkich i Hrabiów Ankwiczów, z których pierwſzego idzieſz, á z drugiem ściśle złączonaś, iakiemi czynami Rzeczpoſpolitą wsławili dosyć ieſt w Dzieiopisów weyrzeć.

Umieſz JW. Pani zaſzczyt, sławę, á nayſzczegulniey Cnoty Przodków i krwią ſpoionych żyiących Senatorów, zalecać codziennie ulubionym swoiem dzieciom. Żyyże Zacna Hrabino naydłużey tak dla uſzczęśliwienia swych Dzieci, iako, żeby Polki naypilniey wpatrywały się w Twóy przykład; tego życzy kochaiący Oyczyznę Obywatel, á wſzędzie ſzczycący się, że ma honor naylepſzą Matkę swych Dzieci znać i ſzacować z naypowinnieyszém uſzanowaniem.

JW. PANI

Nayniżſzy Sługa

Prokopowicz.

DO CZYTELNIKA.

Nié mamy Xiążek, któréby małym dzieciom ſtosuiąc ſię do niemowlęcego ich poięcia były do czytania nakſztałt zabawek podawané. Dzieła Pani de Baumont, acz za wyborné od niektórych poczytané, iednak powieści w nich dłużſzéy i wyżſzey wymagaiącé uwagi, do którey uczynienia małe dzieci niezdolné są, nudzą dzieci. Papkę dzieciom daią nie mięsné potrawy, podobnież do rozumku ich uſposabiané bydź powinny nauki, á raczey zabawki użyteczné, dziecinné rozmówki, niżeli nauki, aby tak w pierwiaſtkach pożycia swego nabierały ochoty, nie zaś wſtrętu, do nabycia potrzebnych wiadomości. Sposób prawdziwie dobry, użyty od JMC Pani de la Fite, za naywłaściwſzy niechay będzie dla pielęgnuiących dzieci. Skutek sam zażywania go mocniey dowiedzie o pożytku, niżeli pochwały i zalecenia temuż ſpoſobowi dawané.

RO-

ROZMOWKA PIERWSZA.

Matka, Julisia Corka, Annulka Siostrzenica.

Julisia.

Mamuniu, czy prawda że każda część roku ma swoié zabawki? Moia Kuzynka niechce temu wierzeć, nie bywszy nigdy w zimie na wsi, powiada, że nie można dobrze zabawić się.

Annulka.

Słyszałam nieraz mówiących, że w zimie nudné mieszkanié na wsi, bo nie masz ani balów, ani assamblów, ani żadnego spektaklu.

Julisia.

Upewniam cię moia Siostruniu, że mi się nie przykrzy z Mamunią, osobliwie kiedy mi z dobroci swoiey Historyyki powiada.

Matka.

Dobrze moie dzieci, otóż wam przeczytam Historyą, wiém że się podoba obiema.

DZIEN NARODZENIA.

Jedna zacna Pani, lubo doszła lat ośmdziesiąt, była wielkiey pamięci, powiadała swém dzieciom małem historye

bawiąc

bawiąc ie i nauczaiąc. Już ci dawno żyię na świecie, mówiła, i nie iedną rzecz widziałam; doznałam tego, że dzieci małé, które, wzwyczaiły się dobrze czynić, wyrosły pięknie, zarobiły na szacunek, zostały uszczęśliwionemi i ukochanemi od wszystkich. Przypominam sobie dwóch Panienek rozmowę, które urodziły się iedneg ż dnia, a obie były w ósmém roku. Już to temu lat dwadzieścia iak z sobą te dzieci rozmawiały, pamiętam ieszcze dobrze co gadały, iedna się nazywała Helusia, a druga Cecylka, Pierwsza rzekła

Dzień dobry Mcia Panno Cecylia, dobrześ przebyła rocznicę swych urodzin? *Cecylka.*

Wyśmienicie.

Helusia.

Ja miałam pozwolenie czynić tego dnia, co tylko mi się podobało. O iakżem była rada! a WCPanna?

Cecylka.

Ja bardzo to lubię, czego chce moia Mamunia, i to czynię z ochotą, dla tego byłam w dzień rodzin moich wesoła.

Helusia.

Nie czyniłaś więc tak iak chciałaś?

Cecyl-

Cecylka.

Przepraszam; moia Mamunia bardzo dobra, wié co mi przyniesdź moie ukontentowanié. Dała mi do woli, żebym ieden ze dwóch prezentów sobie wybrała.

Helusia.

Jakie prezenta? proszę powiedz mi, bardzo proszę ---

Cecylka.

Albo xiążkę albo kapelusz garnirowany.

Helusia.

Xiążkę! zapewne wybrałaś kapelusz.

Cecylka.

Nie zgadłaś, owszem przeciwnie.

Helusia śmieiąc się głośno.

Xiążkę! dziwną iesteś! wcale nie poymuię tego.

Cecylka.

I ia nie poymuię twego zadziwienia. Mam piękny kapelusz od słońca, na cóż mi drugi. A xiążki moiey Biblioteczki czytałam i odczytałam wszystkie, wolę tedy xiążkę nową; którą Mamunia bardzo zabawną nazywa; nie lepieyże pożytecznie zabawić się, niżeli się stroić!

Helusia.

A ia się w tedy zabawiam, kiedy się stroię.

Jak

Jak tylko doſtałam pieniędzy, i pozwolono mi co chcę z niemi zrobić, kupiłam natychmiaſt cztery wielkie piora rozmaitégo koloru, do mego kapeluſza, bukiet z włoſkich kwiatków wielki, i garnitur gazowy ſzamerowany suto ſtąſzkami. Rano w dzień moiego narodzenia kazałam pokoiowey, aby mię ubrała w to wſzyſtko co mam naypięknieyſzego, trwało ubranié całą godzinę, nigdym bardziey nie była weselſza. Lecz iakżem w krótce zasmuciła się! Pokoiowá ſkazuiąc na mnie palcem rzekła do iednego z służących śmieiąc się, patrzno ną Pannę iak się uſtroiła, ledwie się ruſza. Pobiegłam do Mamuni z użaleniem się, ale coby mnie miała użalić się, zdziwiła się na moié ubranie się, i na tem zakończyła, w tym ſtroiu żadnego nie maſz guſtu, ktobykolwiek cię tak ubraną widział, śmiałby się.

Cecylka.

Widziſz kochana Helusiu, że dobrześby była uczyniła, gdybyś się była wprzód Mamuni poradziła, niżeli miałaś kupować.

Helusia.

Biednam połowé pieniędzy ſtraciłam, musiałam albo uiąć ſtroiów, albo

nie

nie iechać na Komedyą, a bardzo sobie życzyłam. Płacząc rozbierałam się, gdy odpinano kwiatki pióra, i ſtąſzki. Ucieszyłam się przecie u ſtołu iedząc wiele paſztetu wybornego. Poiechałyśmy potem na Teatr. Lecz cobym miała bydź wesołą, znudziłam się, ponieważ grano Trajedyą, niczegom w niey nie zrozumiała. Czekałam z niecierpliwością, śpiewania i tancowania, które bydź miało. Ale co za nieſzczęście moie! Skoro zaczęto grać musiałam wyysdź z loży, duſzno mi było, a ia wiele byłam zjadła torcików pod czas obiadu, co mi nudność ſprawiło, i tak zasłabłam, że mię wyprowadzono i zawieziono do domu, położyłam się tedy bardzo smutná.

Cecylka.

Cieſzę się, że cię teraz widzę zdrową; sama moia Helusiu przyznaſz, że u złabyś była smutku, płaczu i nieſtrawności żołądka, gdybyś nie czyniła była tego coś chciała.

Helusia.

Powiedzże mi iakeś przepędziła dzień twoiego narodzenia rocznicę?

Cecylka.

Rano powiedziawſzy dzień dobry Mamu-

Mamuni i Tacie, uściſkali mię oboie, i przechodziłam się z niemi i z braciſzkiem i z sioſtrzyczką. Śliczny był dzień, po ogrodzie biegaliśmy, zbieraliśmy rożę, iasmin, dobrześmy się bawili. Powróciwſzy z ogrodu, wzięłam w rękę xiążkę upragnioną. Mamunia moiá, wieſz, że nie tak maiętna, iako twoiá, więc nie tyle mi dałá pieniędzy, ile twoiá tobie. Oto, daiąc rzekła, mało, lecz dosyć ci może bydź. Użycz z niey owemu Staruſzkowi nad którym wczora ubolewałaś, á reſztę daſz na podarunek poczciwey Maryi, która wiele użyła trudów pielęgnuiac ciebie. Podziękowałam moiey Mamuni, i poſzłam do moiey piaſtunki i rzekłam, moiá lubá tak się będę ſtarała zachować, że nie będzieſz utyſkiwała, iż przez tyleś nocy dla mnie nie zmrużyła oka. Jeźli kiedy przyydę do groſza, obaczyſz iż nie zaponnę o tobie, i gdy się zeſtarzeieſz mieć będę o tobie ſtaranie, tem czasem weź co ci daię z wiedzą Mamuni. Uściſkała mię za to ze łzami, i ia nie mogłam łez wſtrzymać, lecz bardziey byłam kontenta, iak kiedy się śmieię.

Helusia.

Ja tego nie rozumiém wſzyſtkiego.

Cecylka.

Atoli to prawda co mówię, wierzay mi.

Helusia.

Dobrze. Cóżeś dalcy czyniła?

Cecylka.

Prosiłam Mamuni, żebym czytała nową xiążkę, pozwoliła mi, a ia byłam bardzo rada. W zwykłą godzinę pięknych robót mię uczyła Mamunia, a potem kazała mi głośno czytać o latoroślach, kwiatkach, ptaszkach, robaczkach; xiążka ta nazywa się Historyi naturalney, bardzo ią lubią, a Mamunia z dobroci swoiey pozwala mi czytać i robić.

Helusia.

A ſi w rocznicę urodzin pracować!

Cecylka.

Dla czegóż to moia kochanko?

Helusia.

Ja nic nie robiłam tego dnia?

Cecylka.

Wierzay mi, że kiedy cały dzień nic się nie robi, wieczor nie dobrze zeydzie, czegoś nie dostaie, i samam z siebie nie kontenta.

Helusia.

Dobryś miała obiad?

Cecylka.

Zwyczayny. Mamunia dała mi trzy brzoskwinie.

Helu-

Helusia.

Wszyſtkie zjadłaś?

Cecylka.

Zatrzymałam dla siebie iedną, drugą dałam braciſzkowi a trzecią sioſtrzycce. Czytałam ieſzcze na moiey xiążce, uczyłam się Jeografii, i wſzyscy poſzliśmy ſpacerem na wieś, ia pobiegłam ku chałupie ſtaruſzka, siedział przy drzwiach wſparty na kiiu, i zdawał mi się chory. Dobry wieczor rzekłam, iak się maſz poczciwy Staruſzku; bardzo słabym, odpowiedział. -- Nażci na butelkę wina, odezwałam się, dzieci twoie w inney wsi mięſzkaiąc nie mogą cię pocieſzyć, żałuię ia tego, lecz my częſto cię będziemy nawiedzać. — O kochane dziecie! zawołał, niechay cię Bóg błogosławi, i życzył wiele dobrego Mamuni i nam wſzyſtkim. Byłam bardzo wesoła, że mogłam uczynić dobrze, tym których kocham i których znam. Przypomniałam ſobie że Paulusia moia sioſtrzyczka chciała lalki, a braciſzek Henryś bębenka, prosiłam Mamuni o pozwolenie, żebym te rzeczy pokupowała. Wſpomniałam także o więzniach w moiem pokoiku---

Helusia.

O iakich więzniach?

Cecylka.

Karmiłam robaczki iedwabné, zostały motylami, wszedłszy do pokoiku postrzegłam że były smutne, latać nie mogły tak osłabły. O biedné motylki, rzekłam, będziecie szczęśliwsze, żal mi z wami się rozłączyć, bo iesteście pięknintkie, lecz będziecie kontętnieysze na wolności, to mówiąc otworzyłam okno, wyleciały żwawie i usiadły na kwiatkach. Przed wieczerzą na chwile poszliśmy do ogrodu, i przypatrywaliśmy się xiężycowi, który przez liście przeszywaiąc odbiiał się w wodzie. Tatunio i Mamunia powiedzieli mi, że dobrze zaczęłam dziewiąty rok, a gdy tak zawsze będę się sprawowała, coraz mię będą bardziey kochać.

Helusia.

Nie miałaś więc naymnieyszey przykrości? a co ia gdy sobie przypominam bardzo wiele.

Cecylka.

Pewnie dla tego, żeś zapomniała starać się, abyś drugim przysłużyła się i przypodobała.

Julisia.

Ah! Mamuniu iakże to piękna rozmo-

zmowa! bardzo mi się podoba! rozumiem że ieszcze nieskończona.

Matka.

Będę daley ią ciągnęła. Dzieci teyże Pani podeszłey podziękowały i rzekły---

Służący wchodzi do pokoiu mówiąc.

Kobieta iakaś ktorey ia nie znam, chce z Panią mówić.

Julisia.

Co za bieda, że ta kobieta nam przeszkadza! Mamuniu nie możesz ią odesłać, i powiedzieć że iest zabawna, niechay iutro rano przyydzie.

Matka.

Moie dziecie, wiesz że trzeba bydź zawsze rzetelną; nie iestem tak mocno zatrudniona, żebym aż do iutra odwlekła mówić z temi, którzy chcą ze mną dziś mówić.

Julisia.

Prawda Mamuniu --- lecz szkoda że ---

Matka.

Za godzinkę dowiesz się czego chce ta kobieta, a lubo nam przerwała rozmowę, może i będziesz kontenta. Iestże uboga?

Służący.

Ubogo ubrana, i zdaie się bydź smutną.

Juli-

Julisia.

Ah! Mamuniu! rozumiém co chcesz mówić. Podobno ta kobieta nieszczęśliwą iest; potrzebuie Mamuni pomocy; miałabym serce złe i byłabym podobna do Cecylki; gdybym zabawiała ieszcze Mamunię. Podźmy moia Kuzynko pobawmy się.

ROZMOWKA DRUGA.

Matka, Anulka; Julisia.

Julisia.

Mamunia wczora nie miała czasu powiedzieć czego ta kobieta chciała, będzież wola Mamuni uwiadomić nas; co to była za kobieta, która nam przerwała historyą.

Matka.

Wartaś kochana Julisiu; żebym ci powiedziała; a to dla tego, żeś nad ciekawość słuchania historyi; przełożyła dogodzenie i usługę drugiey. Nieznaioma która przerwała nam czytanie historyi zdaie mi się uczciwą. Maiąc potrzebę podróży, o mil trzydzieści, wpadła w chorobę i w niey co miała grosza,

wyda-

wydała. Przybywszy do wsi stąd bliskiey chciała stanąć u swego krewnego; lecz go nie zastawszy musiała gdzie indziey szukać. Będąc tedy bez pieniędzy na zapłacenie gospody, udała się do mnie.

Julisia.

O iak dobrze Mamunia uczyniła, żeś się wczora z nią widziała, boby nieboga nie wiedziała kędyby miała przenocować.

Matka.

To cię powinno nauczyć moie dziecię, że skoro ci się podaie okoliczność z obowiązania kogo dobrze mu czyniąc, nie trzeba odkładać do jutra co możesz dziś uczynić.

Julisia.

Pewnie iey niktby nie przyiął we wsi na noc?

Matka.

Tak mi się zdaie: dla tego do mnie udała się.

Annulka.

Moia Ciotuniu, nie znasz tey kobiety, dla czegoż masz ią za poczciwą!

Matka.

Z układu iey poznać i z świadectwa które ma od osoby mi dobrze znaney.

Annulka.

Gdyby nie miała zaświadczenia, cz

by Ciotunia ią wſpomogła.

Matka.

Małé to wſparcié, nie odmowiłabym go.

Annulka.

Ale przykrá ieſt bydź oſzukaną.

Matka.

Przykrzeyſza mieć podeyrzanié, i brzydká, a do tego kiedy ſię nie wſpomaga ubogiego który może bydź prawdziwie potrzebny.

Julisia.

Mamunia uczyni nam łaſkę daley ciągnąc hiſtoryą wczorayſzą.

Matka.

Chętnie to uczynię. *Czyta.*

Dalſzy ciąg hiſtoryi o dniu Narodzenia.

Dzieci owéy Pani ośmdzieſiątoletniey, pięknie podziękowały i odezwały ſię, o co za rozmowa zabawná! — Nie ſkończyłam ieſzcze rzekła Pani, ſłuchaycie daley. Słyſząc to com wam powiedziała, sama do ſiebie mówiłam. Założę ſię że Cecylka będzie ſwégo czasu naymilſza, Rodziców swych pociechą, Męża uſzczęśliwi, wychowa dobrze swe dzieci, i wſzyſcy dobrzy sercem, ukochaią ią. Helusia zaś ieżeli ſię nie poprawi w błędach swoich prędko, nieſzczęśliwą zoſtanie. Otoż uſłyſzycie

mōié

moié kochané dzieci żem zgadła. W dzieśięć lat po rozmowie między Helusią i Cecylką, poiechałam z Baronową Rychardyną i Synem iey do dóbr które kupił Baron; bliſkie były owſzem graniczące z wsią w którey mięſzkali Rodzice Cecylki. Przechodząc śię nazaiutrz uyrzeliśmy Panienkę wychodzącą z domoſtwa iednego z dwoygą dziećmi Panienka, ta była przyiemna, rzekła Pani Rychardyna, i znać z fizonomii że poczciwa. Przyſtoyna; zaprawdę odezwał śię Pan Rychardyn, ſpytam śię owego ſtaruſzka który za nią patrzy, iakby śię zwała. Powrócił śię natychmiaſt powiadaiąc, że śię ta Panienka nazywa Cecylia i że Rodzice iey mięſzkaią w bliſkiey wiosce. Ah! zapewne ta to ieſt Cecylka rzekłam; nie poznałam iey tak podrosła: opowiedziałam Baronowſtwu iey rozmowę z Helusią przed dzieśiącią lat, pytał śię mię Baron czy pamiętam? Dorozumiewacie śię moie dzieci że dobrze pamiętałam, kiedy i teraz nawet pamiętam. P. Rychardemu bardzo śię podobała. Nazaiutrz poſzliśmy z wizytą do Rodziców Cecylii. Powiedziano nam że Oyca nie było w domu, Matka zaś chorowała i widzieć śię z nami nie mogła,

Pytaliśmy się o Pannę Cecylią, i zaprowadzono nas do sali w którey siedziała między dwiema Siostrami swemi robotę im pokazuiąc, á mały ich brat pięcioletni czytał głośno. Sama zaś Panna Cecylia dla brata swego Henryka pas wyszywała do bębenka, lecz skoro nas obaczyła pracować przestali. Cecylia przyięła nas przyiemnie i mile nas bawiła. Grasz WCPanna na klawikorcie spytał Pan Rychardyn! — Trochę, abym dopomagała moiey Siostrze Paulinie śpiewaiącey — Moia kochana Siostra Panna Cecylia nauczyła mię śpiewać rzekła Paulina á mnie już uczy pisać odezwał się Karolcio. Cóżeś WCPan dopiero czytał zapytałam się tego dziecięcia — Odczytywałem historye, ktore Panna Siostra Cecylia dla mnie napisała — Będzież wola WCPana nam którą przeczytać, upewniam WCPanią mowiła Panna Cecylia, że te historye nie będą do gustu WCPani, bo są dla malutkich dzieci. — Nic nie wadzi, iá takowe lubię — Powiedzże którą rzekła do brata. Karolcio bez odwłoki głosem i tonem wyraźnem z przymileniem zaczął powiadać. Przypominam sobie o tey co w niey iest.

O Sli-

O Sliwie i Moreli.

„ Jaś zabawiał się biegaiąc po ogrodzie w którym na śliwinie było dosyć sliwek i doyrzałych. Jaś dziwuiąc się, rzekł do Oyca. Tatuniu możeż urwać iaką śliwkę, nie można tego czynić odpowiedział Oyciec — á dla czegoż moy Tatuniu? troszkę zmięszany spytał się Jaś — Na co Oyciec, dla dwóch przyczyn. Ten ogrod nie należy do mnie, i byłaby rzecz niegodziwa brać co cudze iest. A druga przyczyna móy Tatuniu? żeś iest bardzo młody, nie dostaniesz ich. Nazajutrz przechodził się sam Jaś po ogrodzie Oyca swego, widział na drzewie dostatkiem moreli, które bardzo lubił. Chciałbym iednę albo dwie urwać, mówił sam do siebie. Tatunia nie masz, Ogrodnik nie widzi, i nikt o tém wiedzieć nie będzie. Lecz nie zerwę. Tatunio nie kazał, gdybym zerwał byłbym nieposłuszny i podobnym do niedobrego dziecięcia, wolę odeyśdź i nie patrzyć na drzewo. Oyciec słyszał to wszystko, którego Jaś nie postrzegł. Poydź do mnie naymilsze dziecię rzekł Oyciec do Syna, bardzo mi się podobász chcia-

„ łeś iednę albo dwie morel, otóż masz
„ sześć.

Druga historya o Fryderyku i Danielu.

„ Pewna Xiężna ułożyła dadź bal dla
„ wszystkich dzieci w piątem, szóstem
„ będących roku, którzeby umiały czy-
„ tać Sługa Xiężny spytał się małego
„ chłopczyka imieniem Daniela, umiesz
„ WCPan czytać, umiem wyśmienicie,
„ odpowiedział Daniel -- á WCPan spy-
„ tał się sługa małego Fryderyka brata
„ Daniela --- umiem trochę odpowiedzia-
„ ła milutka dziecina Fryderyk. Więc
„ obadwa przyidziecie na bal. Fryde-
„ ryk i Daniel nazajutrz przyszli do
„ Xiężny. Wprowadzono ie na salę
„ pełno światła maiącą, zastali muzykę
„ i wielu oboiey płci dzieci. Niżeli
„ zaczęli tańcować, każdemu dam de-
„ wizkę powiedziała Xiężna, otoż masz
„ kochany Frydrysiu otwórz i czytay
„ co iest we środku. Frydryś otwo-
„ rzył i czytał głośno.

„ *Dzieci dobré nadgrodę odbierą.*

„ Wyśmienicie bez żadney omyłki
„ czytasz rzekła Xiężna. A ty Danielku
„ iesteś starszy od brata czytasz wy-
„ śmienicie, sam powiedziałeś, patrz
„ co iest w twoiey dewisce napisano.

Daniel

„ Daniel otworzył, lecz nie mógł prze-
„ czytać, iąkał się á wszystkie dzieci
„ z niego śmiały się, iedna panienecz-
„ ka wzięła i czytała głośno.

„ *Dziecię kłamliwe będzie ukarane.*

„ Przykro mi to iest Xiężna ode-
„ zwała się, że nie możesz zostać na
„ balu Panie Danielu. --- Dla czego?
„ --- Dla tego że nie umiesz czytać,
„ i prawdy nie mówisz. Sługa odpro-
„ wadził Daniela do domu. A kiedy,
„ on w domu płakał inne dzieci skakały.
„ tańcowały, śpiewały Dano im pię-
„ kną wieczerzą iabłka, gruszki, po-
„ marańcze, androty, biszkobty i inne
„ dobré rzeczy. Xiężna pieściła się z
„ Frydrysiem i co było naylepszego da-
„ wała mu. Frydryś przybiegł prędko
„ do brata i zastał go ieszcze smutne-
„ go. Ty użyłeś uciechy rzekł Daniel z
„ żalem, na co Frydryś, bardzieybym
„ się był cieszył, i gdybyś był bracisz-
„ ku na balu, --- Zaiste miałeś dosyć
„ wszystkiego na wieczerzą á ia tylko
„ kawałek chleba suchego ---- Móy
„ braciszku mówił Frydryś, nie iadłem
„ ia ani biszkobtu ani pomerańczy, oto
„ masz, weź, nie smuć się „

Pochwaliliśmy Karolcia i iego Ochm-i

strzy-

ſtrzynią. Baronowa wpatruiąc ſię z zadziwieniem w przymioty Cecylii, powiedziała, że prosić będzie iey Rodziców, aby dozwolili iechać z nią do miaſta na iaki mieſiąc, podczas zimy dodała będziemy bywać na balach i komedyach. Podziękowała z wdzięcznością Panna Cecylia Baronowey przepraſzaiąc, że nie może zadosyć uczynić żądaniu Jey --- á to dla czego? --- Bo zdrowie ſłabé Matki moiey, bardzoby ſię trudziła nie maiąc ktoby dopomał ſtaraniu iey koło dzieci. Polega na mnie, i tak radam bydź użyteczną że nie mogę Matki moiey odſtąpić.

Cóż to ieſt czego płaczeſz, pytałam ſię Karolcia, dziecie zamiaſt odpowiedzi uchwyciło za kolana swą Sioſtrę, ſkryło swoią główkę, i wołało, moia kochanko, moia Sioſtrzyczko, moia Cecyluniu nie odieżdżay od nas.

Po południu dnia naſtępuiącego, wſzedł do mego pokoiu Pan młody Rychardyn i pytał ſię mię. Wieſz WCPani gdzie dziś byłem rano? Oto u owego Staruſzka od którego onegday widzieliśmy wychodzącą Cecylią.

A dla czegoż WCPan go odwiedzał? --- Żebym więcey o niey ſię dowiedział ---

I cóż

I cóż WCPanu oznaymił? ---
Oto to, że Cecylia iest Aniołem, od dziesiąciu lat czyni temu Staruszkowi dobrze, co tydzień przychodzi do niego, wyiąwszy rok ieden przez który bawiła się w mieście u swoiey Ciotki. Tam tak postąpiła w Muzyce i rysunku. że teraz uczy swoié Siostry. „ Wiém o tem, mó-
„ wił mi Staruszęk od sługi Oyca iey,
„ ponieważ nigdy o sobie nie mówi Ce-
„ cylia. Mówił mi i o tym że rzadko
„ widział ią stroyno, ponieważ oszczę-
„ dzą na stroie, żeby więcey miała na
„ ubogich. Młoda iest Mospanie, lecz
„ cnotliwa szacuię ia ią, i kocham iak-
„ by była moiém dziecięciem. „

Wierzyszże WCPani, iż ia byłbym szczęśliwy maiąc takową Zonę iaką iest Cecylia? daley mówił młody Rychardyn, wiém o tem, że nie iest bogata, lecz przyiemność i cnoty są nad bogactwa zacnieysze. Co za różnica między Heleną i Cecylią?

Już dawno widziałem Helenę iakié WCPani o niey zdanie? Nie lubię ia moia Pani o błędach cudzych rozmawiać, lecz muszę co mam w sercu wyiawić. Wiadomo WCPani, że man fortunę, iednak Matka chce ia powię-

kszyć,

kſzyć, dla tego życzy abym ożenił ſię z Heleną. Słyſzałaś WCPani, że ieſt miła, i ma niektóre przymioty lecz sama w sobie kocha ſię, nie ſtara ſię żeby ią lubili służący, hardzie do nich gada, rownych lekce waży, woli Matki swey przeciwi ſię. Ma dowcip, lecz nieświadoma rzeczy, bo cały czas trawi przy gotowalni, albo na wymyślaniu ſtroiów, reſztę dnia przebywa na wizytach przechadzkach, grze i Spektaklach. Jednego wieczora dowiedziawſzy ſię, że Matka iey była chorá zadziwiłem ſię uſłyſzawſzy o Córce o ten czas na balu będącey. Od tego momentu ſtraciłem do niey serce.

Przyobiecałam memu przyiacielowi Rychardowi, że będę iego ſtronę utrzymywała przed Matką jego.

Pani tá lubiła pieniądze, ale bardziey kochała Syna swego, przeto dozwoliła mu aby zamiaſt ſtarania ſię o Helenę, uſiłował podobać ſię Cecylii. Rodzice Cecylii zabrali znaiomość z Panem Rychardynem, radzili swey Córce, żeby poſzła za niego, ponieważ miał serce dobré i umiał używać czasu. Zezwoliła więc, żeby była Żoną Pana Rychardyna, pod warunkiem aby krótko

bawi-

bawiła się w mieście, nie nadługo oddalaiac się od familii. Zezwolił na to P. Rychardyn chętnie i po ślubie Cecylia zabawiała się edukacyą Korolcia.

Dowiedziałam się w lat kilka, że Helena bez radzenia się Matki, poszła za Mąż za młodego podobnież iak sama płochego, ani przymiotow dobrych ani fortuny maiącego, który wychwalał Helenę, że lubiła się stroić, i menweta dobrze tańcowała. Matka Heleny rozgniewana iey zamęściem, nie chciała oney widzieć i małą pensyą naznaczyłá. Helena przywykła nic nie robić, została nieszczęśliwa. Coby miała rano wstawać wchodzić w gospodarstwo, sypiała do dziewiątey, dziesiątey godziny, fryzowała się i ubierała długo, pieniądze na fraszki trwoniąc. Mąż iey nie szacował, i kochać iey nie chciał ponieważ zaniedbywała o swych powinności wykonaniu: nie mógł przyiaciół w domu swoiem miewać, ponieważ Żona była obrykliwa, dumna, dzieci iey były krnąbrné uparté ponieważ Matka nie umiała wychowywać i niedbała o nie. Zostałaby naostatek nayuboższą, gdyby nie Cecylia --- Cecylia u wszystkich miała taki szacunek, że o co tylko prosiłą

natych-

natychmiast dla niey uczynio. Jednego dnia przyiachawszy do Miasta udała się do Matki Heleny prosząc aby darowała urazę swey Córce. Na prożbę więc Cecylii Matka Helenę i dzieci iey do siebie sprowadziła---Otóż moie dzieci lubo przydługa historya, rzekła Pani osmdziesięcioletna, dodam ieszcze iednak nieco. Oddano mi dziś list od iednego z dawnych moich przyiaciół, który dni temu kilka iak był u Pani Rychardyny, á to w sąm dzień obchodzenia rocznicy urodzenia iey. Nie czyniła więcey dobrego w ten dzień iak w inne, bo codziennie czynić nie opuszcza; od owego czasu iak została bogatą nie ma we wsi iey żadnego nędznego, ieżeli który zachoruie posyła do niego Lekarza doskonałego, rozmawia z wieśniakami, bawi się z dziećmi ich. Podźmy do iey dnia urodzin obchodzenia. Tego dnia wszystkę młodzież wieyską zgromadziła do Zamku; Dzieci Cecylii ubrane były biało i w kwiatki, rozdały bukiety z wstąszkami: kazała Pani im dadź wieczerzą, po tem zaprowadzeni do mieysca oświeconego lampami, wieśniacy tańcowali śpiewali przez część nocy.

O ko-

O kochana Babuniu, odezwały się dzieci, dziękuiemy za tak piękną historyą, niechcemy naśladować Heleny, ale wszyscy starać się będziemy bydź takiemi, iak Cecylia.

Julisia.

I ia Mamuniu będę usiłowała bydź Cecylią albo takową iak Mamunia, bo to iedno. --- Nic nie mówisz Anulku nie zabawiłaż ta cię Historya?

Annulka.

Prawdziwie zabawna! iednak -- --

Matka.

Cóż chcesz mówić moia kochanko? miey mię iak za Matkę, bądź śmiała, nie lękay się.

Annulka.

Moia Ciotuniu, lękam się abym nie była podobną do Heleny, dla tegom smutna. Boię się żebym nie była nierozsądna nieumieiętna iak oná, wiele w tey historyi rzeczy nie rozumiém; i to mię trapi, że Julisia młodsza odemnie bo ia mam dziesięć lat á ona ośm, więcey umie odemnie.

Matka.

Przybliż się moie dziecię niechay cię uściskam, wyznanie twoie tak bardzo mi

ſię podoba, że cię mocno kocham. Wielu ludzi wſtydzi ſię nie dla tego że. są nieumieiętnemi, lecz wſtydzą ſię wyznać, że takowemi są; ieſt naylepſzy ſpoſob nabycia wiadomości tak poſtępować iak ty moia luba Annulku.

Julisia.

Annulka nie ieſt podobna do owey Królowy o którey mi Mamunia powiadałá.

Matka:

Zaprawdę nie. Do tego, nie było to iey błędem że nie miała dobrego wychowania. Powiedzże mi czegoś nie zrozumiała w hiſtoryi?

Anulka:

Oto naprzykład tego ſłowa nigdy nie. wy-- wylin--

Julisia:

Wylinka, pewnie.

Annulka:

Tak podobno. I tego poiąć nie mogę że Cecylia rozsądna zabawiała ſię karmieniem gąſienic brzydkich robaków których ſkoro ſię dotknie zaraz ſzpecą i ſzkodzą.

Julisia:

Mylisz ſię Annulku nic złego nie czynią.

Matka.

Jeſt przesąd trzymać, żeby gąſienice były trucizną. Prawdá,, że ieſt gatunek

gąſie-

gąsienic z któremi ostróżnie obchodzić się potrzeba bo skórę nie co trzymaiąc ie w ręce, szpecą, ale nie są zaraźliwe i są trucizną.

Annulka.

Co to iest przesąd moia Ciotuniu?

Matka.

Jest sądzić spiesznie, prędko, bez zastanowienia się, o własnościach iakiey osoby, albo iakiey rzeczy nie wszedłszy w nią nie poznawszy iey, tak czyniąc błądzić się zawsze zwykło.

Julisia.

Mówiła mi Mamunia raz co za różność iest między błędem i niewiadomością, i zapomniałam.

Matka.

Niewiedzieć iakiey rzeczy, iest nie mieć żadnego iey wyobrażenia; bydź zaś w błędzie iest fałszywe mieć wyobrażenie rzeczy iakiey. Naprzykład, gdybym się spytała wieśniaka młodego, gdzie iest Konstantynopol? odpowiedziałby mi, że nie wie: gdybym się o tóż samo spytała młodego który się uczył Jeografii i zapomniał, i odpowiedziałby że Konstantynopol iest miasto Stołeczne Polski.

Julisia.

Ah! przypominam sobie teraz moia

Mamu-

Mamuniu, w tem przykładzie, wieśniaczek byłby niewiadomym, á ow młody zbłądziłby. *Matka.*

Powroćmy ſię do przesądu czyli uprzedzenia, można go miec za kim i przeciwko komu naprzykład, przez ćwierć godziny ſłyſząc rozmawiaiącą osobę, którą pierwſzy ſię raz widzi, gdyby ſię wniesło że ieſt rozumna, mądra, roſtropna, cnotliwa, możnaby ſię ofzukać w mniemaniu. Trzeba ſię wyſtrzegać uprzedzenia żeby nie ſądzić tey osoby którey nie znamy, ani iey na samą powierzchowność patrząc, potępiać. Naprzykład gdybym mówiła o tobie kochana Anulku. Ta córeczka nie ieſt wychowana od Matki swéy, żyła u Pani iedney wielkiego świata, która nie miała czasu ani kazać ią uczyć czytać, ani bawiła ſię z nią, Guwernantka zaś uczyła proſto ſię trzymać co nieco dłubać. Annulka wybiegała częſto, prowadzona bywała na Bale, na Komedye, nie lubi na wśi mieszkać i obcować z iedną Panią i Córką iey która więkſzą połowę czasu łoży na nauczaniu Córki swoiey i rozmowy rozsądné, płocha ta ieſt Panienka nie podoba ſię iey takowe pożycié. --- Nie myliłabym ſię tak mówiąc.

Annul-

Annulka.

W samey rzeczy, bo ia moia Ciotuniu bardzo lubię z Ciotunią zabawiać się.

Matka.

Więc nie bez przyczyny mówię. Annulka ma dobrego serca grunt i rozum, powinna kochać swą Ciotunię, która ią chce uczyć i do wszystkiego dobrego naprowadzać.

Annulka.

O bardzo kocham Ciotunię! Julisia mi powiedziała, że przed przyiazdem moim Ciotunia naśladowała Matkę Cecylii, która iey czytywała co z Historyi Naturalnéy. Julisia twierdzi, że bardzo to iest zabawna, ia nigdym nie słyszała.

Matka.

Dobrze, jutro zacznę moie nauki, pomowiemy o gąsienicach, robaczkach, o których iesteś Annulku uprzedzona.

ROZMOWKA TRZECIA.

Matka, Julisia, Annulka.

Matka.

Nabawiliściez się dosyć moie dzieci?

Annulka.

Dosyć nachodziliśmy się moiá Ciotuniu, dzisieyszy bowiem bardzo piękny dzień iak na zimę. O iak się na-

 szuka

ſzukałam ſię gąſienic i żadney nie znalazłam. Dla czegoż teraz nie maſz.

Julisia.

Mówiłam ci moia Sioſtrzyczko, że drzewa teraz nie maią liści. I że robaczki nie mogłyby zimna wytrzymać.

Annulka.

Alboż te gąſiennice którem widziała w lecie pozdychały?

Matka.

Nie, iedne odmieniły kſztałt swóy, drugie pokryły się przed zimnem, á te które zdechły zoſtawiły iaia.

Julisia.

A po tém gdy podczas wiosny ſłońce ogrzeie wylęgną ſię.

Annulka.

Gąſiennice czy ſię wykluwaią z iay?

Matka.

W samey rzeczy. Słońce gdy dogrzeie gąſienniczki wylęgnione parchoweczkę przegryzaią, o tenże czas liſteczki młodziutkie wypuſzczaiąc drzewa daią wyżywienie gąſienniczkóm.

Julisia.

Co za cudowne rozporządzenie! gdyby gąſienniczki wylęgały ſię wprzód niżeli naſtąpią liſtki, zapewne z głodu pozdychałyby, á tak ani mielibyśmy wylinek, ani motylów.

Matka.

Każda rzecz ma swoie rozporządzenie od Naywyższego. Innego czasu wam moie dzieci mówić będę o robaczkach, teraz przypomniałam sobie pilny interes, zabawcie się z sobą. &c.

ROZMOWKA CZWARTA.

Matka, Julisia, Annulka.

Julisia.

Mamuniu bardzo markotnam iest, że po Niemiecku nie rozumiem. Widziałam xiążkę, w pokoiu Mamuninym, z napisu i obrazków w niey dorozumię, wam się że dla dzieci zrobiona aby łaska była Mamuni nam co przetłomaczyć.

Matka.

Poprzedziłam prozbę twą, przynosząc wam Komedyikę, wiem że się wam podoba.

Annulka.

Przetłomaczyć? nie iest to rzecz trudna.

Julisia.

Jako i wynaleśdź. Mamunia układa dla mnie historye, iako ową o Królowy małey o którey ci powiadałam. Pewna iestem kochana Annulku że cię bardzo zabawi. Prosiemy Mamuni żebyśmy ią kiedy odczytali.

Matka.

Chętnie pozwalam.

DOSWIADCZENIE MIŁOSCI SYNOWSKIEY

KOMEDYIKA.

OSOBY.

P. Dormont Oyciec Karola i Gwilelma.
P. Dorywal Wuy obydwóch.
Karol } Synowie Dormonta.
Gwilelm }
P. Bonsekur Kupiec.

SCENA PIERWSZA.

Gwilelm *sam płacząc.*

Ah! wolałbym umrzeć! - - - - Co za nieszczęśliwy iestem! - - Wziąłem w gębę i nie zasłużyłem - - - Alboż to moia wina że nie iestem tak piękny iak Karolek - - i że nie umiem - - - nie umiem tak podchlebiać iak on? i nie mogę i nie będę, chociażby mię to miało życie kosztować - - - Gdybym nie kochał Oyca mego tak, iak kocham, i gdybym nie poczytał za zły postępek uciekać iużbym dawno uszedł z domu Oyca mego. - - - Może i uczynię tak - - ale - - nie uczynię - - - będę przy moim Oycu, chociażby i bił bez przyczyny - - - I któż wie, ieżeli nie pozyskam serca Oyca mego!

SCE-

SCENA DRUGA.

Dorywał. Wuy, Gwilelm.

Wuy *słyſząc oſtatnie słowa.*

Chociażby żaden nie miał do ciebie przywiązania, ia zawſze mieć będę. Poydź móy Gwilelmie, porzuć ten dom, mięſzkay u mnie, gdy Oyciec nie lubi ciebie, ia Wuy twóy kocham cię. *chce go prowadzić z sobą.*

Gnilem.

Proſzę móy Wuiaſzku, puść mię, ia powinienem bydź w domu Oyca mego.

Wuy.

Albo ci będzie źle w domu moim?

Guilelm.

Wierzę że bardzo dobrze z łaſki Wuiaſzka, wolę iednak ia bydź w domu Oyca mego, możeby ſię nie gniewał gdybym oddalił ſię od niego.

Wuy.

Cóż maſz uważać, kiedy zawſze gniewa ſię na ciebie.

Guilelm.

Nic -- nie -- móy Wuiaſzku, nie powinienem ia dawać przyczyny Oycu memu do uczynienia mu przykrości.

Wuy.

Chceſzże aby z tobą obchodził ſię

po

po grubiiańsku, z mieysca na mieysce przeganiał ustawicznie cie beształ, i bił, lubo na batogi nie zasługuiesz.

Guilelm.

Prawda że to iest przykra --- Lecz cóż mam czynić! Oycem moim iednak iest -- Nie moia rzecz uskarżać się na to --- i nie wierzę żeby się tak gniewał na mnie, iak się zdaie --- Jeżeli móy Wuiaszku chcesz mi łaskę wyświadczyć, o to proszę wyiednay abym widział się z Oycem moim naykochańszym, i żeby nie był zły na mnie. Na braciszka mego gniewać się nie będę, chociażby mię iak chciał, tak bił.

Wuy obłapiaiąc.

Nie turbuy się moié dziecie, nie znam tobie podobnego.

Guilelm

Obiecuieszże mi Wuiaszku Dobrodzieiu?

Wuy

Cóż takiego mam obiecać?

Guilelm

Przebłagać mego Oyca?

Wuy

Dobrze, uczynię tak. Jeżelibym tego nie uczynił, nie nazwiesz mię więcey twym Wuiem, albo ieżeli cię nié wezmę do domu mego. *daie mu rękę i całuie go.*

SCE-

SCENA TRZECIA.

Oyciec, Karol i ciż sami.

Oyciec.

Otóż pięknie! pieścić hultaia, którego Oyciec ukarał! *do Guilelma.* Precz ſtąd, patrzać na cię nie mogę -- Jak to ſtoi! rozumianoby że trzech zliczyć nie umie! Aniołeczek! Widziſz Karolka o iak to miłe dziecię! á ty! iuż mi nie ſtaie ſpoſobu --

Wuy z gniewem.

Móy bracie! --- Jednak --- dobrze, póydź ſtąd Guilelmie *do Karola* i WCPan Mościwy Panie, zoſtać chcemy sami. *Guilelm odchodzi.*

Karol.

Nie maſz mi prawie roſkazować, nie ieſtem WCPana Synem mam Jgmci Oyca mego wtedy poydę, kiedy mi roſkaże.

Oyciec do Guilelma.

Cóż ci dziecię uczyniło? Swywolniku.

Wuy

Trzebaby zgłupieć --*do Karola* Jdźże. ſtąd bo obaczyſz. ---

Oyciec

Jdźże iuż móy Karolku.

Karol.

Wiadomo Jgmci Oycu że bardzo lubię zawſze bydź przy nim. Co za nieſzczęście moie że muſzę odeysdź.

Oyciec

Wiem moie dziecię kochane, lecz iuż uczyń iak chce twóy Wuy, ma coś zemną mówić, wrócisz się nie zabawem.

Karol.

Ponieważ taka wola Jgmci Oyca, to i póydę. *Do Wuia*, nie czynię tego Panie Wuju, żebym cię kochał.

SCENA CZWARTA.

Oyciec i Wuy.

Oyciec

Czasem ten móy Karolcio sowierzdrzałek nie prawdaż bracie!

Wuy żwawo mówiąc.

Słuchay -- ty iesteś, -- takem się rozgniewał że -- mówić ledwie mogę, --- ty iesteś nie dobrym Oycem, rozumiesz? -- Oświadczam ci bracie, iż móy testament odmieniam, na szeląg złomany nie dam, niedobremu Karolowi.

Oyciec

Nie gaday tak głośno! ochłoń nieco z gniewu, miey rozum.

Wuy

Owszem ty go mieć naucz się! i zgadzaszże się z dobrym rozumem? Guilelma besztać, bić, tłuc wyganiać ---

Oyciec

Ale uważ ---

Wuy

Wuy

Nie ma nad czem głowy suſzyć, widziałem memi oczyma. Nic dobrego, obłudnik, filut Karol tak pięściami zbił Guilelma że omdlał z bolu, i że ſkrzywił ſię na Karola ty biieſz Guilelma i precz mu isdź każeſz --- Nie ieſtże rzecz ſtraſzna!

Oyciec

Cóż to znaczy? Któż to widział że Karolek bił Guilelma!

Wuy

Kto? ia sam widziałem na moię oczy.

Oyciec

Karolek ---- to bydź nię mogło.

Wuy

Nie mogło? to ia u ciebie kłamcą?

Oyciec

Nie --- ale mowmy bez gniewu.

Wuy

Jakże nie mam ſię gniewać, kiedy moie przekładania, które ci tylo razy czyniłem, nic u ciebie nie wſkórały. Nie proſiłemże cię nie zaklinałem, abyś nie był na iednego tak oſtrym á drugiemu tak pobłażaiącym. Uczyniłżeś kiedy o com cię proſił?

Oyciec

Móy bracie, twe zamysły są dobré, lecz wyświadczyſz mi łaſkę, kiedy do

Synów

Synów moich nie będzieſz ſię wdawał edukacyi. Ja ieſtem ich Oycem, znam onych lepiey niżeli kto.

Wuy

Znasz ich? --- Co za oślnienié!

Oyciec

Zawſze widzę, to mówiſz co mi ſię nie podoba.

Wuy

No, mówmyż zwolna, chociaż to wiele może mię koſztować. Powiedz mi tylko za co maſz nie lubić Guilelma?

Oyciec

Za co! układ iego dziwaczny, chłopiec brzydki, mowa iego --- oto, nie ma daru podobania ſię, częſto narzeka na swe poſtępki przedemną. Karolcio zaś przyiemné dziecię, wſzyscy go lubią z żywości, dwadzieścia słów prędzey wymówi, niżeli brat iego iedné.

Wuy

Dobrże ---niechayże ia teraz mówię --- ze wſzelkiém swém podchlebſtwem i gadulſtwem, Karol ieſt chłopiec fałſzywy, kłamcą, póty okazować będzie ſwoié przywiązanié póki z nim pieścić ſię będzieſz. Guilelm zaś gruntownie dobry, poczciwy, ſzczery, dałby życie za ciebie, byleś na niego mile ſpoyrzał. Mówić wiele nie ieſt iego przymiotem, osobliwie

bliwie przy tobie, lecz serce iak nayle-
pſze iakowe bydź tylko może, á Karol
twóy, ---- więcey niechcę mówić.

Oyciec

Trudnoby ci było bracie dowodzić.

Wuy

Przynaymniey. Pozwalaſz abym do-
wiódł. *Oyciec tu ſię uśmiech*. Nie trzeba
tu ſię śmiać, rzecz ieſt niemała, idzie tu
o dobro twych dzieci. Może otworzę
twe oczy, ieżeli pozwalaſz abym tego
doświadczył.

Oyciec

Jakież to doświadczenie?

Wuy

Obaczyſz byleś nie dał twym dzie-
ciom do porozumienia.

Oyciec

Czemuż to?

Wuy.

Abyś doznał i sameś ſiebie przekonał.
W krótce poznaſz który cię bardziey ko-
cha czy Karolcio czy Guilelm.

SCENA PIĄTA.

Oyciec sam.

Nie mogę poiąć czego chce swem
doświadczeniem, i tego zrozumieć nie
potrafię dla czego nie lubi Karolcia, á
Guilelma pod niebiosa wynosi, którego
ia

ia cierpieć nie mogę. --- Niech co chce czyni, i iak chce brat móy doświadcza, mam nadzieię że Karolcio będzie na górze.

SCENA SZOSTA.

Oyciec Karol potem *Guilelm*

Karol.

Móy Tatuniu, oto i teraz Guilelm do woli mię ſię naſzturkał. -- zawſze mię biie.

Oyciec

Biie ciebie! O niegodziwy chłopiec! muſzę widzę dziś go ieſzcze wypędzić z domu.

Karol

O móy Tatuniu naykochańſzy, wypędź go nayprędzey, bo z nim nie będę miał pokoiu. Przedrzyznia mi, wyſzczerza ſię niewypowiedzianie brzydko.

Oyciec

Co zą niegodziwy! á to dla czego?

Karol

Roi sobie w głowie, że ia ſię śmieię z niego, á on w samey rzeczy niczego nie wart. ---

Guilelm

Wuiaſzek posłał mię tu. ---

Oyciec

Nic dobrego chłopcze! warteś abym cię wypędził z domu -- -- Cóżeś to znówu bratu wyrządził! -- No -- A mówże.

Gui-

Guilelm.

Nic ---

Karol

Niewydrzyzniałżęś się mi?

Oyciec

Nie naszturkałżeś go?

Guilelm

Nie ---

Oyciec.

I zapierasz się ieszcze?

Guilelm

Chociażby mię zabiiał naybardziey, to powiada, że ia go bił.

Oyciec

Precz stąd -- żebym cię więcey nie widział.

SCENA SIODMA.

Wuy i ciż sami

Wuy do Guilelma

Poczekay.

Guilelm

Nie śmiem, Jgmć Oyciec mi kazał --

Wuy

Poczekay na moié cię słowo biórę -- -- Odebrałem list z Amszterdamu, ciekawym, iak idzie nasz handel? (*list otwiera czyta i zadziwieniem woła*) O nieba! O Boże! co za nieszczęście!

Oyciec

Oyciec

Cóż się to stał,

Wuy

Ah! iużci po tobie.

Oyciec.

Co! po mnie, cóż to takiego w têm liście?

Wuy.

Nie czytay go móy Bracie - - - Nie tylko nad tobą ubolewam, ale i nad biednemi Synami twemi. Kochany Guilelmie, Oyciec twóy stracił wszystek swóy maiątek.

Guilelm.

Móy Oyciec - - - Karolciu słyszyszże? Nasz Jgmć Oyciec - - -

Karol.

Cóż to takiego? co znaczy?

Wuy.

To, że wy wszyscy trzech żebrać będziecie.

Karol.

Żebrać? Co za bayka!

Wuy.

W krótce obaczysz. Urząd przypieczętować kazał wszystko co tylko się znayduie się w domu; ponieważ Oyciec nie maiąc czém długów popłacić musi wszystko oddadź wierzycielóm. O tem w liście mi donoszą.

Karol.

Nie wierzę ia temu.

Guilelm pomięſzany.

Móy nayukochańſzy Oyciec, ponieważ taka wola Nieba, abyśmy żebrali, otóż ia żebrać będę na Jgmći Oyca.

Karol.

Żebrać! żebrać! szalonyś. Azaż nieprawda Tatuniu, że to bayka ſzczera.

Oyciec smutnie.

Nie bayka. Już nic nie mogę ci dadź Karolciu, wſzyſtko ſtraciłem, ani dom, ani meble iuż moie, wſzyſtko co tylkom miał wierzyciele rozſzarpią.

Karol z wzgardą.

Kiedy tak, nie mam co tu robić z tobą Panie Oycze--- i któż o mnie będzie miał ſtaranie?

Oyciec.

Karolku! Karolciu!--

Karol.

Daycie mi pokóy, niechcę o was ſłyſzeć.

Oyciec z żalem.

Czyliż to bydź może? Karolciu! Karolciu!

Guilelm.

O móy serdeczny, o móy nayukochańszy Wuiaſzku, racz weſprzeć Oyca mego, ieſteś bogaty, pożyczyć chciey pieniędzy.

Wuy.

Moie dziecię nie mogę, włożyłem w handel wſzyſtkie, w tym czasie nie potrafię dopomodz Oycu twemu.

Guilelm.

Przynaymniey poradź mi móy Wuiaszku Dobrodzieiu co mam czynić, póydę na koniec świata, azaż gdzie wyszukam sposóbu ratowania mego nayukochańszego Oyca.

Wuy.

Ale ty masz nieco pieniędzy.

Guilelm.

Póydę po nie! owszem pobiegę, i dam z największą ochotą.

Karol.

Poczekay Guilelme, póydę i ia po moie.

SCENA OSMA.

Oyciec i Wuy.

Wuy.

Cóż teraz mówisz Bracie. Nie zaczynaszże poznawać.--- Co myślisz o Karolciu, nienaylepszyż to Synek? Bardzieyże kochać cię będzie bez maiątku twego? *Oyciec*

Dziecię to ieszcze, trzeba mu wybaczyć.

Wuy.

A Guilelm nie dziecię, á iednak czuie co Oycu winien.

Oyciec.

Prawda że Karolek nieiakie ma błędki.

Wuy.

A z tych małych wyrosną w czasie wielkie. *Oyciec.*

Jednak poſzedł z Guilelmem, aby przyniósł swé pieniądze. Znak ieſt dobrego serca.

Wuy.

Nie widzę żeby ſię śpieſzno z niemi powracał, á chociaż i przyniesie, nie ſkończyłem ia go doświadczać, obaczyſz obydwoch charakter.

SCENA DZIEWIĄTA.

Karol i ciż Sami.

Oyciec.

Otoż idzie. --- Móy Karolciu, ty ieſteś dziecię ulubioné, ponieważ co maſz, to przynosiſz.

Karol.

Nic nie przyniosłem, rozumiałem że mam, á ia i ſzeląga nie znalazłem.

Oyciec:

I szeląga? kędyżsą? powinieneś mieć ze ſto talerów.

Karol.

Abo ia wiém kędy ſię podziały? może móy brat wziął.

Wuy.

Kłamſtwo wierutné --- gdzież twóy brat?

Karol.

Poiechał precz.

Oyciec)
Wuy) poiechał precz?

Karol.

Wziął swóy kapelusz i wyszedł.

Oyciec.

Przedziwnie! cóż teraz móy bracie, nie doznaieszże? Poydź do mnie moie kochane dziecię, niech cię ucałuię, ty iesteś dobrym Synem, ponieważ bydź chcesz z Oycem twoim czy iest ubogim, czy maiętnym. Chociaż takie na mnie nieszczęście padło. ---

Wuy

Przyznaię się iż tego nie poymuię. Musi ieden z nas dwoch mylić się. --- Karolu pytam się cię ieszcze raz, brat twóy poiechałże?

Oyciec

Nic iest łatwieyszego nad to, aby się dowiedzieć, poydę ia sam.

SCENA DZIESIĄTA.

Wuy, Karol.

Karol.

Móy Wuiaszku kochany.

Wuy.

Czego chcesz?

Karol

Bardzo kocham Wuiaszka.

Wuy.

Wuy.

Czy prawda!

Karol

Z całego serca. Gdybyś wiedział---

Wuy na ſtronie.

Domyślam ſię czego chce (*głośno*) cóż czynić mam na uſługi WCPana, moie Paniątko.

Karol.

Móy Wuiaszku Dobrodzieiu, nie będzie łaſka Wuiaszka mnie wziąść do ſiebie. Niedbam ia całe o Oyca mego--- bo nic nie ma---O iak ia będę mocno kochał Wuiaszka? będę go zabawiał!---

Wuy.

Dziwną rzecz powiadasz. Azaż nie ſłyszałem coś mówił? *nie ieſtem ia twoim dziecięciem, mam Oyca. Nie maſz mi nic do rozkazywania.*

Karol.

I cóż!---ia nie będę ſiedział przy Oycu, iuż ſię wszyſtko ſkończyło.

Wuy

Skoro powroci, powiem ia mu to wszyſtko.

Karol.

Wolno, nie trwam. Jeżeli mię Wuiaszek nie przyimie, wiem co uczynię.

Wuy.

Cóż uczynisz?

Karol.

Jużem sobie ułożył.

Wuy.

Cóż przecię!

Karol.

Nie powiem, (*brzęka pieniędzmi w kieszeni rozumieiąc że Wuy nie słyszy.*)

SCENA JEDENASTA.

Oyciec i ciż Sami.

Wuy.

Kędyż ieſt Guilelm!

Oyciec

Kędyżby miał bydź? Szuka takiego, któryby miał o nim ſtaranie. Nie można mu tego poczytać za złe, roſtropny chłopiec dba o ſiebie, i mnie uwolnił od mozołu.

Wuy.

Ja ſię pytam kędy ieſt?

Oyciec.

Bliſko tu u Pana Bonſkur, widziałem go przez okno, bardzo go proſi---

Wuy

Niech i tak będzie, lecz twóy ten Syn zaklinał mię, abym go do ſiebie przyiął, ty nie masz nic, cóżby u ciebie robił?

Oyciec.

Oyciec

Karolciu, mówiłżeś tak!

Karol.

Dla czegożby nie?

Wuy.

Otóż z uſt iego ſłyszysz. A gdy mu odmawiałem, odezwał ſię, iż nie trwa, obeydzie ſię bez tego --- Lecz czy mi ſię zdało, że masz w kieszeni pieniądze, á mowiłeś że ich nie masz. Obaczę.

Karol (zbraniaiąc ſię.)

Nie nie, nie chcę ia żeby mię trzęſiono.

Wuy.

Da ſię to widzieć (*trzyma go i ſzuka po kieſzeni.*)

Karol.

Day mi pokóy, bo będę gwałtu wołał.

Wuy wyiąwſzy pieniądze z kieſzeni Karola.

A to co? Luidor ten dałem Guilelmowi iak on ſię wemknął do twoiey kieſzeni.

Oyciec

Co ia za nieszczęśliwy Oyciec!

Wuy.

Cóż teraz móy Bracie? Karolcio dopiero powiadał, że mu Guilelm zabrał pieniądze, azaż niepodobniey wierzyć, że Guilelmowi on. Mowże

Karol z wzgardą

Ten Luidor ieſt móy, od nikogo nie wzią-

wziąłem go, ieżeli ze mną tak obchodzić ſię będziesz, ucieknę z domu, rozumiesz?

Wuy.

Idź idź, ieszcze ſię prędzey wrócisz?

Karol z pędem wyſzedł.

Oyciec

Karolciu! Karolciu --- zoſtań tu -- Dokąd idziesz?

Wuy

Nie przytrzymuy go.

Oyciec

Lękam ſię, żeby mu co złego nie przytrafiło ſię --- Ktoś idzie.

SCENA DWUNASTA.

Pan Bonſkür, Guilelm i ciż sami.

Wuy.

Ah! oto móy Guilelm! dobry wieczor Moſpanie Bonſkur ---proszę WCPana, abym ſię ſpytał o iednę rzecz mego Sieſtrzeńca gdzie twoie pieniądze?

Guilelm.

Nie mogłem znaleść. Karolcio szukał swych w naszey szafce, á gdy ia chciałem wziąść moie, iuż ich nie było, nie poymuię kędy ſię podziały.

Wuy.

Ten Jegomość ci zachwycił.

Oyciec.

Guilelm.

Donoszę Wuiaszkowi, że w nieszczęściu mego Oyca może się go wesprzeć. Pana Bonskura bardzo prosiłem, i obiecał. Zacny ten Sąsiad, w ogień skoczyłbym za niego.

Wuy.

Bardzo dobrze moy Guilelmie, bardzo dobrze.

P. Bonskur do Oyca.

Prawdaż, że WCPana nieszczęście potkało.

Oyciec.

Ah! ia nie wiem zupełnie ieszcze.

Wuy.

Tak iest móy kochany Sąsiedzie, oto list, czytay go (*na stronę odprowadziwszy, gadaią cicho.*)

Bonskur.

Żal mi serdecznie Mospanie WCPana, chciałem WCPanu dopomodz, mniemałem że potrafię, lecz w tem czasie ciężko dla mnie.

Guilelm

Ah móy Boże! wszak WCPan obiecałeś---prosiłem WCPana, bardzo--- proszę ieszcze---Zmiłuy się ratuy Oyca mego.

Bonskur.

W latach twych nie wiesz co to są inte-

interefsa, wyczytałem w liście, że i ia tracę wiele, i nie wiem czy mi wyftarczy pieniędzy. --- Gdyby nie to kochany MCPanie Dorymoncie z całego serca ſłużyłbym WCPanu, wszak ieden drugiemu nie ſkąpił --- Co uczynić mogę, to to, iż tego Syna WCPana wezmę będę o nim miał ſtaranie wszelkié. Pozwalasz na to WCPan Mospanie Dorymoncie? Na niczem nie będzie ci u mnie zbywadź Guilelmie.

Guilelm.

To bydź nie może. Wuiaszek móy obiecał mnie wziąść do ſiebie, iednak ia nie chcę opuścić Oyca mego.

Bonſkur.

Kiedy nie chcesz bydź przy mnie, w niczem więc nie mogę ci pomodz. Gdybym cie Guilelmie wziął do ſiebie, rozumiem że uczyniłbym folgę twemu Oycu. Nie prawdaż Mospanie Dorymoncie?

Oyciec

Nic mi do tego czy go WCPan weźmiesz czy nie, iak ſię WCPanu podoba tak czyń.

Guilelm

Ah móy naymilszy Oycze --- i ieszczeż mię nie lubisz --- życie twoie ieſt moim życiem -- (*oddala ſię w kąt rzewnie płacząc.*)

Wuy

Wuy cicho do P. Bonſkura.

Cóż WCPan o tey Scenie mówisz?

Bonſkur do Oyca.

Mospanie Dorymoncie, abym mógł mieć takiego Syna, połowę dałbym moiego maiątku.

Wuy.

Zaiſte, iednak go nie może cierpieć, fuka, beszta, biie, tłucze go nielitościwie.

Oyciec.

Daymy temu pokóy, nie mówmy więcey, wart kochania, i ia byłbym tyrannem gdybym nie był tknięty iego ku mnie przywiązaniem. Kochany bracie winienem tobie. - - -

Wuy.

Odłożmy na inny czas to dziękowanié, á dokończmy cośmy zaczęli (*głośno.*) I tak tedy Mospanie Bonſkur, nic WCPan tą razą nie możesz uczynić dla mego Brata?

Bonſkur.

Ah! nie, i wyżałować tego nie mogę. Do nóg upadam.

Guilelm

Nie opuszczay nas Mości Dobrodzieiu, ieżeli nie możesz dopomodz Oycu memu, to przynaymniey nie odſtępuy, ciesz smutnego.

Bonskur.

Lepiey to potrafisz sam Guilelmie kochany, niżeli ia (*odchodzi.*)

Guilelm

Ah! gdybym tak bydź mogł szczęśliwy?

SCENA TRZYNASTA.

Ciż Sami.

Wuy.

Nie wiesz ieszcze co za nieszczęście padnie na twego Oyca. Oto zaprowadzą go do więzienia, tego wieczora.

Guilelm.

Do więzienia? O Boże!

Wuy.

Inaczey bydź nie może. Kiedy nie ma kto czém zapłacić; utraca wolność, i twego Oyca zaprowadzą tam gdzie dłużników więżą.

Guilelm.

Nie może się to stać? ja nie dopuszczę --Ja poydę za nayukochańszego Oyca, chociażby mi przyszło o chlebie suchym i wodzie cały rok siedzieć.--- Kędyż są ci którzy maią brać Oyca mego, ah Oyca naymilszego.

Wuy.

Rozumiem, że niedaleko.

Gui-

Guilelm.

Dobrze, niech przyidą--- Naymilszy Oycze Dobrodzieiu, czyliż będziesz na mnie łaſkaw kiedy poydę za Jmci do więzienia.

Oyciec obłapiaiąc Syna.

O Guilelmciu dziecię moie, kocham cię i kochać będę w całem moiem życiu--- Ty moim Synem naymilszem--- Dopiero uznaię---Móy Guilelmciu nie poydziesz do więzienia, i mnie nie poprowadzą. *Wuy.*

Cóż teraz Guilelmie nie ieſteśże kontent ze mnie? wszak dotrzymałem ci ſłowa. *Guilelm.*

O iakem szczęśliwy!

Oyciec

O biedné dziecię, iakżem źle z tobą ſię obchodził, przyczyną tego był i twóy brat. *Guilelm.*

Wiém dobrze, lecz o tém więcey nie myślę i pamiętać nie będę byle mię Oyciec móy nayłaſkawszy kochał. Kędyż móy brat?

SCENA CZTERNASTA.

Bonſkur, Karol i ciż Sami.

Bonſkur.

Mości Panowie powrócić ſię muszę, bo

bo żbiega WCPanom wiodę. Widziałem idącego z tłomoczkiem, á gdy postrzegł że za nim idę, ile miał sił uciekał, dopędziłem go wypytałem się, przywiodłem do WCPanów.

Oyciec.

Dziękuię nayuniżeniey WCPanu.

Bonskur.

Miło mi tę przysługę małą uczynić, (*wychodzi.*)

Oyciec.

Zasłużyłeś abym cię na zawsze odrzucił, nic dobrego chłopcze, póty przywiązanyś do Rodziców, póki ci dadź co mogą. = = = Przyimuię cię têm razem, lecz inakszym będę dla ciebie Oycem, iakom doznał na tobie żeś iest nie takiem Synem iakim cię rozumiał - - - Wiedz że to wszystko było na doświadczenie twoie, i list był zmyślony.

Guilelm.

To Jegomość Oyciec nic nie stracił?

Oyciec.

Nic moie naymilsze dziecię. Nie widziszże Wuia twego uśmiechaiącego się? Chciał tylko doświadczyć was.

Wuy.

Dzięki Bogu, z całego serca cieszę się że otworzyłeś oczy twé móy bracie, bo do tego momentu byłeś dla iednego z

Synow twych tyrannem, á drugiego nie-wolnikiem.

Oyciec.

Do śmierci nie zapomnę twey dla mnie przysługi---Poydź ze mną moie lube dziecię, moy Guilelmciu.

Guilem.

Prosiemy Wuiaszku Dobrodzieiu z nami (*odchodzą.*)

Karol.

A mnie zostawuią, żaden mię nie bierze.

Wuy słysząc to zwraca się i mowi.

Sprawiedliwą zasłużyłeś karę, żeś opuścił Oyca twego, rozumieiąc bydź go w nieszczęściu---Tego, który nie kocha swych Rodziców, nikt kochać nie będzie.

Annulka.

O co za przedziwny Guilelmcio!

Julisia.

Naybardziey mnie zadziwia niegodziwość Karolka---Podoba mi się Guilelmcia poczciwość, lecz pewna iestem, gdyby ze mną tak się obchodzono, iak z nim, nie miałabym tyle cierpliwości ile oni. Co zaś do tego, że za Oyca chciał isdź do więzienia, tobym i ia tak uczyniła, rozumiem bowiem iż sobie myślał

tak

tak. Oyciec móy będzie nieszczęśliwy gdy utraci wolność, mnie zaś, bardzo byłoby przykro oddalonym zostawać od Oyca, wolę ia tedy mieć przykrość byle móy Oyciec był wolnym. Nie wierzę ia aby tak złym był Karolek, iak go Autor Komedyiki opisuie, podobno zmyślił.

Annulka.

Dla czego?

Julisia.

Mamunia mię nauczyła, że ci którzy piszą Powieści i Komedye nie są obowiązani mówić *prawdziwe rzeczy*, lecz dla przypodobania się i nauczania mówić maią rzeczy *podobne do prawdy*, które mogłyby bydź, mnie się zdaie za niepodobną rzecz, aby tak niegodziwy znaleść się mógł Syn, iakim opisał Karolcia. Łgać, obmawiać brata, skarżyć się na Guilemcia że go bił, á on to czynił sam, rzecz straszna, i niesłychana.

Matka.

Od obmowy, gorszé iest szkalowanié.

Julisia.

Mamuniu, nie rozumiem ia tego słowa.

Matka.

Do tych czas nié użyłam tego wyrazu, abym cię Julisiu nie zasmuciła oznaymuiąc, że znayduią się takowi ludzie bez-

dobro-

dobroci bez ſprawiedliwości, którzy drugim przypisuią utrzymuiąc zbrodnie, iakich nie dopuścili ſię.

Annulka.

Tacy nie są ludźmi ale dziwotwory.

Julisia.

Jak to dziwótwory?

Matka.

Wyraz ieſt ſprawiedliwy; w braniu zwyczaynem wzięty znaczy dziwotwor, zwierze maiące nad rodzay swóy więcey członków albo mniey, czem brzydkim ſtaie ſię: w wzięciu zaś przenośnem dziwotworem szkalownik nazywa ſię, ponieważ człowiek z przyrodzenia swego maiący bydź dobrym i ſprawiedliwym, gdy szuka ſposobu szkodzenia bliźniemu, nie ieſt podobny do ludzi.

Julisia.

Więc ia nieſprawiedliwie przyganiłam Autorowi Komedyiki?

Matka.

Dziecię samo ſiebie tylko kochaiącé, przyzwyczaiwszy ſię do kłamſtwa, może ſtopniami doysdź, i zoſtać nieſprawiedliwym, niecnotliwym, szkalownikiem, i hipokrytą.

Julisia.

Co to hypokryta?

Matka

Matka.

Hypokryta czyli obłudnik, ieſt ten, który udaie cnoty nie maiąc ich.

Julisia.

W czemże Karolek był hypokrytą?

Annulka.

W tém, że udawał, iż kocha Oyca, á w sercu nie kochał go. Moia Sioſtrzyczka nie ieſt obłudnicą, bo dopiero mówiła, że będąc na mieyscu Guilelmcia, nie byłaby tak cierpliwą iak on, nie udaie więc tych cnót, których nie ma.

Matka.

Bardzo dobrze mówisz moia luba Annulku. Julisia czegoś zachmurzona.

Julisia.

Smutnam, że znayduią ſię ludzie niegodziwi.

Matka.

Uſpokóy ſię moia kochanko, uważaiąc, iż źli przyczyną bywaią ludziom poczciwym, aby cnotliwszemi byli.

Annulka.

Prawdziwie, bo gdyby Karolek był dobrym nie byłby tak przedziwnym Guilelmcio. Fałszywé Karolcia donoszenia przed Pana Dormonta pobudzały, że oſtro obchodził ſię z Guilelmciem poczciwym. Guilelmcio iednak Oyca swego kochał,

kochał, dowod to iest serca iego dobrégo, nie ma bowiem zasługi kochać Rodziców pieszczonie z dziećmi obchodzących się.

Julisia.

Gdyby wszyscy ludzie byli łagodnemi i dobroczynnemi, nie byłoby okoliczności darować krzywdy, odpuszczać winy. Ta przychodzi mi na myśl historya, którąś powiadała drugi czy trzeci temu rok.

Matka.

Zabawcie się teraz z malutkim waszym braciszkiem, potem powiem wam historye.

ROZMOWKA PIĄTA.

Julisia.

Mamunia przyobiecała nam powiedzieć historyikę.

Matka.

Prawda, może ią napisać Annulka dla braciszka swego, ale pilnie trzeba słuchać.

Annulka.

Moia Ciotuniu zbłądzę niemało w pisaniu, i w układaniu.

 Matka.

Matka.

Nic to, ia przeczytam i poprawię słuchaycie.

O Damonie i Bruſkiecie.

Damonek Syn Pani Sanser, było dziecie, roſtropné, poiętné, lubiło czytać, uczyć ſię i zawsze bydź przy swoiey Mamuni Mamunia go przeto kochała, powiadała mu codziennie hiſtorye, nauczała czego, brała ż sobą na ſpacer, i do przyiaciół. Bruſkiet sąſiad Damonka w niczem nie był mu podobny, nicht go nie kochał, Mamuni swey przykrości wiele czynił. Była to kobieta uboga, Bruſkiet coby dla pociechy Matki á swego pożytku miał ſię uczyć; ani czytać ani pisywać chciał, lecz biegał, swywolował rowienników swoich napaſtował, i kłucił. Damonek nie zabawiał ſię z takiem swywolnikiem. Lecz Bruſkiet raz wpadł do domu Pani Sanser, porwał zabawki Damonka, wozeczek iego zepſuł, oktawkę potłukł, i konia zachwycił. Służący radził Damonkowi, aby ſię uſkarżył przed Matką Bruſkieta; chwycił ſię z początku tey rady Damon, lecz natychmiaſt poniechał, mówiąc: Bruſkieta Matka oſtra obiłaby go, i zamknełaby, wolę mu tem razem darować

W kilka dni Pani Sanser z Synem poszli na ſpacer, ſpotkali Bruſkieta rzucaiącego kamyki w górę nie zważaiąc na przechodzących żeby kogo nie uderzył, i ſtało ſię, że trafił w głowę Damonka. To miłe dziecię wielki ból uczuło, lecz ſię utrzymało od łez, za wſtyd poczytuiąc płakać. Mamuniu rzekł, boli mię mocno, ale ten minie ból. Czoło ſkrwawione widząc Matka, ſpieſznie zaprowadziła do domu Damonka, i leczyła ranę. W kilka dni gdy potrzeba była, żeby Damonek świeżego powietrza zażył Matka zatrudniona kazała mu ze służącym przeysdź ſię. Spodziewam ſię że dziś nie ſpotkaſz ſię z Bruſkietem, rzekł sługa do Damonka. A w tem momencie uſłyszeli ſtuk ſpadaiącego, obeyrzeli ſię, á przybiegłszy obaczyć ktoby to upadł, uyrzeli Bruſkieta krzyczącego. Dałżeś sobie chcący podnieść go powiedział Damonek. Bruſkiet wrzeſzczał nie mogąc ſię podnieść. Na co Demonek; o biedné dziécię, proſzę cię, obracaiąc ſię do sługi, rzekł, proſzę cię zanieś go do Matki niedaleko mięszka, i ia za tobą póydę. Matka Bruſkieta mocno ſtrapiła ſię. Jeſtem uboga, odezwa-

 ła ſię,

ła ſię, ledwie mogę wyżywić ſiebie z domowemi memi, ſkądże teraz wezmę na Cyrulika i na maście! Damonek który ranionym będąc nie płakał, widząc żal Matki zapłakał, nie smuć ſię mówił, nie płacz, á dobywſzy pieniędzy z woreczka rzekł. Na ci moia poczciwa trzy złote, Mamunia mi dała, żebym dla ſiebie kupił czembym ſię zabawiał, mogę ſię obeysdź bez zabawek Matka Bruſkieta wpatrywała ſię w Damona nic nie mówiąc. Mało to ieſt trzy złote, daley mówił Damonek, lecz to są wszyſtkie moie pieniądze, ieżeliby potrzebowałaś, będę prośił Mamuni, ſpodziewam ſię po iey dobroci, że mi nie odmówi. Ah! Moſpanie, iakże WCPan ieſt dobry, odezwała ſię kobieta, czoło maſz ieſzcze związane dla niezgoioney rany, którą zadał Bruſkiet, i mimo tego daieſz ieſzcze trzy złote! Mężne serce WCPana, dobrem za złe nadgradzasz. Damon widząc kobietę nieco pocieszoną powrócił ſię do domu, opowiedziawszy swey Matce co ſię ſtało, dodał Bardzo mi żal ſtłuczenia Bruſkieta, ale iakoś czuię w sercu moim radość, nie wiem dla czego? Oto dla tego, Matka odpowiedziała żeś dobrze uczynił, uciecha ſtąd ieſt niemała.

Julisia.

Mamuniu przypominiałam sobie podobny uczynek.

Matka.

Jaki?

Julisia

O tem Xiążęciu młodym w drodze z swym Oycem będącym.

Matka.

Słucham, mów Julisiu.

Julisia.

Jeden Xiąże Niemiecki był w podróży z dwoma Synami swemi: Młodszego zaczął boleć ząb bardzo, musiano ſtanąć, Cyrulik obaczywszy ząb radził go wyrwać. Zniosło wyrwanie cierpliwie Xiążątko, dla czego Xiąże dał mu talar. Nazaiutrz iadącym zaszedł drogę ubogi prosząc o wſpomożenie, Xiążątko dało mu ów talar. W krótce obaczył drugiego nędznieyszego á nie miał czém go wſpomodz, ia będąc Xiążątkiem prosiłabym Xiążęcia o pieniądze dla nędznego, ale Xiążątko udało się do brata prosząc aby mu pożyczył talera. Na co brat, pożyczyłem ci tyle razy, á nie byłeś w ſtanie oddania --- Co do tego talera pewny ieſtem że oddam, ſkoro ſtaniemy na noc, każe wyrwać

sobie ząb, i będę znów miał talar. Widzisz Siostrzyczko, Damon oddał pieniądze dane sobie na zabawek kupienie, á Xiążątko, chciało ząb dać sobie wyrwać, byle wspomodz miało ubogiego.

Annulka.

Ale Bruskiet uraził Damonka, á Xiążęciu nic złego nie uczynił był ubogi.

Matka.

Annulko, twoiá wyśmienitá uwaga. Otóż wam różnicę powiém między dwiema uczynkami, Damona *mężny*, który krzywdę sobie uczynioną darował, Xiążęcia zaś młodego, uczynek *bohatyrski*, ponieważ bohatyrstwo zawisło na znoszeniu cierpliwie, albo na podaniu się na niebespieczeństwo, aby drugim pomodz.

Julisia.

Znać że nie było podchlebców u Dworu Xiążęcia w którym było Xiążątko tak dobré. Annulko patrzay mam ia iedną historyą z dawnych którą dozwoliła moia Mamunia przepisać mi dla twego braciszka,, zowie się ta historya.

Dobrá Siostra.

Pewni Rodzice wyieżdżaiąc z domu w daleką drogę, dzieci swé poruczyli Ochmistrzyni, obowiązuiąc ią, żeby nie dozwalała wybiegać dzieciom ani

samym wychodzić bez niey, albo bez Pani Miran, która ich była Ciotką. Starsze dziecię miało lat ośm, i nazywało się Marcinek. Siostra iego była rokiem młodsza, lecz więcey umiała od Brata. Bardzom zmartwiona, rzekła, że nie będę mogła z Mamunią zabawiać się ani z Tatuniem rozmawiać, ale tak się będę starała postąpić, żeby gdy przyiadą, cieszyli się z mego postępku. A ia, rzekł Marcinek spodziewam się, że przywiezą nowé dla mnie bawidełka, bo te które mam iuż mię nie bawią.

Pani Miran musiała wyiachać do bliskiego miasta, po którey odiezdzie Ochmistrzyni zachorowała. Marcinek więc i iego Siostra w domu bydź musiały. Marcinek po ogrodzie biegał po pokoiach hałasował, gniewał się przewracał się po kanapach, stołkach, te całodniowe były Marcinka zabawki.

Henrysia była zawsze przystoynie wesoła. Jakto możesz bydź wesoła zawsze, rzekł do niey Marcinek, nie widziałem cię smutną od odiazdu Mamuni i Tatunia A ty, odpowiedziała Henrysia, czemu ledwie kiedy dobrego iesteś humoru, przykro mi widzieć ciebie, czemuż to? -- Bo nie mam się czem bawić, i nigdzie

nie wychodziemy z domu. --- Nie dla tego pochmurzasz ſię braciszku, lecz że nie lubisz ani piſać, ani rysować ani czytać, ani się uczyć Jeografii. Jednego dnia, ia tak iak ty codziennie, niczegom ſię nie uczyła, á wieczor gdy nadſzedł nie podobały ſię mi moie lalki, brzydkiemi ſtały ſię, Nauczycielka naſza widząc mię kwaśną, powiedziała, że gdyby widziała takową mię Mamunia, nie ucałowałaby mię. Przykro to mi było ſłuchać, nazaiutrz ocknąwſzy ſię uczyłam ſię, nie próżnowałam dzień cały, i byłam dla tego wesoła.

Pani Miran powrociła, niżeli ieſzcze Ochmiſtrzyni ozdrowiała, i pytała ſię iey iak Sieſtrzeniec i Sieſtrzenica ſprawowały ſię. *Ah!* Mościa Pani, rzekłą Ochmiſtrzyni iaka różnica między dziećmi rodzonemi. O gdybyś WCPani widziała nieſpokoyność, przysługi które mi podczas choroby moiey czyniła Panna Henryka! wyyśdź niechciała z mego pokoiu, czytała przy moiém łożku, uczyła ſię, wſzyſtką swą powinność chociaż nicht nie naganiał, pełniła. Pan Marcin zaś ledwie kiedy przybiegł do mego pokoiu, á kiedy przybiegł to hałasuiąc na swym bębenku, turkocząc swym

wozkiem, co mi większą słabość sprawowało; Panna Henryka gdy usypiać zaczynałam wychodziła do ogrodu. Pani Miran pisanie Siostrzenicy roztrząsała i inne roboty i bardzo się cieszyła. Chciała widzieć co Siestrzeniec zrobił, lecz przez trzy miesiące niczego się nie nauczył, nie mógł czterech nawet wierszy przeczytać, trzy cztery razy nie zmyliwszy się w iednym. Jak iestem kontenta z Siostrzenice, tak nie iestem z Siostrzeńca, odezwała się Pani Miran. Kochana Henrysiu, poydziesz do mnie obiadować, á wieczorem, poydziemy na spacer, albo komedyą. A WCPan Panie Marcinie ponieważ w niczem nię postąpiłeś, nie warteś i wychylić się. Marcinek począł płakać. Co widząc Henrysia, zlitowawszy się nad nim, rzekła do Ciotki. „ Bardzobym była rada słu-
„ żyć Ciotuni Dobrodzieyce, ale widzi
„ Ciotunia, iak móy bracíszek zasmucił
„ się, Przepuść mu Ciotuniu---to bydź
„ nie może moie dziecię ---- A to do-
„ brze, więc żeby się nie trapił, proszę
„ Ciotuniu żebym teraz nie służyła i nie
„ szła do Ciotuni, i została cieszyć bra-
„ ciszka „ ---- Zawisło to od twoiey woli, odpowiedziała Ciotka, á Henrysia

mężna zoſtała przy bracie. Pani Miran wiedząc, że Marcinek był żarłok, chciała doświadczyć czy ſię poprawił, i porzucił żarłoćtwo. Jednego dnia przyniesła placek do pokoiu, w którym ſiedział Marcinek, i rzekła, dobrą rzecz przynieſłam, będziesz iadł ieżeli pięknie napiſzesz, i nie tkniesz to co kładę na ſtole --Marcinek sam będąc zaczął piſać, lecz ledwie dwa wiersze napisał, wſtał aby obaczył co Ciotka położyła, nie odwiązał, ale omacawſzy poznał, iż był placek. Henrysią weszła o ten czas do pokoiu, którey powiedział Marcinek obietnicę i zakaz Pani Miran, i dodał, wielką mam chętkę ſkoſztować tego placka, proszę cię Sioſtrzyczko, weźmy po kawałku, na co Henrysia, nie uczynię tego móy Braciszku, i tobie radzę, nie tykay.---Ale Ciotunia tobie nie zakazała, rzekł Marcinek-- -Prawda, lecz placek ten nie ieſt móy więc nie byłaby rzecz chwalebná brać go. Pani Miran zawołała swey Sieſtrzenicy, Marcinek sam zoſtał przy placku. Dobrzeby był zrobił gdyby był nie patrzał na placek, lecz ſię nie wſtrzymał, wziął w rece, oglądał i upuścił, placek złamał ſię, Marcinek zjadł kawałek. W krótce dano

znać, że iuż do ſtołu zaſtawiano, Pani Miran przy końcu ſtołu kazała przynieść placek, gdy przynieſiono rzekła, á to co? placek widzę, połamany i nie doſtaie kawałka. Marcinku, twoia to ſprawka zapewnie? Nie, moia Ciotuniu, upewniam --- odezwał ſię Marcinek zarumieniwſzy ſię. To ty Henrysiu, bo wiem, żeś była w pokoiu --- byłam po xiążkę, ale ſię áni tknęłam placka --- Możesz WCPani wierzyć Pannie Henryce, nigdy nie zmyśla. odezwała ſię Ochmiſtrzyni, Pan Marcin zaś razem ieſt niepoſłuſzny, obżarty, i kłamcą. --- Przykro mi rzekła Pani Miran, á muſzę karać, ta moiá powinność, á teraz Panie Marcinie warteś dwoiakiey kary. Więc placka iesdź nie będzieſz, daie go Henrysi, aby schowała reſztę sobie na jutro. Upewniam cię że Rodzice przyiadą jutro wieczorem, rano wyiadę przeciwko nim, miałam cię z soba wziąść gdybyś ſię był uczył, ſłuchał. Lecz tego nie czynisz, nie wezmę tedy cię z sobą, á Henrysia poiedzie ze mną. Marcinek to słysząc płakał rzewnie, ſpodziewał ſię że Sioſtra i tą razą zoſtanie z nim, ale ſię omylił, bo mu powiedziała gdy oboie tylko byli, gdyby tu szło o ſpacer, o promenadę o

komedyą, zostałabym się chętnie z tobą, lecz tu idzie, abym z Mamunią i Tatuniem nayprędzey widziała się. Przykro mi, że się smucisz, nie smuć się, weź sobie wszystek placek, bo mi go dała Ciotunia, wolno mi co chcieć z niem zrobić. --- Dziękuię ci moiá kochana Siostruniu, nieco uspokaiaiąc się, odezwał się Marcinek.

Nazaiutrz w wieczor przyiechawszy Rodzice nie ucałowali go, bo dowiedzieli się, że mało się czego nauczył, i nie poprawił błędów swych. Przywieźliśmy dla ciebie bawidełka, mówili, ale ci nie damy, póty, póki się nie poprawisz. A ty Henrysiu oto masz xiążki, kopersztychy dla siebie, i pupki które iakiey twéy przyiaciołce daruiesz. Henrysia ucieszona podziękowała pięknie Rodzicóm swym, á Marcinek mocno się zasmucił. Co za różność między Siostrzyczką i mną, zawołał, chwalą ią, całuią, podarunki daią á mnie łaią. Henrysia zasmuconego widząc braciszka, dawała mu kopersztych ku zabawce, powiadała historye które czytała w swych xiążeczkach. Zwolna z wolna przykład Siostry poprawił brata. Henrysia zawsze wesoła, rozważał sobie Marcinek, po-

zwalaią iey, czego chce, trzeba żebym iá tak czynił, iak i ona, á mieć będę bawidełka. Lepieyby był uczynił gdyby mówił, potrzeba mi wykonywać moié powinności, á tak podobam się moim Rodzicom, lecz dobre i to przedsięwzięcie, kiedy usiłuie się lepiéy czynić. Szczęśliwie dotrzymał słowa, i lepszym był coraz, niżeli przedtém. Przykro mi było z początku przyzwyczaić się do pracy; ale w dalszém czasie, nie dla bawidełek dostania uczył się; lecz że w nauce smaku doznał. Obaczywszy Rodzice kochali go iak i Siostrę iego. Marcinek został rozsądnieyszym, nie kłamał więcey, błędów swych nie zapierał się. Henrysia szczęśliwszą została, bo wespoł z bracişzkiem cieszyła się.

ROZMOWKA SZOSTA.

Julisia.

Proszę Mamuni wyłuszczyć mi iedną rzeczkę --.

Matka.

Jakową?

Julisia.

Dobroczynność czy iest cnotą?

Matka.

Co się przeciwi dobroczynności? zda mi się żem mówiła o tém.

Julisia.

Tak iest Mamuniu, oto, siebielubość, łakomstwo, i nieużytość.

Matka.

Czy się godzi bydź siebielubnym, łakomym.

Julisia.

Nie, chybaby człowiek sam siebie chciał uczynić nieszczęśliwym, bo to są występki.

Matka.

Ponieważ to co się przeciwi dobroczynności iest występkiem, więc dobroczynność iest cnotą.

Julisia.

A ubodzy którzy nie są w stanie dania drugiemu iałmużny, popełniaiąż grzech.

Matka.

Nie, bo są w niemożności, i nie dla nich to iest prawo. Jeżeli chcą dobrze czynić bliźnim, wiesz, że maią tyle sposobów.

Julisia.

Wiem, dadź dobrą radę, służyć w chorobie, prosić bogatszych o wspomożenie dla nich, to czynić mogą nie daiąc pieniędzy zwłaszcza nie maiąc ich.

Matka.

Zapomniałaś o istotnéy rzeczy, którą każdy uczynić może, to iest, cieszyć nieszczęśliwych, okazuiąc iak nas dotyka onych nieszczęście, i tak łzy nasze niekiedy są dobroczynné. Powiedz mi skąd ci wątpliwość ta przyszła, żeby nie była cnotą.

Julisia.

Przypomniałam sobie z *Rozmow Emili* ,, że przezwyciężenie siebie iest cnotą,, Przezwyciężenie Mamuniu nie iestże trudné i nie byważ z przykrością?

Matka.

W samey rzeczy.

Julisia.

Ale mi żadney przykrości nie czyni dadź ubogiemu.

Matka.

Wierzę, bo nie byłaś w okoliczności uczynienia naywiększey offiary, abyś dla miłości ubogiego, pozbyła, co ci iest pożytecznego alboli też ulubionego.

Julisia.

Przypominam sobie---Miałam podobno cztery czy pięc lat, kiedy mi Mamunia dała kilka groszy, żebym sobie kupiła ciasteczek, albo ubogiemu dała żeby chleba kupił, iam ubogiemu dała,

Matka.

Nie ieſteś obżarta, więc nie miałaś wielkiey zasługi, lecz gdyby ci przyſzło głod cierpieć á w ten czas dałaś ubogiemu, byłoby to przezwyciężenie siebie, á uczynek twóy nie tylko byłby dobry, ale i piękny. Tu przychodzi mi na myśl, com dawniey czytała, nie pamiętam w iakiey xiążce, á miało się to ſtać we Francyi. Młodzieniaſzek nie maiąc więcey nad lat dwanaście ucząc się w Szkołach rzecz dobrą i piękną uczynił. Przechodząc się raz po za Paryżem, wpatruiąc się w ubogiego prawie nagiego, poznał, że był niegdyś sługą Rodziców iego, wzruſzony politowaniem, co miał przy ſobie dał mu, zalecaiąc aby nazaiutrz przyſzedł do iego mieſzkania. Stary sługa uczynił tak, Młodzieniaſzek śniadanie swe codziennie mu oddawał lubo samemu iesdź ſię chciało. Nie przeſtał na tem, pieniądze które mu Rodzice dawali zbierał, aby owemu ubogiemu ſprawił odzienie. A tak ſtary sługa ogarnąwſzy się, był w ſtanie bydź przyiętym na ſłużbę. Dnia iednego gdy Państwo u których ſłużył dawali obiad dla gości, iedna Pani z zaproſzonych poznawſzy służącego

pyta

pytała się co czynił z domu iey odprawiwszy się. Ta Pani, moie dzieci, była Matka owego Młodzieniaszka. Służący opowiedział wszystko wielbiąc swego dobroczyńcę. Miarkuycie iaka radość była Matki, słysząc o dziecięciu swym tak miłosiernym.

Annulka.

Nazyway mię Ciotuniu, swą Córką kiedy co dobrego uczynię, á będziesz się radowała.

Matka całuiąc.

Już iesteś lubá Annulku drugą moią córką.

Julisia.

Mamuniu ta historya bardzo mi się podoba, musi bydź prawdziwá. Chciałam o coś się spytać Mamuni --- Oto. Sprawiedliwość iestże cnotą, ponieważ iey się przeciwi niesprawiedliwość, i bardzo błąd wielki iest bydź niesprawiedliwym. Ale proszę Mamuni nauczyć mię, czy trzeba siebie przezwyciężać, aby bydź sprawiedliwym, aby kochać Mamunię która mię kocha, aby oddadź drugiemu to, co mu pożyczył, aby zapłacić Kupcowi wziąwszy od niego iaką rzecz?

Matka.

Dobrze mówisz, sprawiedliwość ieſt częſto powinnością łatwą do wykonania, atoli są takowe okoliczności, w których poczciwość wymaga przykrey offiary, przywiodę na to przykłady.

Annulka.

Słyszałam mówiących, że nie ma zaſługi bydź ſprawiedliwym, lecz miłoſiernym i mężnym bydź.

Matka.

Moie dzieci pamiętaycie, iż nayprzód trzeba bydź ſprawiedliwemi. Sprawiedliwość nie ieſt cnota świecąca ſię, ale nieuchronna.

Annulka.

Czynić dobrze tym, którzy nam czynią źle, nie ieſtże pięknieysza rzecz nad ſprawiedliwość?

Matka.

Przyznaię że trudnieysza: lecz żebym poznała czyli rozumiecie co mówię. Daymy to, że masz przyczynę użalać ſię na iednę osobę, która cię obmówiła, to ieſt błędy twoie innym wyiawiła, alboli też to wmawiała w ciebie, czegoś nie uczyniła, przyczyną była wielkiego smutku, á w tém dowiaduiesz ſię, że ta osoba która twoią ieſt nieprzyiaciołką w

wielkiey zostaie potrzebie; wiesz że piękna iest rzecz oddadź dobrym za złe, i chcesz wykonać cnotę, która się nazywa odpuszczeniem uraz. Ale to tylko masz dwadzieścia złotych, i tę sumkę winnaś Kupcowi podupadłemu, cóżbyś uczyniła Annulko?

Annulka.

Przed połgodziną powiedziałabym, że ią dałabym memu nieprzyiacielowi, lecz gdy Ciotunia nauczyła, że trzeba bydź naprzód sprawiedliwą, więc zapłaciłabym Kupcowi, á przyszedłszy do pieniędzy dałabym i memu nieprzyiacielowi.

Matka.

Bardzo dobrześ powiedziała. Inaczey czyniąc byłaby cnota fałszywa.

Julisia.

Co to iest cnota fałszywa?

Matka.

Nie widziałażeś fałszywych dyamentów? maią iasność, ale ani wagi ani gruntowności dyamentowey, toż o cnotach mówić się ma fałszywych, świecą się, ale wszedłszy w nie żadney nie maią ceny ani wagi. Abym was utwierdziła w tém co należy do sprawiedliwości, powiém wam historyą.

Annulka.

Proszę moia Ciotuniu wyłuszczyć mi pierwey przeciwne rzeczy dobroczynności, ia tego wyrazu siebielubość nie rozmiem.

Julisia.

Moia Siostruniu nie przeszkadzayże Mamuni!

Matka.

Julisiu, okazuiesz niecierpliwość, á powiedziałaś że cierpliwości cnota łatwa! Gdybyś chciała przezwyciężyć się nie utraciłabyś spokoyności. Abyś więc drugi raz nie wpadała w niecierpliwość, i pamiętała o teraźnieyszém oburzeniu się, skoro zaczynać będę historyą, natychmiast odeydziesz.

Teraz ci kochana Annulko powiém co iest siebielubość; ten iest siebielubny który o samym sobie tylko iest zatrudniony, o swoiey osobie, swych interessach, á iest bezwzględny dla drugich. Poznaiecie obiedwie że siebielubość przeciwi się dobroczynności, dobrze więc ów powiedział.

Nie iest ten dobrym kto tylko dla siebie, niechcąc ratować bliźniego w potrzebie. Łakomstwo różni się od siebielubości tém, że iest zbyteczném ko-

chaniem bogactw. Człowiek opanowany od téy niezbedney namiętności ſkąpi sam dla ſiebie naypożyteczniey-szych rzeczy, á na ubogiego i patrzyć niechce, aby go nie wſpomógł groſzem.

Julisia.

Mamuniu wszak ten obrazek w Xięgze wielkiey Pana Lawatera, okazuiący człowieka chudego, ſzpetnego, ieſt łakomcy.

Matka.

Prawda, Autor w tey xiążce dowiódł, że łakomſtwo ſzpetnym czyni człowieka, obdziera go z ozdób cnoty. Sobieluboſć bardziey ſię iednak przeciwi dobroczynności, nad łakomſtwo. Proś o co łakomego, byle nie o pieniądze, możesz od niego otrzymać, od tego zaś który ieſt ſiebielubny nie potrafisz.

Annulka.

Jeszcze miałabym o co ſię ſpytać, ale boię obrazić moią nieświadomością Ciotunię.

Matka.

Moia miła, wolę nieświadomość ſkromną niżeli umieiętność dumną. Mówić trzeba z lekarzem o tém co dolega, naylepszy ſpoſób pozbycia niewiadomości, wyznać przed temi którzy nauczyć mogą.

Annulka.

Życzyłabym bydź tak uczona iak Ciotunia.

Matka.

Nie ieſtem ia takową, wiele rzeczy mi nie doſtaie, codziennie ſtaram ſię pozbywać niewiadomości, i oświecać, abym coraz była lepſza i pożytecznieysza drugim.

Annulka.

Moia Ochmiſtrzyni mówiła że niewiaſty mądre, osobliwie, które czytaią wiele są dzikie, i wzgardzaią innemi, nie wierzę ia temu.

Matka.

Podobno sama twa Ochmiſtrzyni nie była mądrą. Wierzay mi, że kobiety uczoné, grunt maiące serca dobry, nie wzgardzaią mniey umieiącemi. Uczoné są ſkromnieysze nad nieuczoné, wiedzą bowiem, że wiele rzeczy znayduie ſię, których nie umieią, i umieć nie będą, mogą sobie przykrzeć mówiąc z takowemi, które o bagatelach ſtroiąch, trefieniach tylko gadaią, lecz umieią pokryć swą przykrość.

Julisia.

Ukrywać swoie sentymenta ieſt udawanié, Mamuniu, i nie ieſtże toż, co,

inaczey myśleć, á inaczey mówić?

Matka.

Kiedy indziey o tém pomówiemy. Pamiętay moia Annulko o tem, o coś się mię miała pytać; nie czas teraz, i kiedy skończę historyą, czas będzie wieczerzać.

(Julisia *odchodzi westchnąwszy.*)

Trzy Siostry Justyna, Karyta, Derezona.

Jeden zacny Oyciec miał trzy Córki między sobą niepodobné. Nazywały się Justyna, Karyta, i Derezona. Miały już lata doyrzałe, á Oyciec chcąc się dowiedzieć iak swego dostatku zażywać umiałyby, każdey dał do rąk na zapłatę pokojowey, na suknie, na wspomożenié ubogich, i coby im potrzeba było aby sobie kupowały. Justyna co kwartał wypłaciła swey słudze, kupuiąc zaraz płaciła, gdy kogo trafiło się iey ukrzywdzić, natychmiast nadgradzała. Dnia iednego poszła z Siostrami swemi do sklepu modnego, chcąc obaczyć kornet, trąciła kałamarz i zlała.sprawiedliwa rzecz żebym ci Panie zapłaciła za szkodę, rzekła, otóż masz co kosztuie.Derezona obrała dla siebie; wstąszki, gazę, mówiąc kiedy indziey zapłacę. Karyta nic nie kupiła. Powró-

ciwszy śię śpytały Siostry, czemuby nie kupiła korneta, wiemy że go potrzebuiesz, bo chce, odpowiedziała sama zrobić. Co za łakoma iesteś odezwała śię Derezona. Nie iestem, rzekła, widziałam dziś moią pokoiową strapioną, á gdy iey śię pytałam dla czego płaczę, westchnąwszy mówiła mi „ Matka moia „ uboga pracować nie może bo chora, „ żal mi iey „ Na co ia, moiá miła, zanieś te pieniądzę dla twey Matki (otóż to móy kornet) á gdy możesz, dopomagay iey, ia przez ten czas sama sobie posłużę. Dla tego to mówię ci kochana Justyno, ponieważ zapłaciwszy szkodę, zostało ci ieszcze dosyć pieniędzy, ia nie mam tyle, ileby trzeba do wspomożenia ubogiey. Byłam u niey i widziałam że wielki niedostatek. Żal mi iey, rzekła Justyna ale to do mnie nie należy, w niczém mi nie usłużyła, nie iestem obowiązana wspomodz iey. Otóż ia, odezwała śię Derezona, wspomogę, co za nieużyte serce masz Siostro Justyno, naszci kochana Karyto poszliy iey te trzy czerwone złoté. A nie iestże to wiele dla ciebie powiedziała Karyta całuiąc ią. Ah! nie, nie przeszkadzay mi dobrze czynić. Przy końcu roku chcąc Oyciec wiedziec

na co wydały pieniądze, kazał wszystkiem trzem podać wydatki. Rano nazaiutrz przyszła pokoiowa Derezony do Oyca, użalaiąc się że Pani nie płaciła, á proszącey odpowiadała, że nie ma pieniędzy, i dla tego dziękuie za służbę. W krótce przyszedł Kupiec do Oyca mówiąc, Córki starsze WCPana, co u mnie utarguią, płacą zaraz, ale młodsza nic, Panna Derezona za piora mi winna. Nadszedł i drugi Kupiec któremu za materye nie zapłaciła, Oyciec zaspokoiwszy Kupców, kazał zawołać wszystkie trzy Córki. Naucz mię moie dziecię, rzekł do Justyny, na coś wydała twé pieniądze. Móy Oycze, odpowiedziała, wyraziłam wszystko w tey xiążeczce. Bardzo dobrze, widzę że długi twoie popłaciłaś, ale czemuż nie ma napisano coś dała ubogim? Ale móy Oycze, zawstydzona rzekła nic nie dałam ---mam ieszcze pieniądze - - Oh! Mći Dobrodzieiu odezwała się Derezona bardziey ia się podobam nad Pannę Justynę, bo co miałam, dałam ubogim --- A długi pdpłaciłaś? ---spodziewałam się w przyszłym roku zaspokoić. A ty Karyto pokaż swóy wydatek --- Ja wypłaciłam moiey służącey, potrzebné nieuchybnie rzeczy kupiłam, resztą nie-

ſzczęśliwych wſpomogłam. Otóż tylko Karyta według mego zamysłu poſtąpiła sobie. Ty Juſtyno dobrześ uczyniła, płacąc co komu należy, ale żeby bydź dobrą, nie dosyć ieſt bydź ſprawiedliwą, lecz trzeba bydź i miłoſierną nędznych ile możności naſzey wſpomagaiąc. Ty Derézano, zapomiałaś że pierwey bydź trzeba ſprawiedliwą, niżeli miłoſierną, á czyniąc dobrze, należy ſtarać ſię aby uſzczęśliwiać z nami żyiących. Dawałaś iałmużnę tym, których nie znałaś, á zasmuciłaś pokoiową twą nie płacąc iey uſług, i niechce dąley ſłużyć. Popłaciłem twe długi, ale abym cię ukarał za nieſprawiedliwość, nie dam ci i groſza przez trzy mieſiące. Pieniądze które ci zoſtały Juſtyno są dla ciebie niepożyteczné, gdy na dobre uczynki nie wydaieſz, oddayże ie Karycie warta bydź maiętną, bo ieſt i ſprawiedliwa i miłoſierna. --- Nie byłże moia Annulko Oyciec ten ſprawiedliwy i iego ukaranie nie ieſtże sumienné?

Annulka.

Prawda Ciotuniu, bardzo mi ſię podobała ta hiſtorya; o iakbym była cieſzyła ſię, gdyby Julisia iey ſłuchała była.

Matka.

Matka.

Widziałaś, że nie czekaiąc powtórnego roſkazu poſzła. Żebym nadgrodziła iey powolność, iutro rano powiem też hiſtoryą Julisi.

Annulka.

Bardzo dziękuię Ciotuni.

ROZMOWKA SIODMA.

Annulka.

Obiecała Ciotunia wczorá wyłuſzczyć mi iedną rzecz, ale nie pamiętam iaką.---

Matka.

Zaraz---pewnie że nałog cnotliwy może zaſtępowac piękność, i że---

Annulka.

To to---Ale cóż to ieſt nałóg cnoty?

Matka.

Wtedy ieſt nałog cnotliwy, kiedy wykonywa ſię cnotę, ſkoro ſię nadaie okoliczność. Naprzykład, widząc raz ubogiego i dadź mu iałmużnę ieſt uczynek dobry; lecz zawſze wyſtrzegać ſię, aby nikomu nie bydź przykrym, usiłować zawſze, drugiemu uſłużyć ile tylko naſzey możności, otóż to prawdziwe dobro, otóż nałóg cnotliwy.

Annulka.

A ta dobroć możesz zastąpić piękność!

Matka.

Jakież skutki zwyczayne piękności.

Annulka.

Iest podobać się.

Matka.

Dobrze moie dziecię, piękné osoby nie zawsze się podobaią.

Annulka.

Słyszałam ia mówiących o Pannie Hortensyi że iest dumna z swey piękności! o iak pyszna, ledwie pozdrawia ludzi. Ja niechciałbym mieć ią za Żonę, rzekł ieden, á ia niechciałabym ią mieć za przyiaciołkę mówiła iedna Pani.

Matka.

Porówniay teraz piękną Pannę Hortensyą z młodą Panienką, która wczora z nami rozmawiała. Amelia nie iest tak piękna, lecz przyiemna, każdy ią lubi i chwali.

Julisia.

Bo obyczayna, łagodna. ---

Matka.

Zaiste---Patrząc na iey wesołość skromną, uznaie w niey serce dobre każdy.

Annulka.

Amelia bardziey mi się podoba, iak piękna Hortensya, lecz---

Matka.

Cóż!

Annulka.

Nauczała Ciotunia, że trzeba się strzedz przesądu, ponieważ śpiesznie sądząc można się oszukać.

Matka.

Więc rozumiesz że byłaby nierostropność kochać Amelią na pierwsze widzenie?

Annulka.

Tak mi się zdaie.

Matka.

Byłaby zaiste nierostropność, ze wszystkiem zaufać i wyiawiać wszystkie skrytości serca swego, dla tego że się fizyonomia osoby podobała Lecz dobré mniemanie o nieznaiomym sobie, ta skłonność która nas prowadzi do kochania, á nazywamy Sympatyą, częstokroć bywa upomnieniem dobrych przymiotów które posiada. Nic nie iest niebespiecznieyszego, iako bydź uprzedzonym przeciwko drugim; iakom wam mówiła dawniey, lecz nie toż się ma rozumieć dobrze sądząc o osobie, która sercu naszemu do smaku przypada: nad temi, którzy nikogo nie kochaią oprócz siebie, ubolewać należy, bo i onych nicht kochać nie będzie.

Annulka.

Słyszałam raz że wielu ludzi niewarci są kochania, ale nie zdaie mi się prawdą.

Matka.

Dobrze czynisz że nie wierzysz. Jeżeli nie wszyscy ludzie są dobrzy, wszyscy iednak bydź mogą, patrzać mamy na ludzi dopuszczaiących się wielkich błędów, iako na chorych, ubolewać nad niemi i życzyć nayprędszego uzdrowienia.

Julisia.

Ta Pani, która mówiąc o Pannie Hortensyi, powiedziała, że niechciałaby mieć ią za przyiaciołkę, uczyniłaż iey krzywdę?

Matka.

Bynaymniey. Bo przez mówę iey rozumieć się może, że póki Panna Hortensya byłaby dumná, nie byłaby zdolna do zawarcia z kim przyiaźni. Przyiaźń właściwie iest sentyment, ktory ma się ku małey liczbie osób, przekładaiąc oné nad inne, ponieważ zna się ie lepiey z gruntu, szacuie się bardziéy, ponieważ tak myślą iak i my o rzeczach ważnieyszych, ponieważ naostatek, tak nas kochaią, iak i my oné. Otóż moie dzieci widzicie różnicę między przyiaźnią, i przychylnością którą mieć powinniśmy

ku wſzyſtkim nam podobnym. Gdy mówią że więkſza część ludzi nie zarabia ná kochanie, źle mówią, ná wſzyſtkich mieć należy względność, i politowanie, nie mogą bowiem bydź bez iakiego przymiotu dobrego: Lecz oddaliliśmy się od naſzey mowy, porównaymy Hortensyą do Amélii, á obaczycie, dla czego iedna chociaż piękná, nie ma daru podobania się, á drugą lubią wſzyſcy, acz nie tak piękną, Hortensya niedobrze była wychowaná, powtarzano iey częſto, że piękná, i bogata, á gdy mało miała dowcipu, rozumiała że nie była obowiązana nabywać cnót, i przymiotów ſprawuiących przypodobanié. Maiący sercé dobré, i wiedząc, że bogactwa i piękność nie uczynią ſzczęśliwym, ubolewaią, że oná zakładała uſzczęśliwienié swoié ná dobrach podpadaiących utracie.

Annulka.

Nie rozumiem tego Ciotuniu.

Matka.

Bogactwa i piękność są dobra znikomé, to ieſt, że można oné utracić, lecz i te dobra ſzacowné, kiedy złączoné są z dobrami gruntownemi, iako to, ſkromnością, łagodnością, dobrocią. Hortensya nie miała tych przymiotów, dla

tego była dumna. Amelia zaś wszystkie miała, dla tego ią przekładali nad Hortensyą.

Annulka.

Nie iestże zawsze wielkiem szczęściem bydź bogatą? Ná cóż mówiąc o ubogich, nazywaią ich nieszczęśliwemi?

Matka.

Nie można wnosić, aby bogaci zawsze byli szczęśliwemi. Mieć rozum głęboki iest wielkie szczęście, á iednak nie zawsze przynosi prawdziwe szczęście i szacunek. Toż samo mówić można o bogactwach.

Annulka.

Mnie się zdaie że więcey szacuią bogatych niżeli ubogich.

Matka.

Niedawno czytałam piękną historyikę w xiążce Niemieckiey: *Przyiaciel dzieci.*

Julisia.

Rozumiem że ten Autor podobny iest do Mamuni.

Matka.

Prawda, że on i ia do iednego dążemy. Ale słuchaycie historyi. - - - - Pan Duboa poiechał ná wieś w lecie z troygiem swych dzieci, dla użycia wolnego powie-

powietrza. Dał każdemu po dziesięć talerów, żeby na co obrócili, dodaiąc, żeby przed powrotem do miasta rachunek wydatku swego zdali. Gdy czas ten nadszedł. Filipek starszy z dzieci rzekł do Oyca. Tatunio mię pochwali, wiém, bo nie straciłem pieniędzy, pobiegł do biurka przyniosł i na stoł wysypał. Azaż niedobry iá Ekonomista? Bardzoś wielki Ekonomista, rzekł Oyciec, powiem ci w krótce moie zdanié. A ty Ludwisiu, (młodszy był ten Syn) coś zróbił z twemi pieniędzmi! ,, Ja móy Tatuniu po Xiążęcu sobie postąpiłem, wszystkie dziesięć talerów zmieniłem na grosze, á gdy w Niedzielę zgromadziły się chłopskie dzieci, rzucałem im. O iak się oni uganiały o iak się załby wodziły, ledwiem nie pękł od śmiechu! Ale to nie wszystko, Rodzice nadeszli ich, gniewali się, że sukienki świętalne zbłociły, poszarpały, i chłopaczkowie były złaiané i obité.---Pan Duboa głową ruszył i zawółał Karolinki --- A ty moia Córko na coś użyła pieniędzy? Karolinka zarumieniła się, i zdawała się nie śmieć wytłumaczyć. Oyciec zadziwiony iey pomieszaniem przynaglał że-

by powiedziała. Ponieważ, rzekła, Tatunio mi powiedzieć rozkazuie, otoż się przyznam. Wiesz Tatunu, że ubogi Syn Stolarza z drabiny spadł, i złamał nogę. Zlitowałam się nad nim, i posłałam przez moią sługę zapłatę Cyrulikowi, kosztowało mię złotych trzy. Jednego dnia będąc w stodole przypatrowałam się młocce, Córki młocków dwie w rownym prawie ze mną wieku bawiły się, i obiegały. Wychodząc z pokoiu wzięłam była z sobą Bayki Gelerta, i położyłam na ławce przy moiey robocie. Dwie Siostry otworzyły xiążkę i przypatrywały się. Spytałam się ich czy mogą przeczytać. Nie, odpowiedziały - Nie chodzicież do szkoły ? rzekłam. Z ochotą chodziłybyśmy, odezwały się te ubogie dziewczynki, lecz nasz Oyciec nie ma czym zapłacić. Opowiedziałam moie zadziwienie Oycu ich. Ah! rzekł, skądże wezmę pieniędzy, mam żonę chorą w chałupie, á co wyrobię to ledwie wystarczy ná wyżywienie. Gdybym posyłał dzieci do szkoły, trzebaby dwanaście groszy płacić na tydzień, á gdy ich dwoie to dwadzieścia cztery, á na xiążki nie trzebaż? --- Rzekłam do Córek, ieżeli chcecie do Szkoły cho-

dzić, ia zapłacę wszystko, á te poczciwe dziewczynki skakać z radości poczęły --- Wydatek cały wynosi na miesiąc złotych trzy i groszy sześć, zapłaciłam trzy złote przodem, á oprocz tégo xiążki kupiłam; wydałam talarbity różnemi czasami na ubogich, dwa złote za talerz, który stłukł biédny Jasiek (niechciał powiedzieć Tatuniowi, żeby się nie gniewał). Dwa złote i groszy dwanaście na chustkę w dzień Jmienin moiey służącey, z reszty kupiłam dla mnie dwoie xiążek --- Dosyć tego rzekł Oyciec przytulaiąc do siebie Karolinkę, ty iesteś moia naymilszá Córka, samaś tylko naylepiey użyła pieniędzy, nie będę od ciebie wymagał więcey rachunku. Ty Filippie odday twóy skarb Karolince bo to iedno iakbyś skorupy trzymał zamknięte. Ty Ludwiku nie umiesz zażyć pieniędzy, rozrzucaiąc między chłopców, żadnemu dobrześ nie uczynił. Jeźli ci kiedy dam, żebyś ich nie wydawał bez rady Karolinki, i zawsze idź za radą iey, póki rozsądnieyszym nie nauczysz się bydź, na co masz ich użyć.

Julisia.

Mamuniu ta historya bardzo podobna

do historyi o trzech Siostrach, Justynie Karycie i Derezony.

Matka.

Prawda, że iest podobna. - - - Powiedz mi kochana Annulko, co myślisz o Karolinie i Braciach iéy!

Annulka.

Ja myślę, że Ludwik iest rozrzutny, Filip łakomy, Karolina rozsądna.

Matka.

Bardzo dobrześ powiedziała: Kogoż rozumiesz z nich szczęśliwym.

Annulka.

Zaiste Karolinka nayszczęśliwsza.

Matka.

Ludwiś iednak powiedział, że wielkie miał ukontentowanie rozrzucać grosze.

Julisia.

Ale to ukontentowanie trwało krótko. Mamunia mi raz powiedała że są fałszywé cnoty, nie możnaż mówić że są i fałszywe uciechy, które krótko trwaią i po sobie zostawuią smutek. Pan Ludwik, chlubiąc się, że użył pieniędzy po Xiążęcu, mocno się zasmucił słysząc kiedy Oyciec mu to zganić musiał.

Matka

W samey rzeczy, rozrzutni maią uciechy fałszywé.

Julisia.

Co za różność między Ludwikiem i Karolinką ta codziennie miała ukontentowanié dopomagaiąc to owemu Stolarczykowi, to swey pokoiowey, to dziecióm wieśniaków.

Matka.

Mówmy o Filippie, rozumiesz pewnie Annulku że dziesięć talerów uczyniło go szczęśliwym.

Annulka

Nie, ponieważ nie użył onych na dobre, tak właśnie gdyby kto mi dał zabawną xiążkę pod tém warunkiem abym iey nie otwierała, na cóżby mi się zdała.

Matka.

Wszak Karolina i bracia iey byli miani we wsi za bogatych.

Annulka.

Tak moia Ciotuniu.

Matka.

Mówiłaś kiedyś, że bogaci więcey mogą nad ubogich, i bardziey tamtych poważaią.

Annulka

A ia rozumiem że naywięcey warta poważania i szacunku Karolinka, ponieważ umiała dobrze użyć pieniędzy.

Matka.

Dla tegoć ią nazwaliśmy nayszczęśliwszą. Otóż widzisz Annulku, że ani zasługa, ani szczęście iest mieć pieniądze, nieumiawszy ich dobrze użyć.

Julisia.

Mamuniu, mam o iedną łaskę Mamuni prosić, abyś raczyła ów obrazek w xiążce *Przyiaciel dzieci*, nam wytłómaczyć, oto siedzi dziewczynka na snopie, zdaie się bydź płaczącą, bardzom widzieć ciekawá co to znaczy.

Matka.

Wkróce zabawi cię bardziey ten obrazek, iest on oznaczaiący Komedyikę zwaną *Zbieraczka kłosow*, przełożę ią dla ciebie.

Julisia.

O iakże Mamunia mię kocha!

ROZMOWKA OSMA.

Julisia.

Mamuniu, będziemyż czytać *Zbieraczkę Kłosow*

Dopierom co skończyła iéy przełożenié.

ZBIERACZKA KŁOSOW
KOMEDYIKA.

OSOBY.

Pan Sentbon *Bogaty Szlachcic na wsi.*
Franuś) *dzieci Pana Sentbona.*
Henrysia)
Pani Sansy *pod Jmieniem Ludwiki Walle.*
Amelia *Córka Pani Sansy.*
Gryffot *Sługa Pana Sentbona.*

Teatr okazuie pole, na którym zboże zżęte, stoi w kopach, i snopach, na boku pola Dwór, á z drugiey strony chałupy wieśniackie.

SCENA PIERWSZA.

Amelia, *niesie na plecach kosz, zdeymuie go, stawia przy snopie.*

Otóż chwała Bogu szczęśliwy początek! co za radość będzie dla moiey Matki! --- (*zaziera w kosz, wesołość okazuiąc na twarzy.*) Ten poczciwy starzec prawie napełnił móy kosz; cały tydzień zbieraiąc nie nazbierałabym tylo. ---- Nigdy o dobroczynności iego nie zapomnę! --- (*przechodzi się zbieraiąc kłoski.*) Gdybym ze dwie garści nazbierała, iuż.

by się nie zmieściło w kosz---Ale cóż to za człowiek tak szybko biegnie?---powiedziałby kto, że mi z daleka grozi--- nic mu nie uczyniłam.---

SCENA DRUGA.

Gryfot, Amelia.

Gryfot *porywaiąc za ramię.*

A tuś złodzieyko! mam cię w ręku-- Otóż to tak pozwalać wchodzić do wsi włoczęgóm!

Amelia.

Czego chcesz odemnie! Ja nie ieſtem złodzieyka, ieſtem uczciwa Panna.

Gryfot.

Uczciwa Panna? uczciwa Panna? (*wyrywa iey kosz z rąk.*) A co to, w tém koszu, uczciwa Panieneczko?

Amelia.

Kłoſki, wszak sam widzisz.

Gryfot.

A te kłoſki rosnąż w twym koszu?

Amelia.

Gdyby rosły, nie potrzebaby mi trudzić ſię było zbierać po zagonach.

Gryfot.

Więc ſkradłaś ie.

Amelia.

Przebóg! co mi mówisz! wolałbym umrzeć od głodu ia i Matka moia---

Gryfot.

Samé nie wlazły w kosz.

Amelia.

Szukałam po polu kłośków, widząc mnie poczciwy Starzec, przybliżył śię i rzekł. O ubogie dziecię, mocno śię trudzisz, muśzę ci ulżyć pracy----to mówiąc wziął kłosów wielką przygarść z snopa, wrzucił do mego ko za i dodał. Dobrze uczynić ubogim nigdy nie ieśt bez nadgrody.

Gryfot.

O łgarko! trzebaby ci dodadź na grzbiet --Żadnego nie widziałaś śtarego, á kłosy te są prawdziwé z naszych snopów ukradzioné.

Anelia.

Ani śię tknęłam snopka. Niechay mię Bóg broni! Te kilka kłośków zebrałam z ziemi, wszak ieśt wolno; á ieżeli i tego żałuiesz, z ochotą ci oddam.

Gryfot.

Otóż poczciwa Panieneczka! muszą i te kłosy, i które są w koszu zośtać, i ty sama nu no, nużeno, poydźmy---

Amelia zalękniona.

Ah! dobry Panie, cóż to mówisz?

Gryfot.

Móy dobry Panie!---poydź, poydź, kiedy ci mowię, do więzienia, pięknıutka--do więzienia.

Amelia.

Dayże mi pokóy na Boga cię proszę. Przyfięgam, że nie brałam z snopów, tylko te kilka kłosów z ziemi podniosłam. ---Matka moia uboga umrze z smutku, ieżeli do niey nie powrócę w wieczór, i ieżeli się dowié, że iestem w więzieniu.

Gryfot.

Tak mi nic po twoiey Matce, iak i po tobie, á chociażby umarła nie wielka szkoda. ---owszem wioska obeydzie się bez niey.

Amelia płacząc.

O! gdybyś wiedział iak Matka moia iest dobra, i iak my obie iesteśmy ubogie, litość miałbyś nad nami!

Gryfot.

Nie dla tego ia tu iestem, żebym się litował, ale mi płacą za to, żebym bronił kradzieży, á których złapę muszą bydź zamknięci na dni kilka.

Amelia.

Chociażby nic złego nie zrobili, i byli niewinnemi tak, iak ia sama?

Gryfot.

Którzyby napakowali kosz, i byli złodzieiami, kłamcami, iak ty poczciwa Panna---Nuże poydź.

Amelia pada do nóg przy snopie.

Proszę cię, zmiłuy się---zmiłuy się---

Gryfot.

Nie, nie---musisz isdź ze mną, (*porywa ią za rękę.*)

Amelia.

Dopierom co przyszła! co za nieszczęście po cóżem przyszła?

Gryfot.

A co dla mnie to szczęście---

Amelia.

Na ci, weź kosz móy---iest on ubogiey, nie wyidzie ci na dobré--ale mnie puść---Zmiłuy się--uczyń nie dla mnie, ale maiąc wzgląd na Matkę ubogą, ia iestem iey iedynaczką, iedyną iey pomocą, i pociechą!

Gryfot.

Ponieważ tak się prosisz, to cię i puszczę.---Jdźże iuż lecz kosza nie weźmiesz, muszę go zanieść do Wóyta. Piątek iest dzień sądowy, usłyszysz coś zarobiła (*bierze kosz od klęczącey płaczącey i łkaiącey.*) Milcz--bo obaczysz--(*odchodzi mrucząc*) gdyby nie pilnował człowiek, z pniaby nawet kradli.

SCENA TRZECIA.

Amelia *samá opartszy się głową o snop płacze, á potem około ogląda się.*

Ah! już przecie go nie masz! o biednam! iakże mię przestraszył --- Jużci

po mnié---nawet koszyk porwał--i cóż ---cóż ieszcze na mnie padnie, i na moią ubogą Matkę!---(*zastanowiwszy się troche.*) O ptaszęta odemnie szczęśliwsze ieszczęście, nię bronią wam pożywić się, á mnie nie daią.---Ale może znayduie się iaki człowiek nielitościwy tak iak ten, który zakradłszy się za kopę zabiera wam wolność i życie ---Cóż ia to czynię, może i to iest wyskępkiem---iż głowę moią wsparłam na snopie---Któż to to, których ia widzę idących.

SCENA CZWARTA.

Franuś, Henrysia, Amelia ociera oczy z płaczu.

Franuś.

Czyliź nie ta dziewczyna, którą napotkał bierącą nasze kłosy? (*Amelia z płaczu nie może odpowiedzieć.*)

Henrysia *pilnie iey przypatrzywszy się, na stronę odprowadza Franusia.*

Móy braciszku piękna ta dziewczynka, nie zasmucay ią twém pytaniém--i cóż to iest co wzięła! (*przybliżywszy się do Amelii.*) Uboga dziewczyno! cożeś to?--

Amelia.

Pytanié do żywégo doymuiącé, które mi Paniczu zadaiesz; niesłusznie oskarżonam od niedobrego człowieka.

Franuś.

Niesłusznie! nie sprawiedliwie?

Amelia.

Tak ieſt, zbierałam kłoſki na owym polu bliſkim tego, á w tém nadszedł ſtarzec, wyrwał garść kłosów że swego snopa, iedną i drugą napełnił mi kosz, przysz am na to pole zbierać trochę, napadł na mnie człowiek nazwał mię złodzieyką, zagrabił kosz, i samę mnie chciał zaprowadzić do więzienia, ledwiem ſię uprosiła płacząc, aby miał na mnie litość przez wzgląd na Matkę moią ubogą.

Henrysia.

Ah! gdyby ieszcze był zamknął! Nie bóy ſię idź, mamy Oyca naylepſzego, nie dozwala on naymnieyſzey przykrości czynić ubogim, Zarazby Gryfotowi kazał cię wypuscić.

Franuś.

Każe ci oddadź i twóy koszyk?

Amelia.

Móy kochany Paniczu, mogęż go mieć?

Henrysia.

Nic pewniéy: ia i móy braciſzek poydziemy prosić naſzego Oyca, bardzo rad ieſt, kiedy zaſtawiamy ſię za ubogiemi; więc i słowa nie wymówiwſzy Oycu naſzemu będzieſz miała koſzyk.

Amelia.

O! prawdziwie iesteś WCPanna szczęśliwa, że sama możesz czynić dobrze drugiemu.

Franuś.

A ty moia kochana ieśtżeś ubogą!

Amelia.

Gdybym nie była ubogą nie przychodziłabym szukać kłosów na chleb.

Henrysia.

Alboż to szukasz kłosów na chleb?

Amelia.

Tak iest Mościa Panno, gdyby moia Matka i ia miałyśmy dosyć---

Henrysia.

Ja rozumiałam, że zbierasz abyś uprażyła á po tem szpilką ziarna wybierała i iadła, myśmy się tém raz bawili.

Franuś.

Nié nié, ia wiém że nayprzód młócą kłosy, potém posełaią do Młyna, á to na chleb-- lecz moia luba, z tego coś nazbierała, maleńkiby był bochenek.

Amelia.

Ah! móy Paniczu, chociaż na dzień i dwa-- żyłybyśmy przecie dzień lub dwa.

Franuś.

Otóż abyś przedłużyła dni twoié, masz odemnie ten pieniądz iest w nim ośm tro-

iaków (*dobywa z kieſzunki i daie.*)

Amelia.

O móy kochany Panie! tylo pienię-dzy! --- nie śmiem przyiąć.

Henrysia uśmiechaiąc ſię.

Tylo pieniędzy! --- weź --- ia nie mam woreczka mego, dałabym ci była co --- ale i nie zapomnę.

Amelia.

O co za dobraś WCPanna! ---

Franuś.

Weź to moiá lubá!

Amelia ściſkaiąc iego rękę.

Nie mogę wyrazić wdzięczności --- Matka moiá za mnie to uczyni.

Franuś.

Spodziewam ſię, że Oyciec móy za-robi na większą u ciebie wdzięczność. Ja poydę do Gryſota, żeby mi oddał twóy koſzyk albo ---

Amelia.

Nie czyń WCPan ſobie utrudzenia, dosyć na iego obietnicy.

Henrysia.

Powiedz mi moia kochaná gdzie mie-ſzkaſz?

Amelia.

Tu na wśi.

Franuś.

Ja cię pierwszy raz widzę, á my co rok

tu bywamy w czasy żniwa.

Amelia.

Osmy dzień iesteśmy dopiero, przed tém mieszkałyśmy w miasteczku o kilka mil ztąd, lecz nie mogłyśmy się dłużey wyżywić. Tam na dole mięszka kobieta w leciech, przyiaciołka moiey Matki---

Henrysia.

Jak się zowie?

Amelia.

Nazywaią ią po imieniu Regina.

Franuś.

A! staruszka Regina, mąż iey umiał naprawiać trzewiki; niekiedy widziałem ią pielącą w ogrodzie---znamy, znamy ią, poczciwá kobieta.

Henrysia.

Chceszże mnie zaprowadzić do twéy Matki.

Amelia.

Wielkieby było szczęście dla niey--- Panienka taka---

Henrysia.

Cóż to mówisz moia kochana, gdybyśmy my nas miały za lepsze od innych ludzi nie podobałoby się to Oycu naszému. Może inną masz przyczynę.---

Amelia.

Nie --- Owszem WCPanna będziesz

raczy-

raczyła wspomagać mię w cieszeniu moią ubogą Matkę, żem straciła kosz, i ieszcze mi ów człowiek groził. - - - -

Franuś.

Nieboy się tey groźby. O ten czas przez który moia siostra będzie u Matki swey, pòydę ia odzyskać kosz, i - - - powrocisszże się tu?

Amelia.

Jak WCPan roskażesz?

Franuś.

To ia pierwéy nadeydę.

Henrysia.

Uczyń tak braciszku.

Franuś.

Uczynię z ochotą.

Amelia.

Mogę ia przyśdź z moią Matką, o iak będzie dziękowała za waszą dobroć!

Henrysia podaiąc rękę.

Jdźmyż (*idą razem*)

SCENA PIĄTA.

Franuś sam.

Bogu dzięki, że iesteśmy z siostrą szczęśliwemi, i nieprzymuszeni iesteśmy zbierać kłosów iako ta dzieweczka - - - Ale prawdziwie ta dziewczynka tak pięknie mówi, iak by miała dobré wychowanie

---- ma coś w sobie przyiemnego. daleko różni się od dzieci wieyskich tuteyszych ---- przyiemna -- -- skromna -- możnaby mowić, że iest Aniołem cierpiącym. ---- Będę prosił mego Oyca -- Ale oto idzie --- i Gryfot za niem ---- i ieszcze trzyma koszyk! ----

SCENA SZOSTA.

Franuś, Pan Sentbon, Gryfot.

Franuś biegąc do Oyca.

O móy Tatuniu, o iak iestem kontent że cię spotkałem --- (do Gryfota) odday mi ten kosz.

Gryfot.

Zwolna Mospanie, nienależy się mi go wydzierać.

Pan Sentbon.

Co ty masz do tego kosza Franusiu?

Franuś.

Kosz ten iest ubogiey dzieweczki, któréy dziwny Gryfot wydarł zbieraiącey kłóski --- móy Tatuniu o gdybyś ią poznał!

Gryfot.

Ha! ha! ha! dziwak Gryfot, że pełni swą powinność, że złodzieiom przeszkadza -- a za cóż mi płacą?

Pan Sentbon.

Nie raz ci mówiłem Gryfocie, żebyś

pilnował, aby moi poddani nie byli napaſtowani od Rabuſiów, prożniaków, drabów, abyś oko miał na reperacyą domów, mostów, tam, dróg, &c. krótko mowiąc dbał o wſzyſtko. Lecz nieżebyś z ubogiemi obchodził się oſtro, a oſobliwie z osobą, która chce z okruſzyn moich poſilić się która zbiera kłosków kilka na życisku.

Gryfot.

Nayprzod niechay iak chcą zbieraią ubodzy, ale nie wprzod, aż z pola zbierzemy, ale gdy kopy na polu wtedy--

Franuś.

W tedy pewnie kiedy pole zorzą, albo kiedy Sniegi okryią -- niedosyć że mieć będą zbierać, nie prawdaż?

Gryfot.

WCPan Paniczu nierozumiesz --- Powtore któż upewni nas, że ta dziewczyna i Makta iey nie są złodzieie?

Franuś.

Złodzieie! o Boże złodzieie! ta piękna dzieweczka niepowiadałaż iż nic nie wzięła, że ſtarzec iakiś nakładł iey kłosów w kosz z swego pola?

Gryfot.

Powiedziała --- powiedziała --- właśnie

śnie iakby należało wszystkim co mówią wierzyć, --- ia ią sam napadł przy snopku -- --

Pan Sentpon.

Z którego ciągneła kłoski?

Gryfot.

Nie smogę ia tego twierdzić --- ale niżelim nadszedł niemogłaż była wyciągać? --- więc kłamstwo żeby iey dał iaki starzec -- -- bardzo są datni nasi Chłopi?

Franuś.

A ia utrzymuię że iey dał, ponieważ sama powiedziała, a tak poczciwa dziewczka nigdy nie kłamie.

Gryfot.

A WCPan Paniczu nieskłamałżeś nigdy iednak pewna że Panicz dobry że - -

Franuś

Otóż moy Tatuniu o co mię ten dziwny Gryfot obwjnia --- (*do Gryfota z smutkiem*) nie kłamię, bo gdybym kłamał, byłbym nie poczciwym, więc niekłamię, ani ta poczciwa dziewczynka, ale ty --- ty iesteś ---

Pan Sentbon.

Uspokoy się --- lubię cię za to, że bronisz owey Panienki. Trzeba trzymać,

że wſzyscy ludzie są poczciwi, póki niemielibyśmy dowodów przeciwnie o nich rozumienia, lecz niepowinniśmy się gniewać na tych, którzy inaczey myślą niżeli my, przyiemnie należy ich do naszego zdania nakłaniać.

Gryfot.

Nie, nie, Panie, roſtropnieyſza rzecz sądzić, że wſzyscy ludzie są zli, póki nie będziemy mieć dowodów przekonywaiących nas, że są dobrzy, tak czynić ieſt rzecz bespiecznieyſzá. Widząc naprzykład zachodzącego mi wołu, myślę, może mię rogami ſwemi ubodz, i schodzę z drogi, może to zwierzę bydź ułaſkawione, ale ia go chroniąc się, beſpieczniey czynię.

Pan Senthon.

Gdyby wſzyscy ludzie myśleli iak waſzeć, kedyżbyśmy się podzieli. Cóżby się działo z Gryfotem, gdyby ſtrażnik waſzeci poymał iako człowieka niemaiącego świadectwa alboż bym ia ſtaremu żołnierzowi dawał u siebie pożywienie czyniąc go dozorcą pól, gdybym miał opaczné mniemanie o rodzie ludzkim?

Gryfot.

Prawda; ale ia ieſtem poczciwy, trzeba na to przyſtać.

Pan Sentbon.

Jesteś takim i u mnie; bo ia trzymać mam nieinaczey uważaiąc waszeciną fizyonomiią i mowę.

Franuś.

O móy Tatuniu! ieżeli można polegać na fizyonomii i mowię upewniam, że twarz owey Panienki większą poczciwość okazuię niżeli Gryfotowa.

Gryfot.

Za katy! czyliż się niespodziewasz Paniczu że Pan każe ią dla niego edukować, ponieważ tak mu się ta dziewczyna podoba --- Mnie się zdaie, ze więcey o cnocie trzymać należy tey twarzy, iaka moia bliźnami okryta, niżeli twarzyczki dziewczyny, któréy Matka niewiem iaka.

Franuś miną grożącą.

Gryfocie radzę ci abyś milczał, bo---

Pan Sentbon do Gryfota.

Znasz że tę dzieweczkę?

Gryfot.

Znam, i nie znam: To wiem że ośmy czyli dziewiąty dzień iest we wsi, ale co ona iest i skąd przybyła, należy wiedziec o tém do Woyta. Ja mówię że iest nierozsądek przyimować do wsi ubogich których Parafia musi żywić.

Franuś.

Otoż ia ią żywić będę.

Gryfot.

A maszże Panicz co swego własnego?

Franuś.

Jeżeli nie będę miał dosyć, uproszę u Tatunia czego potrzeba będzie.

Gryfot.

Porzućmy to --- Ta dziewczyna przyszła z swą Matką, i obydwie mieszkaią u starey Reyny Parafianie szemrzą --- Matka zapewnie umiała Woyta przychylnym sobie uczynić (*okazuie ręką rachowanie pieniędzy*)

Franuś.

Poczekayno, poczekay, powiem ia Wuytowi.

Pan Senthon.

Zwolna Franusiu --- Widzę Gryfocie że waszeć niepozbyłeś swych starych maxym. Wieszże o tem, że wolno mieć złe mniemanie o tym, który zle rozumie o drugich? Przeto iestem prawie u siebie przekonany, że gdyby ta dzieweczka dała iaki podaruneczek waszeci niewziąłbyś kosza.

Gryfot.

Jako! cóż to znaczy? możesz WCPan wierzyć ---

Pan Sehtbon.

Co chcesz mówić? nie masz się dziwić --- wszystkich ludzi poczytuiesz póty za złych i niepoczciwych póki niebędziesz miał dowodów przeciwnych. Wierzysz, że ta uboga dziewczyna ukradła kłosy, boś ią napadł przy snopie Wierzysz, że wóyt daie się przekupić, bo dozwolił ubogiey kobiecie, zabawić się we wsi, a ia wierzę że nie napastowałbyś ubogiey dzieweczki, gdyby cię czem udarowała była. Tak rozumiem o waszeci, iak waszeć o innych, a gdy ci wolno, toć i mi wolno.

Gryfot.

Głupim ieſt, żem powiedział moie zdanie. Niechayże odtąd co chce dzieie się, nie będę tamował, żebraków, niechay kradną z pola z łąk, lassów, i ogrodów --- Paniczu oddaszże mi kosz?

Franuś.

Nie, zapewne nie Tatuniu proszę ---

Pan Sehtbon

Gryfot, zaniesiesz sam koszyk do tey młodey Panienki, albolitеż do iey Matki abyś ie przeprosił ---

Gryfot.

Przeprosił! --- ia ma przepraszać -- ia --- a dlaczego?

Franuś.

Ponieważ byłeś przykrym Panience, ponieważ krzywdę iey uczyniłeś---

Gryfot.

Czyliż Panicza zdobi popieraczem bydź żebraków? Jeżeli sam niezaydzie do nich koſzyk, nieponiesę ia go. Wysłużony Zołnierz ma tę podłość czynić, przepraſzać włòczęgów!

Pan Seńtbon.

Widzę Gryfocie, że nie mogę waſzeci do rozumu przyprowadzić. Wierzay mi, gdybym waſzeci ukrzywdził, ſambym nayprędzey go przeprosił: abyś więc uwierzył że to prawda, otoż za waſzeci poczciwą Panienkę przeproſzę.

Gryfot do Franusia.

Moſpanie odday mi WCPan kosz.

Franuś.

Nié, nié, móy Tatuniu. Powròci tu owa poczciwa; Moiá Sioſtrzyczka poſzła z nią do Matki iey, aby cieſzyła po utracie koſza.

Pan Seńtbom.

Tém lepiey.

Gryfot.

Jeżeli tém lepiey, niemam ia co tu robić (*odchodzi mrucząc*) Widzę że naſzà piękna wioſka, w krótce będzie siedli-

ſkiem żebraków, a nam przyidzie ſamym żebrać.

SCENA SIODMA.

Pan Seńtbon Franuś.

Franuś.

Słyſzałże Tatunio, co Gryfot odchodząc ſzemrał.

Pan Seńtbon.

Słyſzałem dobrze i przepuſzczam mu dla iego gorliwości.

Franuś.

Ale iak Tatunio cierpieć może tego nielitościwego człowieka, niedobrego.

Pan Seńtbon.

Nie ieſt on niepoczciwy moie dziecię, cholera, burzliwość iego pochodzi z gorliwości o naſze dobro, gorliwość wprawdzie nieurządzona, lecz ieſt Gryfot wierny i swą powinność do krzty wykonywa.

Franuś.

Prawda---lecz ieſt nie ſprawiedliwym.

Pan Seńtbon.

Wſzak widzisz, iż poczyta siebie za ſprawiedliwego. W tem się myli, że wykonywaiąc ſwóy obowiązek nie ma rozsądku w czynieniu różnicy między tą a tą osobą, między tą a tą okolicznością.

Franuś.

Ale to ieſt nierozum.

Pan Seńtbun.

Ma rozkaz aby zatrzymował włoczęgow, do Woyta ich prowadził, iako także próżniaków złodzieiów ‒ ‒ ‒

Franuś.

Rozumiem, przeto za ludzi złych, ludzi niebeſpiecznych, poczytuie tych, którzy przymuſzeni są wyżywiać się z dobroczynności drugich, niechce wchodzić, ani mieć uwagi na lata, na słabość, na potrzebę że nędzni muſzą żebrać.

Pan Seńtbon.

W tem czyni niedobrze ‒ ‒ ‒ Ale wieſzże moie dziecię, żeś w umawianiu się z Gryfotem, tyleś okazał porywczości, ile i on: iakże możesz wiedzieć, że Matka tey dziewczyny ieſt uczciwą; i iakże wiesz, że Córka nie ieſt kłamca i niesmykała kłosów z snopa?

Franuś.

Tatuniu, to bydź niemoże.

Pan Seńtbon.

Czemuż? iakiż maſz dowód? wieſzże co ieſt, i co Matka iey, ſkąd przybyły?

Franuś.

Dosyć ieſt widzieć ią, i mówiącą słyszeć. Fizyonomiia iey, mowa, łzy ‒ ‒.

Na cóż mi dowodów, innych nędznego onych stanu, nad zbieranie kłosów, żeby mogły żywić się! --- godziż się w niepewności, czy warte są wsparcia, dopuszcząc aby ubogi z głodu umarł? wszak Tatuniu nieraz mi mówił że ---

Pan Sentbon.

Przybliż się do mnie moy kochany Synu abym cię uściskał zachowuy te sentymenta zawsze względem ubogich, Lepiey iest bydź łagodnym niżeli ostrym, rzadko bowiem żałuię się bydź nad to łagodnym, obchodzenié się zaś okrutné grubiańskie sprawuię gryzotę sumienia, i iest bardzo trudné do naprawienia --- Jeżeli ci którym dobroczyniemy niewarci są w tém ich winna, nie naszá.

Franuś.

Ale rzecz nieznośna zlecać dozor takowym iaki Gryfot, mogą bowiem niesprawiedliwości dopuścić się.

Pan Sentbon.

Gdybym dał władzę Gryfotowi karania i uwalniania, twoia uwaga byłaby rozsądna. Niemoże wiec wykroczyć grubo, a iezeli w czym małym łatwo można poprawić --- Ale gdy przychodzi co roztrząsnąć, rozsadzić, w tedy iest powinność Wóyta, znasz go że iest

sprawiedliwy, oświecony. Więc pozwolenie iego dla owey kobiety ubogiey nie iest podeyrzane, a do tego ta u którey mięszka to iest Reyny, iest niewiasta poczciwa.

Franuś.

A gdyby Gryfot tę panienkę luba był obił wszak groził iey!

Pan Sentbon.

Tegoby nigdy nie uczynił, bom mu zakazał pod utratą urzędu iego, aby chociażby zastał kogo źle czyniącego nieważył się uderzyć, i wiesz, że do ostatniey kryski zachowuie przepis.

Franuś.

Tatuniu otóż moia Siostra idzie z panienką ową---

SCENA OSMA.

Pan Sentbon, Franuś, Henrysia, Amelia.

Franuś *biegnie ku Amelii, trzymaiąc kosz w ręce.*

O to masz twóy koszyk,---i kłoska iednego niebrakuie.

Amelia.

O móy piękniutki koszyku! ---Dziękuią Naymilszy Paniczu --- (*postrzegła Oyca*) Co to za Pan?

Henrysia.

Jest to nasz Oyciec (*przybliża się do Pana Sentbona i całuie rękę iego*)

Franuś do Amelii.

Bardzo dobry, niczego się nieböy przybliż się (*prowadzi ią za rękę do Oyca*) złaiał mocno Gryfota że ci wziął koszyk.

Amelia przybliża się z boiazną i całuię rękę Pana Sentbona.

Panie --- przepuść --- o iak zacné masz dzieci!

Pan Sentbon na stronie.

Dobrze mówił Syn möy! spoyrzawszy na nią, niemożna wątpić o iey niewinności. --- Wymowa, układ nieznaczą wychowanie pospolité.

Amelia cicho do Henrysi i Franusia.

Ah! podobno Oyciec wasz gniewa się na mnie! --- mówi cóś cicho.

Pan Sentbon słysząc to.

Nie, moia kochaná --- To co moie dzieci uczyniły tobie, uczyniły z powodu że bydź wartą zdaiesz się.

Henrysia.

Przepraszam Tatunia, nie zdaie się ona bydź wartą ale iest w samey rzeczy warta. O gdyby Tatuniu wiedział, iak ey Matka iest dobra!

Pan Sentbon.

Któż twoiá Matka, moia kochana? ſkąd przybyłyście do moiey wioſki, z czego żyiecie?

Amelia.

Żyiemy teraz --- Ah! bardzo mizernie, ſzyiemy, przędziemy, abyśmy zarobiły kawałek chleba --- piętnaſty temu dzień iako Reyna radziła moiey Matce, aby mnie posłała na zbieranie kłoſków i na moie nieſzczęście, nieudało się.

Franuś cicho do Amelii.

Nie będziesz więcey miała tego nieſzczęścia. Moia sioſtra ze mną prosić będzie Tatunia żeby ci kazał dawać zboża, a tak iuż niebędziesz zbierała kłoſów.

Pan Sentbon.

Kędyżeście przed tém były?

Amelia.

W Miaſteczku stąd trzy mile, bardzo było drogo dla nas, i poczciwa Reyna obiecała nas mieścić u siebie bez zapłaty.

Pan Sentbon.

Kiedy ludzie ubodzy miłosierdzie czynią tém bardziey my powinniśmy --- Żyież twóy Oyciec --- Jaki iego ſtan?

Franuś.

Dałbym wiem co, że niebył chłop.

Henrysia.

J ia, zwłaszcza poznawszy iey Matkę.

Amelia pomieszana.

Moy Oyciec!---niemam go---i niemiałam szczęścia widzieć go---po śmierci iego urodziłam się---O gdyby żył!

Pan Sentbon.

J niewiesz kto był? iak się nazywał.

Amelia.

Moia matka zowie się Walle, powie Panu lepiey niżeli ia.

Pan Sentbon.

Niemożeż z nią mówić?

Henrysia.

Przyidzie tu zapewne skoro się przebierze.

Pan Sentbon.

Ktoż cię wychował!

Amelia.

Matka moia nauczyła mię pisać, czytać, powinności Religii, i rysować nieco.

Pan Sentbon z zadziwieniem.

Rysować---zaiste musi bydź zacnego urodzenia, a nieszczęście iakie w nędzę ią wepchnęło.

Henrysia.

Otóż idzie.

Franuś.

Taż to?

Amelia biegnie ku Matce.
Pan Seńtbon na ſtronie.

Muſzę ſię dowiedzieć taiemnicy --- Coś mi się ochapia twarz tey Panienki, zdaie mi się, że znam podobną.

SCENA DZIEWIĄTA.

Pani Sanſy i poprzedzaiący.

Amelia *do Matki nieco pomieſzaney widzeniem Pana Seńtbona.*

Poydź Mamuniu, nieobawiay ſię, ieſt to Oyciec tych dwoyga miłych dzieci za nas wſtawiaiących ſię, bardzo dobry, --- dobry tak iak mamunia.

Pani Sanſy z wolna idzie, Henrysia bierze ią za rękę i ociągaiącą się prowadzi do Pana Seńtbona.

Pani Sansy.

Panie --- spodziewam się że nie będzieſz miał podeyrzenia o biedney moiey Amelii że ---

Pan Seńtbon.

Przeſtań moia Pani, byle spoyrzeć na WCPanią i iey kochaną Corkę, nie można mieć żadnego podeyrzenia.

Franuś do Henryśi.

Amelia nazywa się! --- Moy tatuniu

wſzak znać, że nie iest wzwyczaioná kłoſki zbierać ku ſwym wyżywieniu.

Pan Sentbon.

Cóż na to mówiſz moia Pani?

Pani Sanſy.

Piérwſzy raz przymuſzoná była zbierać kłoſki, tak to potrzeba każe nam czynić niekiedy to cośmy nigdy nie czyniły, a byle nas nieupódlało.

Pani Sentbon.

Uboſtwo z ſamego siebie nie ieſt podłe --- Mogęż od WCPani dowiedzieć się, ktoś ieſt! ſkąd tu przybyłaś!

Henrysia.

Wiemy że się nazywa Walle.

Pani Sanſy.

Nie ieſt tu mieyſce, abym taiła moié prawdziwé nazwiſko, owſzem dla uſprawiedliwienia ſtanu teraznieyſzego w którym mię Pan widzi muſzę odkryć. Jednak chciałabym (*ogląda się na dzieci*) na oſobności wyznać; nie żebym wſtydzić się miała mego uniżenia, lécz gdyby ludzie poſpolici wiedzieli, mogliby tacy się znaleść, ktorzyby urągali się z moiey nędzy; tak i my poſtępuiemy podobno, będąc w powodzeniu.

Henrysia.

Ja nikomu nie powiem, przyrzekam, a córkę WCPani będę miała za przyiaciołkę.

Franuś.

Ja nie będę słyszał.

Pan Sentbon.

Wierzay mi WCPani, że niepytałbym się o prawdziwe iey Nazwisko, gdybym nie zamyślał odmienić iey stan.

Pani Sansy.

Urodziłam się nie maiętną, lecz z familii Szlacheckiey, wychowałam się w Turyngii u zacney Pani, i byłam przy niey za respektową Pannę. Pod czas ostatniey woyny, zabrałam znaiomość z zacnym Officerem Pruskim zwanym Sansy.

Pan Sentbon z wesołą i żywą miną.

Sansy! Sansy!

Pani Sansy.

Wziął serce ku mnie, i umówiliśmy się że skoro dostanie uwolnienia od służby po zákończoney woynie, przybędzie do mnie szlub weźmie; i poiedziemy do maiętności iego acz szczupłey w Prussach.

Pan Sentbon (na stronie.)

Ten, ten sam prawdziwie, żywy iego portret ta Córka.

Pani Sansy.

Co Pan mówi?

Pan Sentbon.

Dokończ WCPani, proszę.

Pani Sansy.

Skrócę ile mogę. Po uczynionym pokoiu przyszło do ślubu, i bez smutku przyiechałam do Oyczyzny mego Męża. Zyliśmy z sobą w nayzupełnieyszey zgodzie. Z tém wszystkim ah! praca woyskowa zwątliła siły zdrowia iego, a piersi bol w kilka mieśięcy odiął mężowi kochanemu życie. (*płacze*)

Henrysia do Amelii.

O naymilsza, utraciłaś Oyca twego niemowlęciem będąc.

Amelia.

Jeszcze niżelim się urodziła.

Pani Sansy.

Zostawił mię w ciąży z tą corką. Skoro bracia iego ludzie niemiłośierni, obaczyli, że nie Syn; a gdy odwłoczyliśmy odednia do dnia zapis, musiałam przestać na tém, co mi dla Córki bracia męża mego udzielili.

Pan Sentbon.

Rozumiem, że summa była mała, i nie mogła na dalszé wystarczyć pożywienié.

Pani Sansy.

Zyłam kilka lat w Prusiech, obiecowano mi wyrobić pensyą iako wdowie, lecz nie przyszło do skutku. Widząc się bydź bez pomocy, ułożyłam powrócić się do moiey Oyczyzny spodziewaiąc się że zastanę dobrodzieykę moią dawną. Przyiechawszy dowiedziałam się że umarła: więc przymuszona byłam przedadź suknie, kleynociki, żyć z pracy rąk swoich. Kilka temu dni, spotkałam tresunkiem kobietę, którąm znała przed tem, mieszka ona w tey wiosce.

Henrysia.

Ta kobieta staruszka Regina, Tatuniu.

Pan Seńtbon.

Wiém.

Pani Sansy.

Służyła u Pani, o którey wspomniałam, a staranie ktore miałam w chorobie iey zarobiło na dobré sercé iey ku mnie. --- Tknięta biednėm stanėm moiém, rozumiała, że mi ulży, gdy będę u niey mięszkała. A nie tylko poczciwa Regina pomieściła mię z corką u siebie, lecz gdy nie ma ktoby iey ostatniego momentu życia uczynił usługę, chce mię uczynić dziedziczką swoiey chałupy, i ----

Pan Sentbon.

Dosyć, dosyć, iuż wiem wszyſtko. Ta poczciwa ſtaruszka nie przewyżſzy mię wdzięcznością. Radości moiey nieogarnie serce moie. Sposobność mam zawdzięczyć godnemu WCPani Mężowi.

Pani Sansy.

Jakże go WCPan znał!

Franuś

Oyca kochaney Amalii!

Henrysia.

O Ameluniu, widzę, że będziesz z nami. --- Coż to! płaczesz!

Amelia.

Niezdołam łez utrzymać.

Pan Sentbon.

Winienem mu życie. Co za szczęście moie, że mogę bydź użytecznym Zonie i Corce iego! ---- Woyna uczyniła nas nieprzyiaciołmi, Służyłem w Woyſku Saſkim, w dzień nieszczęśliwey potyczki pod Langensalz iużbym był zginął. Kawaler Pruſki pędził na mnie z pałaſzem, lecz Rotmiſtrz Sansy zatrzymał mu rękę. Doſtałem się w niewolą, i przez cały czas zoſtawania u niego, obchodził się że mną po przyiacielſku.

Pani Sansy.

Wierzę temu, bo był mężny i odważny.

Pan Sehtbon.

Wzięto mi wszystko; kiedy mię przeprowadzano do Magdeburga z innemi więźniami, przysłał mi z swoiey kieszeni dwanaście czerwonych złotych będącemu bez szeląga, naywiększą mi były pomocą. --- Od rostania się naszego z nami, dowiadowałem się często o nim, nie mogłem się dowiedzieć, aż od iednego Officyera powracaiącego się z krolewca, temu lat dwa, ktory mi smutną doniosł wiadomość o śmierci mego Dobrodzieia.

Pani Sansy.

O Boże iak twoia Opatrzność cudowna!

Franuś do Amelii.

Twóy poczciwy Oyciec obronił od śmierci Naszego.

Henrysia do Amelii.

Jakże cię kochać nié mamy!

Pan Sehtbon.

Poydźże Pani kochana, mięszkać z nami, i swym naymilszém dziecięciem. Moié potrzebuią rozsądney Ochmistrzyni, którąby mieyscé zastępowała Matki niedawno umarłey. Wychowanié któ-

reś WCPani dała swey Córce (*Amelia przybliża się do Pana Sentbona, i całuię iego serce*) dowodzi że doskonale umiesz cwiczyć dzieci. Nie tylko na niczem schodzić nie będzie WCPani ale się postaram, abyś na potem miała uczciwe pożycie. (*do Amelii trzymaiąc ieszcze ią za rękę,*) nie inaczey kochana Amelio, mała różnica będzie między tobą i memi dziećmi. Żywym iesteś portretem Oyca swego, i wartaś mego kochania, iako on moiey wdzięczności.

Pani Sansy, ściskaiąc rękę Pana Sentbona.

Czemże ci zawdzięczę szczodrobliwy Panie --- serce moie --- wyrazić nie mogę tego, co czuie --- niechayże łzy mówią.

Henrysia.

Moiá poczciwá kobieto --- Pani --- niewiem iak nazwać, iak mowić trzeba? --- O iak iestem rada, że będziesz z nami i kochaná Amelia! we wszystkim będziemy powolnemi.

Franuś.

Amelią będę miał za drugą Siostrzyczkę iuż niebędzie więcey szukała kłosków. --- Poczekay poczekayno dziwny Gryfocie, teraz, teraz dokuczę ci.

Pani Sansy.

Milutka Henrysiu! naymilſzy Franuſiu pełna radości ieſtem, o iak wielkié moié szczęście, zamiaſt iednego dziecięcia mam troie ieżeli idzie o gorliwość, ſtaranność, czynność, żadna Matka mię nie przewyżſzy --- Dozwól WCPan, abym poſzła uwiadomić o szczęściu, któré mię potyka poczciwą Reginę, omdleię z radości.

Pan Sentbon.

Nic sprawiedliwszégo; tem czasem każe uprzątnąć apartament dla WCPani w moiem zamku.

Henrysia.

Proszę o pozwolenie ażebym towarzyſzyła Amelii i tey Pani --- niewiém iak ią nazywać ---

Franuś na uſtroniu.

Wiem ia iak nazwę, ale wprzod Tatunia poradzę się. --- Mogęż i ia poyśdź?

Pan Sentbon.

Dobrze moié dzieci, a potem przyprowadzicie do Zamku Panią Sansy i iey córkę, niezapomniycie o Reginie, żeby przyszła, będzie wieczerzała z naszemi służącémi.

Franuś do Amelii która braé schyla się koſz swoy.

Nie, nie, Amelio iuż ci ten kosz nie potrzebny, może tu zostać.

Amelia.

Ah! Mospanie nieustąpiłabym go nikomu chociażby mi co naykosztownieyszego dawano. Winnam mu moie szczęście i Matki moiey, poznanie was, wyżywienie naszé. Móy milutki koszyku, nigdy, nigdy wstydzić się ciebie nie będę. ----

Henrysia.

Przynaymniey wyrzuć kłoski będzie lekszy.

Amelia.

Ani tego uczynię, są to moié kłoski, bo mi ie darował poczciwy Starzec, bądź co chce niech gada Gryfot, chcę ia one dadź Reginie.

Pan Sentbon.

W następuiące żniwa niezapomnę o niey, owszem dziś naznaczę, tylo, żeby miała o czem dni swoie zakończyć.

Pani Sansy.

Bóg za tylo dobrodzieystw błogosławić WCPana będzie na dzieciach dzieci WCPana.

Koniec Komedyiki.

* * * *

Julisia.

Mamuniu o iak ta komedyika pięknie zakończoná! wszyscy zostali uszczęśliwieni.

Matka.

Kogóż rozumiecie nayszczęśliwszym, czy Pana Seńtbona, czy Panią Sansy.

Anulka.

Mnie się zdaie że Pani Sansy, bo będąc w nędzy nagle dostała wszystkiego.

Matka.

Prawda, lecz nieuznaieciesz tego moié dzieci, że duszę zacną wiele kosztuie, gdy nie może odwdzięczyć za usługę uczynioną sobie.

Julisia.

To się tycze Pana Seńtbona Mamusiu, lecz iak był rad, że mogł bydź użytecznym iego Zonie i Córce.

Matka.

Oprócz radości z nagłego przeyścia od ubostwa do wszystkiego, niemiałaż inney przyczyny!

Julisia.

Miała, widząc Oyca i dzieci iego będących dobrego serca.

Matka.

Prawda; Ponieważ cnota innych chociażby była niepożyteczna dla nas

zawſze iednak mamy ukontentowanie patrząc na cnotliwego. Opowiedzenié o uczynku dobrym czułe serce rozweſela, ktore ieſt po części uczeſtnikiem uciechy cnotliwego.

Julisia.

Ja niezgadzam się z moią Sioſtrzyczką, bo poczytuię szczęśliwſzym Pana Seńtbona ktory uczynił dobrze Pani Sanſy.

Matka.

Podoba mi się zdanie twoié. Atoli tak Pana Seńtbona iako i Panią Sanſy rownie szczęśliwemi nazwaćby można.

ROZMOWKA IX.

Matka.

OTóż moié kochané dzieci przynieſłam wam powieść o którą prosiłyście: czytaycieſz ią powicie mi iaki w niey zawiera się morał, czyli iakie prawdy iakie nauki.

Mała Krolowa.

Jeden Król panował na pewney wyspie którego wszyscy poddani kochali. Rządził niemi iako dobry Oyciec swą familią, ſtarał się, aby im na potrzebach niezbywało, nadgradzał tym, ktorzy

swych przymiotow używali dla pożytku drugich, karał prożniaków, i dopuszczaiących się żbrodni. Zażalało serce dobrego Króla, że Córka iego iedynaczka zwana Mira, była ieszcze bardzo nierozsądna lubo miała lat dwanaście, czego ią uczono przyimowała z przykrością i zapominała zaraz bo się niedobrze nauczyła, a tak dumna iż mniemała że wszystko umie, chociasz nic nie umiała. Jednego dnia Mira powiedziała, że wszystko lepieyby szło w krolestwie, gdyby ona nim rządziła. Skoro Krolowi doniesiono iey mowę, kazał natychmiast oney zawołać. A coby miał gniewać się strofować rzekł łagodnie: Ty po mnie krolować na tey wyspie masz, chcę więc doświadczyć czy masz przymioty do rządu, otoż możesz okazać na wyspie bliskiey. Przykrzy ci się uczyć Jeografii, iak mi powiadano, iednak rozumiem, że wiesz o wyspie Fortunie do mnie należącey. Mała ta wyspa ale ludna, mieszkańcy dowcipni, pracowici, weseli, i mocno przywiązani do Pana. Bądźże ich Krolową, rozkażę aby okręt był gotowy do przewieżenia cię na nią. Byway zdrowa Monarchinio dodał uśmie-

chaiąc się i nayniżey kłaniaiąc się, życzę pomyslności wszelkiey Waszey Królewſkiey Mości na tém małym kroleſtwie. Mira zadziwiona, rozumiała że Król z niey żartował, lecz dowiedziawszy się o przygotowaniach do podroży, uwierzyła że nie był żart. Król dał iey do woli aby iakich chce przyięła do swego dworu. Mira obrała dwanaście osób w rownym z nią wieku będących. Są tak rozſądne; rzekła do Oyca, że mogą iuż obeyśdź się bez Ochmiſtrzów i Ochmiſtrzyń. Król rozsądnieyszego zdania, kazał aby na wyspę Ochmiſtrze i Ochmiſtrzynie wybranych od Królewy osób popłynęli. Mira chciała mieć kapele, Metra tańcow, i komedyantow. W dzień odiazdu żegnaiąc się z Oycem trochę zapłakała, lecz radość czynienia to, co się iey podoba, cieszyła ią. Iednę radę daię ci, do odieżdzaiącey mówił Król, abyś we wszyſtkiem ſłuchała rady Aryſty Rządcy wyspy, bardzo szacuię tego człowieka bo ieſt oświecony, sprawiedliwy i dobry. Naylepiey uczynisz gdy go za pierwſzego Miniſtra obierzeſz, to ieſt, radziłaś się co masz robić dla dobra poddanych, i zlecała rozkazów twych wykonanie iemu. Mira wolała

obrać za Miniſtra Filinta, ponieważ tego młodego ze wszyſtkich Dworzan naybardziey lubiła: tańcował mile, śpiewał przyiemnie, ale co do innych rzeczy takim był iak Mira, nienawidził xiążek, przykrzyły mu się nauki Ochmiſtrzów. Naywiększy był iego błąd mówić rzeczy przymilaiące, lubo wiedział że były fałſzywe, aby się przypodobał Mirze, kłamał, zowie się tak podchlebca. Powtarzał częſto przed Mirą, że ią poważa z zadziwieniem, że żadnéy Królowey nie widział tak doſkonałéy. Ztem wszyſtkiem był u siebie przekonany że Mira w niczem nie ſtarała się Oyca naśladować, cały czas łożyła na przeiazdkach, graniu, balach.

Przybywſzy na swą wyspę, poſtrzegła Paſterzow i Paſterki kupami ſkaczące, śpiewaiące i krzyczące: Niech żyie Królowa! Wszyſtkie były ubrané biało, Paſterki miały przepasania z ſtążek różowych, a Paſterze zielonych, rzucali przed Krolową kwiatki i podawali bukiety. Mira cieſząc się z swych poddanych, kazała rozrzucać dla nich pieniądze. Aryſt zaprowadził Mirę do Zamku pięknego umyślnie przygotowanego dla Niey. Cały dwór znurzony był

podrożą, udał się do spoczynku, a Królowa nakazała na iutro grać komedyą, po którey był bal z wieczerzą wielką. Rano przechodziła się po miasteczku przyległem Zamkowi, Aryst opowiedział Królowy radość i wesołość iey, poddanych. Przytomność Waszey Królewskiey Mości, rzekł Filint iest iedyną wesołości ich przyczyną. Prawda, dodał Aryst, że iest i ta, muszę wyznać, że wesołość tuteyszym mieszkańcom iest wrodzona Król tak rozsądne nadał im prawa, że poczytuią siebie za uszczęśliwione dzieci naylepszego Oyca. Wesołość i obfitość iednaka we wszystkich wioskach. ---- Chcę ia widzieć odezwała się Królowa wieśniaków, natychmiast wsiadła do powozu. Królowa widząc piękne drzewa, pełne kwiecia, wysiadła z powozu i szła pieszo, a w tem usłyszała szelest, pytaiący się co by to było, odpowiedziano, że szelest ten iest pszczoł, była w tedy przy ulu, i tresunkiem ukąsiła ią pszczoła. Co za niegodziwe muchy, zawołała, wielki ból czuię. Trzeba, odezwał się Filint, wygubić wszystkie tak szkodliwé. Dobrze mowisz rzekła Królowa, nie dla tego że mię boli, lecz żeby nieszkodziły mo-

im poddanym. Lecz te ukąszenia są rzadkie, odezwał się Aryſt, i niczem są w porównaniu do pożytku, który maią poddani Waszey Królewſkiey Mości, i bez pszczoł nie obeydą się, ponieważ --- Filint zaczął się śmiać, iak to nie można się obeysdź bez robakow, które tak bardzo kąsaią! chyba dzieciom to powiadać. Na co Mira, rozkazuię aby wszyſtkie wygubić. Będiesz Wasza Krolewſka Mość tego żałowała, rzekł Aryſt, a Krolowa, ia chcę aby wola była moia wykonana. Aryſt na taki rozkaz westchnął, a Filint ucieſzył się.

Wieczorem bawiła się Królowa spektaklem, po tem balem trwaiącym do drugiey godziny po północy. Między Damami dworſkiemi były dwie maiące dziesięć lat wzwyczaione, zawczasu ſkromnie wieczerzać i kłasdź się do spania. Lecz Krolowy wieczerza tak była piękna, i bal tak zabawny, że rady Ochmiſtrzyni ſłuchać niechciały. Nazaiutrz obiedwie zachorowały, Lekarz zawołany przepisał lekarſtwa, któré gdy im do zażywania podano, przyiąć niechciały, Królowa, rzekły, pozwala czynić nam co się podoba, i ni-

kogo ſłuchać niechcemy, oprocz Królowy. Tem czasem choroba się wzmacniała, utraciły wesołość; sen, i smak, i iedna z nich gorączki doſtała. Doniesiono Królowy o chorobie ich i uporze, a Mira muśiała nakazać swym Damom, żeby we wszyſtkim rady ſłuchały Ochmiſtrzyni, a tak w krótce przyszły do pierwszego zdrowia.

Dnia iednego przechodząc się Królowa po ogrodzie poſtrzegła że gąśienice liścia drzew psuły. Otoż Nayiaśnieysza Pani, odezwał się Filint iak ſzpecą te brzydkie robaki --- moiem zdaniem trzebaby ie wygubić a nadgrodę przyobiecać, ktorzyby tego dokazali --- Aryście, rzekła Krolowa, będzieſzże utrzymował, że śię nie można obeyśdz bez robakow? Wasza Królewſka Mość pamiętaſz o pszczołach tę zaś rożnią się od tamtych, odpowiedział Rządca, robaki te na drzewach ſzkodzą. Kontenta ieſtem, że ich nie broniſz, rzekła Królowa, więc moia wola aby wſzyſtkie robaki na drzewach wygubioné były, niemogę ich cierpieć. ---- Ale wſzyſtkie nie można, Aryſt odezwał się, wiesz Wasza Królewſka Mość że są robaki iedwabne, te powinny bydź wyłączo-

ne --- O! co tam potem iak się zowią, Filint cicho rzekł do Królowy, wszak widzisz Nayiaśnieysza Pani że Aryst zawsze ma przeciwné zdanié. Chcę, odezwała się Królowa, aby to ze wszystkiemi uczynić robakami, co się stało ze pszczołami, po całém Państwie moiém.

Lubię ulicę, gaiki, rzekła do swego faworyta Królowa, ale patrzeć zawsze na zieloné, zielone, i znowu zieloné, nudná rzecz, wolałabym sklepienié różowe w altance drzewowey. Filint nazaiutrz przedsięwziął dogodzić żądaniu Królowy z drzew chłodnik obrośnięty powoiem wonnym, a plecionka była zielona, roskazał aby wszystkie liścia i kwiatki oberwano, a drzewo czerwono pomalowano, potem nazbierać róż i na długich wstęgach różowego koloru powieszać. Krolowa, gdy zobaczyła bardzo się iey podobało i kazała w tem mieyscu nakryć do obiadu. Słońcé w ten dzień przypiekało mocno, ledwie cwierć godziny zabawili się u stołu, iedni zaczęli na ból głowy, drudzy oczów, narzekać, ieśdź nie mogli, a od wszystkiego taki blask uderzał że nic rozeznać nie mogli. Jeden z Szambellanów roz-

sądnieyszy od innych Dworskich, poradził aby wszyscy wstali, i poszli patrzyć na trawniki w chłodzie będące. Uznali tedy wszyscy, że trudno będzie przechodzić się w dzień, ieżeliby liście nie zielonego, ale różowego były koloru.

Królowa tak lubiła mięszkać bardzo w Zamku, że się niespytała, co się dzieie na wyspie, zabawiała się rozrywkami ustawicznie, a wszelkie staranie iéy było, żeby co raz insze wymyślać. Niekiedy przechodziła się po Mieście, ale przytomność iey żadney wesołości nie uczyniła. Jednégo dnia rzekła do Filinta, cóż to, niesłyszę więcey wołaiących, niech żyie Królowa, z iakiey to przyczyny? czyliż mię iuż nie kochaią moi poddani? --- Jeżeliby nie kochali Nayiaśnieyszą Panią odezwał się faworyt, niewarciby byli aby Wasza Krolewska Mośc ich była Panią. Mira była zachmurzona, aby więc ią Filint rozerwał mówił o tańcach, widowiskach, czem rozweselona Krolówa umyśliła nowy dadź bal. A gdy się iey zwyczayné uprzykrzyły chciała żeby wszyscy ubrani byli po Pastersku, i tańcowali w Altanie drzewowey, zalecała naybar-

dziey aby były suknie nayprzystoyniey-szé, nie mogą bydź inaksze tylko z płotna, rzekła iey pierwsza z pokoiowych --- A to czemu! --- bo niemasz w całém Państwie kitayki ---- żartuiesz, wszak widziałam przyiachawszy sklepy napełnioné kitaykami. --- Prawda, Nayiaśnieysza Pani, lecz teraz sklepy pozamykanę, i kupcy porozieżdzali się. --- Z jakiey przyczyny? --- Boinż nie masz fabryk kitaykowych w krolestwie, od owego czasu, ktorego robaczki Wasza Krolewska Mość kazała wygubić? ---- A cóż ma bydź za związek między kitayką i robakami? --- Ten, bo są robaczki takie ktore robią iedwab a z jedwabiu tkaią kitayki i inne bławaty. Kupcy byli albo Synowie albo krewni rzemieślników, a niemogąc odłączyć się od rzemieślników, wraz z niemi wyszli z kraju.

Tegoż samego dnia w wieczor zamiast woskowych świec, tak w lustra iako i na stołach postawiano świece łoiowe. Cóż to iest obaczywszy zawołała Krolowa, na co ta odmiana? odpowiedziano, bo na całey wyspie nie dostanie świec woskowych. To bydź nie może rzekła, zawołaycie do mnie Ary-

ſta. Mospanie Rządzco nie powiadałże mi WCPan że w moiém Króleſtwie robią świece woſkowé? W samey rzeczy niegdyś --- a czemuż i teraz nie robią? --- Ponieważ Wasza Królewſka Mość kazała wytracić pszczoły Filint zaczął się śmiać, a Królowa z zadziwieniem pytała się iakiby związek był między pszczołami i świecami woſkowemi? ten że pszczoły robią woſk, --- Cóż teraz ci rzemieślnicy co robili świece woſkowé czynią? --- Widząc ubodzy Ludzie, że nie maią koło czego robić, wyszli z kraiu. Jeżelibyś Wasza Krolewſka Mość obiechała swóy kray, iakoś czyniła przyiachawszy, znalazłabyś wielką odmianę. Filint chciał przedrwiwać, ale mu Królowa milczenie nakazała. Nazaiutrz przyzwawſzy Aryſta wśiadła z nim do powozu. Prawda mowiła, nie widzę wesołości, ani słyszę śpiewania, iako przedtém --- A cóż to widzę! żebraki, obdarci! Królowa dobywszy worka dała im iałmużnę. -- Przed tem odezwał się Aryſt, nikt tu nie żebrał. Król kazał dom wielki wyſtawić dla ubogich, mieszkali w nim ſtarcy, chorzy, a młodzi rozmaitemi rękodziełami zabawiali się. Lecz od tego czaſu, ktorego nakazała Wa-

sza Krolewska Mość, aby wszystkie dzieci maiące lat dwanaście, co chciały robiły, iedne poodchodziły Rodziców, drugie od rzemiosł, a gdy nie maiąc czem chleba zarobić otóż żebrzą. Przedtem tłum ludzi bywał na ulicach przednieyszych miasta, teraz ledwie kogo widać, dla czegoż to? spytała się Królowa. --- Dla tego, bo kupcy, rzemieślnicy, fabrykami z żonami z dziećmi z czeladzią wyiechali z kraiu, krawcy, szewcy, nie maiąc co robić wybieraią się za niemi. Wieśniacy, ktorzy dostarczali mąki, masła, iarzyn nie mogąc teraz nikomu zbydź; bardzo narzekaią. ---- Cóżem uczyniła! rzekła żałośnie Królowa, na cóż ia z domu Oyca mego wyiechałam! o iakże ukarana moia duma! Jutro, iutro porzucę tę wyspę. Aryscie zaklinam cię przygotuymi wszystko do podroży. Królowa z całem swoiem dworem zabrawszy się przypłyneła bez żadnego trefunku do Stołecznego miasta Krolestwa. Skoro obaczyła Króla padła do Nóg iego. --- Cóż to Córko moia, iużeś to powróciła? dla czegoś porzuciła twoy kray? Sprzykrzyło ci się bydź Krolową. --- Ah! móy Oycze, odezwała się Mira płacząc, żadna Monar-

chini większey nie ma przyczyny narzekać nademnie, ia nieszczęśliwemi poczyniłam moich poddanych, Wyspa Fortunna nie może się iuż nazywać prawdziwie têm imieniem, bo na niey krolowało dziecię, bardzo była ludna gdym przyiechała, teraz pusta. Proszę Nayukochańszego Oyca, każ przedadź wszystkie moie kleynoty, a pieniądze odesłać dla zubożonych pozostałych, abym przynaymniey w cząstce nadgrodziła; gdybym wiedziała dokąd inni poszli! — — Uspokóy się kochana Córko, rzekł Oyciec, nie iest tak wielkie złe iak rozumiesz, wiém ia o wszystkim. Przewidziałem, że popełnisz błędy, i uprzedziłem iakim trzeba sposobem naprawić. Poddani twoi którzy wyszli z kraiu udali się do mego za rozkazem Arysta, miałem ia o nich staranie, na niczém im nie brakowało, iutro powrócą do swey Oyczyzny. Masz dobré serce moia miła Miro, i nieuczyniłaś źle, tylko że rozumiałaś iż dobrze czynisz. Powinno to cię nauczyć, że wiele zależy Panóm, aby się radzili oświeconych ludzi rozumnych, a na samych siebie nie polegali. Błędy prywatnych szkodzą małey liczbie, ale Panów całemu kraiowi.

Mira z tey nauki pożytkowała, czas łożyła na uczenie się, i zakazała Filintowi, żeby nigdy u niey nie postał.

Julisia.

Mamunia czy chce, abyśmy powiedziały morał w tey historyi zawarty, wszak koniec tey historyi skończoney morałem iest.

Matka.

Poczęści.

Julisia.

Ta historya naucza, że podchlebstwo iest niebespieczné, a podchlebcy wzgardy warci.

Anulka.

Prawda, bo gdyby nie Filint Królowa nie popełniłaby tyle błędów.

Julisia.

Przypominam sobie, że Mamunia mówiła iż obmowca i podchlebca są sobie podobni, bo obydwa szkodzą, i różnią się od siebie w tem, że obmowca szkodzi mowiąc źle, a podchlebca szkodzi mowiąc dobrze.

Matka.

Ktoryż więcey i bardziey szkodzi.

Anulka.

Mnie się zdaie, że obmówca.

Matka.

Matka.

Niekiedy szkodliwszy podchlebca. Obmowca odkrywa nasze błędy, a podchlebca ukrywaiąc ie przed nami samemi, tamuie nam abyśmy się poprawili. ---- Wroćmy się do historyi o Krolowy, naucza także, iż rzeczy które na pierwsze weyrzenié zdaią się bydź szkodliwé, bywaią naypożytecznieysze w samych sobie, a więc cierpliwie znośić trzeba małe złe, ktoré przynoszą wielkie dobro.

Julisia.

Grzmoty, burze naprzykład.

Anulka.

Żartuiesz Siostrzyczko --- burze, które wywracaią kominy drzewa, domy -- pioruny ktoré palą, wśie, ktoré ---

Matka.

Ale te złé niczem są w porownaniu do dobra, któré czynią. Gdyby powietrze nie było od wiatru wzruszane, psułoby się, i my straszny ch doznawalibyśmy chorob. Burze oczyszczaią powietrze, sprawuią deszcze, a deszcz odwilżaiąc ziemię, żywi latorośle, daie wzrost ziołom, iarzynom, rozmaitém owocom dla ludzi i zwierząt wyżywienia.

Julisiu.

Jeżeli się nie mylę Mamuniu, zdaie

mi się, żem ſłyſzała że Wulkany nawet są potrzebné.

Matka.

Zaiſte ſą użyteczne do zachowania naſzego krągu, i żyżności na nim.

Anulka.

Co to Wulkan.

Matka.

Nazywaią tem imieniem otwory znayduiące się na wyſokości gór, z których wybucha dym, popioł, niekiedy kamienie zarzyſtę.

Anulka.

Strach muśi bydź patrzeć! zapewne te Wulkany są w mieyſcach niemięszkalnych.

Julśia.

Nie, moia Sioſtrzyczko, dwa Wezuwiusz i Etna są we Włoſzech w kraiu naypięknieyſzym. Góra Hekla iest Wulkanem na wyſpie zwaney Iślandya, a lubo wielkie na niey zimno, iednak ieſt mięſzkalná.

Matka.

Innėm razėm opiſzę ſpoſób ich życia. Wyłożę obſzerniey prawdę zawartą w powieści o Małey Krolowy, że ludzie żyiący w ſpołeczności iedni drugich potrzebuią.

ROZMOWKA X.

Anulka.

Już od dwóch czy trzech dni Ciotunia z nami nie rozmawiała.

Julisia.

Ja się założę, że Mamunia dla nas pracowała, pisała, wiele, rozumiem że tłomaczyła co dla nas.

Matka.

Zgadłaś, otóż macie komedyikę, na wzor iedney Niemieckiey napisaną.

Julisia.

O iakżem rada!

Matka.

Jeszcze nie wszystko. Wiem że lubisz historyą Naturalną, otóż rozmowka o niektórych czworonogich zwierzętach.

Julisia.

Pewnie przetłomaczyła Mamunia?

Matka.

Częścią tłomaczyłam, lecz wiele odmieniłam, wiele dodałam. Bądźcie zdrowé moie dzieci, mam zatrudnienié, zostawiam te pisma, możecie które chcecie czytać. (*odchodzi*)

Julisia.

Mocno mię trapi, że Mamunia nas porzuca.

Anulka.

I mnie bardzo.

Julisia.

Czytaymy na pociechę. Lecz którąż czytać wprzod będziemy?

Anulka.

Ktorą chcesz.

Julisia.

Czytaymy komedyikę:

Anulka.

Bardzo dobrze. Lecz drugie pismo będzie może pożytecznieysze.

Julisia.

I z komedyiki nauczemy się czego.

Anulka.

Ale co mówią, w komedyice, tego nigdy mogło nie być,

Julisia.

Mogło ale to co mówią iest prawdą.

Anulka.

Przyszły mi na myśl te wiersze.

Co iest prawdą to piękné, prawda wart
kochania,
Wszędzie rządzić powinna,
I w baiek pisaniu.

Czytaymy teraz.

CHŁOPEK MĘZNY
KOMEDYIKA.

OSOBY.

Prewort bogaty Szlachcić.
Prewortowa Żona iego.
Auguſtynek (Dzieci PP. Prewortów.
Paulinka (
Karolek Syn Ogrodnika.
Filip Lokay.

Granie Komedyiki w części ogrodu na wśi.

SCENA PIERWSZA.

Pan Prewort, Pani Prewortowa.

Pan Prewort.

JAkżem wesoł, że tu iuż ſtanąłem! - - trzeba prawdę wyznać, że miaſto z całą swoią okazałością niewyrówna piękności naturze, którey na wśi można się przypatrzeć.

Pani Prewortowa.

Masz przyczynę tak mówić, i iam kontenta z tey zamiany, lecz tylko o dzieci nasze mi idzie.

Pan Prewort.

O dzieci! cóż utraciły; wszak powietrze zdrowe, wolność, przypatrywanie się naturze ----

Pani Prewortowa.

Dobrze, to wszystko iest dla ich zdrowia, ale co do nauki. ----

P. Prewort.

Czegóż im niedostawać będzie! albożto nie mogą się uczyć od Ochmistrza, i od Nauczyciela ktoregom osadził na wsi, może wybornie nauczyć pisania, Arytmetyki i na klawicembale.

Pani Prewortowa.

Ale kto ich uczyć będzie obyczayności? zapewne nienauczą się będąc w społeczności z karolkiem?

Pan Prewort.

Rozumiem co to znaczy. Gdyby prawdziwa obyczayność na tem zasadzała się aby się ukłonić z wdziękiem, zaiste od Karolka tegoby nie nauczyły się, i niechcę aby móy Syn go naśladował. Lecz co do obcowania, ponieważ potrzebuie towarzysza, niewiem dla czegoby nie mogł bydź karolek, tak iak iaki Syn Szlachecki.

Pani Prewortowa.

Jakto? Ogrodniczek, chłopiec złe wychowany, swywolnik!

Pan Prewort.

Wiem, że ieſt Synem Ogrodnika, lecz aby był swywolnikiem, i źle wychowany, tego niewiem. Mówiłem z nim częſto i ile miarkować mogłem, ieſt dobry, uczciwy, i ma rozumek.

P. Prewortowa.

I wielką obyczayność?

Pan Prewort.

To Auguſtynek go nauczy lepſzey.

Pani Prewortowa.

Bardzo wyśmienicie! gdy wprzod nauczy się od niego złych. ----

Pan Prewort.

Ten zarzut pochodzi od naszey dumy. --- Oddalamy dzieci nasze od ubożſzych, pod pozorem, aby obcowanié z niemi naſzym nie szkodziło. Nie lepieyże, i niezgadzaż się z ludzkością cierpieć obcowanie, aby nasze dzieci czyniły dobrze tym, którzy mniey oświecenia maią. A czasem dzieci ubogich przewyższaią rozumem bogatych.

Pani Prewortowa.

Spodziewam się iednak że nad naszych nieprzełożyſz chłopſkie. Dzieci

zwykłe podobnemi bywaią ſwym Rodzicom, a chłopſkié powinny bydź ſwoim, i znać podłość swoią.

Pan Prewort.

Prawda, że pospolici ludzié maią swoié błędy, są zwyczaynie niepolerowani, grubi, nieco inrereſsowani; a Szlachta sąż bez błędow? obyczayność ich ieſtże ſzczera? nie sąż częſtokroć podchlebcami siebielubnemi, pyſznemi? W samey prawdzie gdy ſtosuię iednych cnoty, do drugich, znayduię w ſtanie niſkim, więcey poczciwych, ſzczerſzych, cierpliwſzych, w niepomyślności ſtalſzych, bardziey ludzkich; niewiem coby Szlachta mogła na szalę kłaśdź, zwłaſzcza, że cnoty iey, coby miały dobry początek mieć, nie pochodzą z innego zrzodła iako z próżności.

Pani Prewortowa.

Przyznać trzeba, iże ludzie prości gorliwego z Ciebie maią Patrona: zaiſte napoisz bardzo zacnemi Sentymentami Auguſtynka, gdy zamiaſt tego, coby powinien się znać na przywileiach ſwoich, w podobnym go swemu będziesz utrzymywał zdaniu.

Pan Prewort.

Tego uczyć będę, co utrzymuię ia sam, że wszyſcy ludzie z natury ſą sobie równi, i będzie takowy czas, ktòrego, ta rownośc wpadnie w swóy karb; że na tem swiecie rożność ſtanu ieſt ſkutkiem trefunku; a ieżeli zacné urodzenie daie komu przywileie, nienabył go ſwemi cnotami, ale nabyte od przodkow ſwych cnotami podobnym ſpoſobem zaſługiwać powinien i ſtać się godnym, ten to ieſt konieczny obowiązek zacnego urodzenia.

Pani Prewortowa.

Dla tego to abyś uſpoſobił Auguſtynka, chcesz żeby się rozpuście przypatrzył Karolka.

Pan Prewort.

Bylem doznał, że karolek ieſt takim, będę wiedział co uczynić. Z tém wſzyſtkim iakiż koniec naszey rozmowy. Mamże dla tego dziecięcia nie bydź przez lato na wśi? Albo mamże wymagać na Oycu żeby Syna swego od siebie odegnał, że nasz z niem się bawi czaſem? Albolitеż odprawić poczciwego sługę w niczem niepoſzlakowanego?

P. Prewortowa.

Nierozumiey żebym tego domagała

się. Tego tylko żądam aby nasz Augustynek niepospolitował się z tym chłopcem. Dowiedziałam się, że dozwalasz, aby znim bawił w godziny wolne, aby biegał po łąkach, w ogrodzie robił, po drzewach spinał się, aby z nim na tysiącznych rzeczach nie pożytecznych czas przepędzał. A co naybardziey, że skoro Ochmistrz przyiedzie z Miasta, będziesz cierpiał, żeby ten gbura był pod czas nauk dawanych naszym dziecióm. --- Nieuwierzyłabym temu, gdyby mi sam Ogrodniczek niepowiedział, żeś mu obiecał.

P. Prewort.

Nie tylkom obiecał, ale słowa mego nieodmienię --- Cóż w tem widzisz zdrożnego?

P. Prewortowa.

Coś podobnego temu, gdybym chciała rzucic perłę kurowi na gnóy zamiast ziarna. *P. Prewort.*

Podobieństwo nie dobré. Karol ma rozumek, niezłe zdanié, i mocné pragnienié żeby był oświeconym. O rzeczach ma dobré wyobrażenia, i więcey pożytkował z krotkich nauk, a niżeli inny wszelką maiąc pomoc. Społeczność czyni emulacyą a ta postępek. ---

Nad to, azaż nie ieſt dobry uczynek przyłożyć się do edukacyi ubogiego dziecięcia, zwłaszcza nieczyniąc krzywdy swoiemu?

P. Prewortowa.

Nie czyniąc krzywdy --- to mówiąc uważaſz dobro dla chłopca, niemaiąc uwagi na to, co uczynić może złego dla naſzych dzieci. Da się widzieć.

P. Prewort.

Obaczemy. --- krótko powiadam, że na naypierwsze doſtrzeżenie karolka, niemówię złości, albo podłości, ale lekkości, trzpiotowiaſtwa, ktore można by przebaczyć, zaraz między nim i naſzemi dziećmi przerwę obcowanie. Ta obietnica powinna by cię moie serce, zaspokoić. (*Odchodzi.*)

SCENA DRUGA.

Pani Prewortowa (sama.)

Bardzo dobrze --- sama się nada okoliczność --- Dziwny ten moy Mąż śmieſzne ma wyobrażenia o równości ludzi --- ze ſługami tak się obchodzi, właśnie iakby mu byli równi --- i ieszcze ogrodniczka -- chłopa chce wraz z Synem swoim edukować. --- O! muszę, --- muſzę mu dowieśdź. ---

SCENA TRZECIA.

P. Prewortowa Paulinka.

P. Prewortowa.

Ah! --- tyś to Paulinko! --- coż mi powiesz moia Córko?

Paulinka.

Nic Mamuniu. --- Chciałam przynieść bukiet, kazałam karolkowi, aby poszedł po niego do Oyca, lecz ten grubian ieszcze nie powrocił.

P. Prewortowa.

Mów z uszanowaniem o swem wspołuczniu.

Paulinka.

On móy wspóluczeń! niechayże do mnie blisko nie przystępuie, bo ---

P. Prewortowa.

Jakże ty możesz oprzeć się woli Oyca twego!

Paulinka.

Mamunia żartuie sobie ze mnie! nie chciałby Tatunio, abyśmy się tak upodlali.

P. Prewortowa.

Owszem chce. Skoro przyidzie wasz Nauczyciel, karolek razem się z wami uczyć będzie, z twoim bratem bawić się, krotko mowiąc, będą z nim się ob-

chodzić iak z Synem małego Szlachcica.

Paulinka.

Jako Szlachcica! wybornie. ---- Szczęście wielkie, że nasz ogrodnik, nie ma małey xiężniczki w rownym mi wieku, zaiste byłaby moią towarzyszką.

P. Prewortowa.

Ale leśniczy ma dwie córki, nie wiesz ieżeli. ---

Paulinka.

Niechay tylko ze mną zechcą się pobratać, dam ia im.

P. Prewortowa.

Niebóy się, wiesz że do mnie należysz, niedopuszczę.

Paulinka.

Tatunia iest bardzo dobry, zawsze mu powiada Mamunia, że zapomina o swoiey zacności, i niekładzie rożnicy między ludźmi.

P. Prewortowa.

W samey rzeczy: lecz ia się spodziewam zerwać w krotce obcowanie wasze z karolkiem. Twóy Oyciec przyrzekł mi że za naypierwszą iego płochością to nastąpi, azaź dostrzeżemy.

Paulinka.

Upewniam Mamunio, że tak będzie; bądę ia pilné na niego mieć oko. W ie-

śieni przeszłey gdyśmy na kilka niedziel przyiechali tu, co dzień zawsze co zrobił, to tam, to sam nas po ogrodzie wodził. Pamiętasz Mamuniu że na owey grufzce, z którey Mamunia lubiła grufzki, codzień nie dostawało, karolek to zrywał, a Tatunio albo go wymawiał albo nie wierzył.

P. *Prewortowa.*

Jeżeliby co podobnego trafiło się, zaraz mi donieś, i toż aby uczynił twóy brat, powiedz mu. Mufzę teraz zayrzeć do gofpodarftwa. Gospodyni powiadała mi, że się wylęgły Indyczenta, lubię na nie patrzeć --- Póydź ze mną.

P*aulinka.*

Zaraz Mamuniu, poczekam trochę na karolka, ktory ma przynieść bukiet dla Mamuni.

P. *Prewortowa.*

Dobrze, a potem przeydziemy się (*odchodzi.*)

SCENA CZWARTA.

P*aulinka* (*sama.*)

Gdyby Mamunia, niebroniła nafzego honoru, zapewne Tatunio posłałby nas do Szkoły wieyfkiey, abyśmy się uczyli razem z dziewczętami i chłopcami.

SCENA PIĄTA.

Augustynek, Paulinka.

Augustynek (zdyszany.)

Ah! ah; ah!

Paulinka.

A cóż to? co się stało? --- dlaczegoż tak biegniesz?

Augustynek.

Ah! co za moie nieszczęście! --- ah! nie mogę. ----

Paulinka.

Powiedz co takiego?

Augustynek.

Wszedłem do kurnika, ciekawy byłem widzieć indyczątka. ---

Paulinka.

Zawsze do czego złego przyprowadza cię twa ciekawość.

Augustynek.

Skorom wszedł, abym iedno indyczątko złapał, Indyczka skoczyła ku mnie; chciałem się obronić, porwałem tyczkę z kąta ale ciężka wypadła mi z rąk --- a upadłszy czworo czy pięcioro zabiła indyczątek, czworo, pięcioro, może i więcey, bo zaląkłszy się uciekłem, i niemiałem czasu rachować. ---

Paulinka.

Piękna robótka! Wiesz że Mamunia lubi bardzo indyczęta, i prawie w tym momencie miała poyść one zobaczyć.

Auguſtynek.

Moia sioſtruniu, poradźże, co mam robić. O iakże będę łaiany, a może i bity!

Paulinka.

Wartes --- bo zawsze twoia ciekawość, twoia nieroſtropność, do złego przywodzi!

Auguſtynek.

Na nic się zda to, co gadaſz, oto lepiey poradź mi.

Paulinka.

Słuchayno, przyszedł mi na myśl spoſob ocalenia ciebie, a tem przypodobasz się i Mamuni.

Auguſtynek.

Powiedáy prędko, prędko!

Paulinka.

Złożmy to na karolka.

Auguſtynek.

Albo to karolek dudkami karmiony!

Paulinka.

Karolek dobry chłopiec, namowiemy go aby wziął na siebie, wſzak przeszłey iesieni gruſzki któreśmy ziedli na śiebie przyiął.

Augustynek.

Nie Paulinko, to bydź nie może, żal mi go, i nie na dobré nam wyidzie.

Paulinka.

Niechayże Mościwy Pan móy Brat szuka innego sposobu, kiedy mu się ten nie podoba. Coż mi do tego; Gotuyże się na plagi, zapewné należycie cię otrzepią.

Augustynek (zamyślony.)

Bez wątpienia --- prawda -- chciałbym przecie wykręcić się od plag.

Paulinka.

I cóż to iest dwa razy w pysk wziąść, albo kilka kiiow dla chłopa iakim iest karolek? Idzże, --- Mamunia będzie rada, bo szuka przyczyny aby oddalić go, gdy Tatunia chce żeby razem chłop karolek uczył się.

Augustynek.

Z nami się uczył? bardzobym rad, bobym się uczył chętniey.

Paulinka.

Pfe, ty masz podłą duszę, pięknie! z chłopem się bratać! kłaniam uniżenie, rób co chcesz. (*udaie że odchodzi.*)

Augustynek.

Nie gniéway się moia Siostruniu --- Słuchay -- iezliby tylko chciał karol. ---

Paulinka.

Czyby chciał, czy niechciał, mowię, że tak trzeba uczynić. Udawać zdaway się, a na mnie resztę zday.

Augustynek.

Muszę mu nadgrodzić --- Otóż mu dam ten pieniądz złoty, ktory mam. --

Paulinka.

Prostak z ciebie, taki iaki karolek -- Patrz ot idzie.

SCENA SIODMA.

Augustynek, Paulinek, Karolek (trzymaiąc koszyk w ręku.)

Paulinka.

Przecież przylazłeś --- Musiałam tak długo na Jegomości czekać.

Karolek.

Spieszyłem się iak tylko mogłem --- Lecz przynoszę nie tylko bukiet dla Pani ale i drugi dla WCPanny, a trzeci dla Panicza (*rozdaie*) Otoź macie --- a gdzie iest Pani!

Paulinka.

Day sam, ia zaniesę -- (*wącha bukiet i rzuca nim o ziemię*) Pfe, idź precz z takiemi kwiatami.

Augustynek.

Móy bukiet wdzięcznie pachnie --- kiedy niechcesz to ia wezmę. (*zbiera po ziemi bukiety.*)

Karolek.

Brzydkie kwiatki! nierozumiałem aby takie były, są z naypięknieyszych, fiałki gozdziki, łyszczak, melissa ---- iakie bydź mogą na wsi --- prawda że w mieście daleko są pięknieysze.

Paulinka.

Mamy lilie, róże, hyacinty. ---

Karolek.

Mamy i my, ale iuż czas przeszedł, a niektóre za tydzień ieden, dwa, będą.

Paulinka.

Milcz. Twe kwiaty nic nie warté.

Karolek.

Bieda moia! iednak bukiety w dobrych ręku, niewzgardza niemi Panicz móy.

Paulinka.

Twoy Panicz teraz bardzo dobrze robi. --- Ale boi się móy kochany o swą skórę.

Karolek.

Jak to! czego? Panicz boi się, a o cóż?

Augustynek,

Ah! bardzo się boię. -- zastąp mię.

Karolek.

Czemuż ? abo to pierwſzy raz?

Paulinka.

Słuchay, kiedy do nas mówisz, gaday z uſzanowaniem, znay się na sobie. Widzisz go!

Karolek.

Wszak sam Panicz mówi o sobie! alboż ia wiem, co uczynił?

Auguſtynek.

Tatunio i Mamunio obiią mię.

Karolek z (politowaniem.)

Nie, nie, móy luby Paniczu! --- nie przyidzie do tego. --- A coż to Panicz uczynił?

Auguſtynek.

Za --- zabiłem pięć czy sześć indycząt Mamuninych.

Paulinka.

Wszak ty wiesz, że Mamunia bardzo lubi indyczęta.

Karolek.

Żal mi tych maleńkich. --- Jakże się to ſtało? iabym nie miał serca iednego zabić -- a sześć, sześć aż!

Paulinka (*przedrzyzniaiąc.*)

Sześć! sześć! Otóż błazen, żałuie indycząt, a Auguſtynka nie żal mu.

Augustynek.

Indyka chciała mię ukąśić, ia porwałem tykę, i upuściłem z ręki. ---

Karolek.

Rozumiem --- tyka upadłszy zabiła indyczątka. --- Nieszczęście, bo nie możemy mieć innych indycząt!

Augustymek.

Naybardziey mię dolega!

Paulinka.

Głupi, właśnie iakbysmy o tém niewiedzieli.

Karolek.

Nie masz że iakiego sposobu Panicza ratować --- (*Angustynek udaie płacz.*) Ah! nie płacz Paniczu, nie płacz, bo i ia będę płakał.

Augustynek.

I coż mam czynić!

Paulinka.

Dorozumiewa się chłopczysko.

Karolek.

O to to co przed tem --- abym na śiebie wziął.

Paulinka na ustroniu.

Już się stało: pobiegnę ia do Mamuni i pówiem, że to sprawka karolkowa.

Augustynek.

O poczciwy karolku, ale cię obiią -- Nic - nic, niepozwolę na to.

Karolek.

Wſzak tak nie raz było --- wolę ia cierpieć, a niżeli patrzyć, aby kogo bito. Kiedy małą moię Sioſtrę biią, a ta krzyczy, tak mi żal, że aż płaczę, i częſto prosiłem Matki moiey, żeby mnie za nią obiła.

Auguſtynek.

O nayukochańſzy karolku! --- Słuchay ſkoro mi da Tatunio pieniędzy, zaraz ci ie oddam --- Ale ale mam ośmnaście groszy w kieszeni --- (*szuka*) mam, mam, węź (*daie mu.*)

Karolek.

Nie wezmę, nie wezmę! Rozumiesz Paniczu, że ia za zapłatę chcę bydź bitym? --- Ból ten poniosę dla miłości Panicza. --- Prawda, że Oyciec mię okrutnie zbiie --- ale cóż? kiedy trzeba.

Auguſtynek.

Okrutnie zbiie! --- Nie, karolku, -- wolę ia. ----

Karolek.

Nic to, trzeba winę na śiebie przyiąć -- Idę. --- Zoſtań WCPan tu. ---

(*odchodzi.*)

Auguſtynek (*sam smutny zamyślony.*)

Biedny karolek! zapewne weźmie

cięgi. Dobrzeż ia to zrobił żem zezwolił aby tak dobry karolek tak do mnie przywiązany, niewinny --- o ileż razy i przeszłey wiosny za mnie był bity! Nie --- niepowinienem tego dozwalać --- wolę niechay na mnie zwali się -- lecz to boli --- może się zakończy na iednym policzku --- a karolek może byłby srodze skatowany więc iuż ia --- ah! oto idzie Tatunio!

SCENA OSMA.

P. Prewort. Augustynek (smutny i zatrwożony)

P. *Prewort.*

Nic mi bardziey gorszego nieprzytrafiło się! a ieszcze po sprzeczce z moią żoną z przyczyny tego chłopca. -- (*postrzega Augustynka.*) Dowiedziałem się co zbroił karolek, byłżeś ty przy tem, co się stało?

Augustynek.

Ja Tatuniu? --- co takiego?

P. *Prewort.*

Nic ty nie wiesz? że zabił kilkoro indycząt.

Augustynek.

Tak iest --- tyką --- P.

P. *Prewort.*

Wiém cobym dał za to, gdyby to było nie ſtało się --- Ale Paulinka! --- Już iey nie lubię, ſtraciła u mnie łaſkę, -- z taką wesołością, z taką radością przybiegła z wiadomością do Matki (*uważaiąc zatrwożonego Auguſtynka,*) a tobie co to! czegoś tak zatrwożony?

Auguſtynek.

Biédny karolek --- żal mi go bardzo -- Oyciec go ſkatuie.

P. *Prewort.*

Zapewne. Kocham cię, że masz politowanie. Powinien bydź karany za swoié trzepiotaſtwo, ponieważ nie może się to, co uczynił, zwać złością. -- Ale ten chłopiec cały moy układ psuie. --- Rozumiem że będziesz rad Auguſtynku, żeby z tobą razém uczył się karolek, chciałem o to obligować twego Nauczyciela.

Auguſtynek.

Tatuniu! nie możesz ieſzcze to się ſtać? bardzobym się cieszył.

P. *Prewort.*

Teraz nie,

Auguſtynek.

Dla czegoż?

P. *Prewort.*

Ponieważ przyrzekłem twey Matce, która ma swoie przyczyny, że mego układu odstąpię, skoro co zbroi karolek. -- Niewie ieszcze o tém biedny chłopiec. --- Ochota, którą ma do nauki, gdy nie może przyiśdź do skutku, bardziey go strapi, niżeli cięgi od kiia. ---

Augustynek (*uderzaiąc się w czoło na ustroniu.*) Ah! iam temu przyczyną.

P. *Prewort.*

Cóż to mówisz!

Augustynek.

Proszę Tatuniu o pozwolenie abym poszedł do Matki i Oyca Karolkowych, będę ich prosił, żeby nie bardzo bili — biegnę.

P. *Prewort.*

Masz przyczynę — Biegniy, spiesz się.
(*Augustynek odchodzi.*)

SCENA DZIEWIĄTA.

Pan Prewort (*sam.*)

Bardzo mięsza mię ten trefunek. — Dla tego! — że prędki, nierostropny, iak chłopiec zwyczaynie, ale poczciwy, maszże bydź nieszczęśliwie oddalonym od nauk? Nie — muszę wynalesdź spo-

sób — (*widzi P. Prewortowę.*) Otóż idzie, wszakem się domyślał.

SCENA DZIESIĄTA.

Pan Prewort, Pani Prewortowa.

Pani Prewortowa.

Aha! cóż teraz mowiſz?

Pan Prewort.

To co w takim razie mówić się zwykło. Nie ma o czem i mówić.

Pani Prewortowa.

Ja przewiduię że ieszcze go chcesz wymawiać?

P. Prewort.

Bo wart, to uczynił, coby i kto inny uczynił, będąc na iego mieyscu, brak mu tylko było roſtropności: Indyka na niego rzuciła się, chciał się bronić. --

Pani Prewortowa.

I zepsuł to, co mi pociechę miało przynieść!

Pan Prewort.

A ty inaczey tłómaczysz; nazywasz to złością, co ieſt nieroſtropnością, nieuwagą w dziecku.

P. Prewortowa.

Ty zawsze wymawiasz! Niedbam

ia, rób co chcesz, ſtawiay go za wizeiunek cnoty. Dosyć dla mnie żem się zemściła. Poznałam iak tén chłopiec zatwardziały. Oyciec go ledwie nie ubił, a on coby miał prośić się, ani zawrzeſzczał, powtarzał tylko. O móy Oycze! zaſłużyłem na plagi, zaſłużyłem.

Pan Prewort.

A ty miałaś tyle serca, żeś go nie ratowała? — Niewiem ia w cale, żeby było znakiem twardego serca iego! owſzem ia upatruię w tem iego powtarzaniu cnotę, uznanie błędu ſwego, upatruię szlachetność, mężność. —

P. *Prewortowa.*

(*Szydząc.*) Szlachetność! — Bardzo by naſze dzieci zacnemi były, gdyby według tey moralności były wychowywané.

P. *Prewort.*

Nie pragnę aby miały lepszé sercé, od karolkowego, chociażby w podobney okoliczności i pięдzieśiąt ubił indycząt.

P. *Prewortowa.*

A ia ci powiadam, że nie mogę dłużey cierpieć tego trutnia, albo odpraw Oyca iego, albo iego samego kędy podziy.

P. *Prewort.*

A ia cię upewniam, że go pod obro-

nę moią biorę. Człowieka pracowitego i poczciwego nie mogę odprawić za to, że Syn iego poczytany za trzpiota.

P. *Prewortowa.*

Bardzo dobrze! a obietnica, a przyrzeczenie!

P. *Prewort.*

Dotrzymane. Nie będzie się iuż uczył z dziećmi naszemi, a ile będzie można, nie będzie z niemi razem się znaydował — lecz nieprzeszkodzisz, ażebym nie kazał go edukować podług zdatności iego.

P. *Prewortowa.*

Oh! iak się podoba! (*szydząc*) na wielkiego wyidzie człeka!

SCENA JEDENASTA.

P. *Prewort.* P. *Prewortowa. Filip* (*zadychany.*)

Filipp.

O Boże! --- O Boże! --- Nie lękaycie się Państwo! -- --

Pani Prewortowa.

Co to! co takiego?

Pan Prewort.

Straszna rzecz! *nie lękayeie się Państwo* co chcesz mówić?

Filipp.

Pan Auguftyn --- Panna Paulina.

P. Prewortowa.

Co się ftało?

Filipp.

Powpadali -- w kanał, i karolek. ---

Pani Prewortowa.

Ah umieram (*pada na krzesło*)

P. Prewort. (*wypychaiąc Filipa.*) A ty tu! --- czemu nie ratuiesz.

Filipp.

Już są wyratowani, dla tegom mówił żeby Państwo nielękali się.

Pan Prewort.

Jefteś widzę z ludzi naygłupszy -- na drugi raz nauczę cię roftropności --- wyratowanoż ich! -- nieſkaliczyliż się?

Filipp.

Nie, ale się dobrze zmoczyli: a tak mocno krzyczeli, że aż do Dworu ſłychać było; ale karolek --- trzeba przyznac, że to chłopiec. ---

Pan Prewort.

Cóż! pewnie co znów zbroił? może ich wepchnął w kanał!

Filipp.

Ah nie, czyliż można pomyślec nawet o nim, żeby to uczynił? to to chłopiec, nie boi się wody --- i Panicz i

Panna utoneliby, gdyby karolek wſkoczywſzy w kanał nie wyratował oboyga.

P. Prewort.

O nowino wartaś u mnie złota!

Filipp.

Mamże kogo zawołać do Pani na ratunek? *P. Prewort.*

Nie trzeba, nie; ta ſłabość ią napada na naymnieyszé poruszenié, lepiey się miewa kiedy iey nic nie robią. Powiedz mi tem caasem okoliczności, iak się to ſtało. *Filipp.*

Byliśmy przed pokoiem, aż oto ſłyszemy krzyk. Przybiegliśmy z Chryſtyną do okna, i obaczyliśmy Pannę Paulinę biedzącą się przy Czołnie w kanale. Niemogliśmy widzieć, kędyby był Pan Auguſtyn. Zbiegliśmy prędko po schodach, ale Syn Pańſki iuż był wyciągniony z kąpieli, ah! iak woda z niego lała się. Niżeli ieszcze przybiegliśmy do brzegu, karol drugi raz wſkoczył, i nioſł w wodzie, Córkę Pańſką, która go trzymała się mocno.

P. *Prewort.*

Kędyż są Teraz?

Filipp.

Drzą od źimna, Chryſtyna zaprowadziła ich do pokoiu. ....

Pan Prewort.

Niechay prędko tu ich przyprowadzą; iuż do tego czasu pewnie przebrali się; a ieżeli nie zewszyſtkiem ieszcze, niechayże Auguſtynka obwiną w Szlafrok, a Paulinkę w płaſzcz wielki. ---- Poday wodę z szklanką, oto ſtoi na oknie.

(Filipp odchodzi.)

SCENA DWUNASTA.

P. *Prewort*, P. *Prewortowa*, (*potem*) *Karolek*.

Pan Prewort.

Szczęśliwy przypadek, że się nic złego nie ſtało! teraz, teraz, mam ią czem przekonać i zawſtydzić. (*przybliża się do Żony,*) Moie Serce! (*oddycha głośno,*) Dobrze, przychodzi do siebie. (*Karolek wchodzi, z sukni iego woda ciecze.*)

Karolek.

Jeſtem Panie.

P. Prewort.

Widzę, czegoż chcesz?

Karolek.

Niczego, Pan mię wołać kazał --- Filip mi mówił. ---

P. *Prewort.*

Dobrze, czekay. Mam ci podziękować.

Karolek.

Mnie? (*uśmiecha się*) Niewiedziałem --

P. *Prewort.*

Ty i tobie podobni czynicie dobrze, i nie wiedząc ---

P. *Prewortowa.*

Ah! (*otwiera oczy*) kędyż moie dzieci! (*poſtrzega karolka.*) I ieszczez pokazuią mi tego niedobrego! precz z tąd! precz!

P. *Prewort.*

Nie wiesz moie sercé ...

Pani Prewortowa.

Prędzey niechay go wypchną. ---

P. *Prewort.*

Proſzę cię poſłuchay ...

P. Prewortowa.

Móy Auguſtynek! moia Paulinka! wypędzcie tego hultaia.

P. *Prewort.*

Bez tego hultaia iużby po naszych dzieciach było.

P. *Prewortowa.*

Żyiąż! czyliż żyią? Niech tu przyprowadzą. .... Ach! moie dzieci!

SCENA TRZYNASTA.

P. Prewort P. Prewortowa Karolek Augu-

ſtynek (*w Szlafroku*) *Paulinka* (*okryta wielkim płaszczem, włosy roztargane.*)

Auguſtynek (*poſtrzegłszy karolka biegnie do niego, sciſka go.*

Ah! móy kochany, móy naymilszy karolku! ... tobie ... tobie winienem życie ... niczem ci się nie zaſłużył ....

Paulina (*ieszcze pomieszana, przybliża się do karolka, sciſka go za rękę.*)

I ia ieſzczem ci nie podziękowała ... ſtrach mi nie dał cię widzieć, ani uważać, kiedyś mię ratował w wodzie.

P. *Prewortowa.*

Cóż to ſłyszę? ... Wepchnąwszy was do wody niepoczciwy chłopiec, wydobył wás? Nieprawdaż!

Auguſtynek.

Nie, Mamuniu, ia to nic dobrego .... ia tego wszyſtkiego przyczyną.

Paulinka.

Tak Mamuniu, biedny Karolek nie był z nami.

P. *Prewortowa.*

Cóżescie robili? iakiem sposobém wpadliście w kanał?

Auguſtynek.

Czołno, którego używa ogrodniczek do czyszczenia kanału było przy brzegu, ia wſkoczyłem do niego. --- Pau-

linka przyszła, ia ią namówił, aby także uczyniła. ---

P. Prewort.

Otóż lekkomyślność ukarana. Czołno nie byłoż uwiązane!

Paulinka.

Niebyło; ſkorom weszła, odpłyneło od brzegu. Auguſtynek ſwołał: nie bóy się, oto wioſło.

Auguſtynek.

Wziąłem wioſło; agdy chciałem nim robić, upuściłem go, chciałem go złapać, i upadłem; Sioſtra moia chciała mię utrzymać, czołno się przewrociło, a ia ią pociągnąłem za sobą.

P. Prewortowa.

Słyſząc włosy ſtaią na głowie! Boże o iak wielkie nieſzczęście potkałoby nas!

Auguſtynek.

Ja krzyczeć począłem, otoż co pamiętam, niewiem co się więcey ze mną działo, aż do owego momentu, którego obaczyłemsię na brzegu.

Paulinka.

Ja zaczęłam się nurzać, kiedy karolek wyratowawszy mego brata, przybył mi na pomoc. O karolku, iakżem tobie wiele winna!

P. Prewortowa (wpatruiąc się w karolka.)

Karolu? ... A ty niceś w tem nie winien? P. *Prewort.*

Co za nieufność! co za podeyrzenie!

Karolek.

Nic, oprócz tego, że dwa razy w wodę wſkoczyłem, raz abym wyciągnął P. Auguſtyna, a drugi raz, P. Paulinę.

P. *Prewortowa.*

Ale iakżeś tak prędko wiedział, że powpadali w wodę?

Karolek.

Powracałem od Oyca mego; płakałem trochę, ponieważ od plag z przyczyny indycząt bolało mię, (*pokazuie ręką tył*) ieszcze boli....

Auguſtynek.

O Mamuniu, ledwie nie umieram ze wſtydu i z żalu! kochany karolku! daruy mi! obaczysz, że poki żyć będę...

Karolek (*daiąc znaki żeby nie powiadał.*) Zgoda ... dobrze, ... Paniczu ... chceſz WCPan ... Niewierzay Pani.

Pani Prewortowa.

Cóż to takiego?

Auguſtynek.

Ja to ubiłem indyczęta ... a ten poczciwy karolek, żebym nie wziął plag ...

Paulinka.

Tak, tak, na siebie wźiął ... iabłka

i gruszki przeszłey iesieni ... my to my .... a ia cię prześladowałam kochany karolku, ty zaś tak mężnie na mnie się pomścił! *Karolek.*

Ani słowa prawdy! nie słuchaycie Państwo ... O to słyszałem krzyk, przybiegłem ... widzę Panicza nogi w gorze, głowę na dole, a Panny głowę na gorze a nogi w wodzie ... wskoczyłem. ---

P. *Prewort.*

Cóż mowisz na to moie serce?

Pani Prewortowa.

Nie czuię sama siebie ... pełna iestem zadziwienia, ... wstydzę się żem go prześladowała. ... Dziękuię ci za twoie męstwo ... dziwi mię wielkość twey duszy .... Wycierpiawszy niewinnie, ieszcze życie twé w niebespieczeństwo za to dwoie nicdobrego podałeś (*gdy go ściska, dzieci obstępuią go.*)

Augustynek.

Już nigdy, niebędziemy nigdy złośliwemi. *Paulinka.*

Zawsze sama na siebie będę złą, że poczciwemu karolkowi tyle złego naczyniłam.

Karolek.

Ey, cóż to mowicie ... wstyd mię ... Nie to to tego. ---

P. *Prewortowa.*

Czém chcesz, abym ci nadgrodziła, chociażby naywięcey mię kosztowało. Dam tylo pieniędzy, ile zechcesz.

Angustynek.

Wszystkie masz moie złoto.

Paulinka.

Od stóp do głów cię przybiorę.

Karolek (uśmiechaiąc się.)

Niechciałem brać Paniczu pieniędzy ktoreś mi dawał za plagi za Panicza; a a pewnie brałbym za moie życie? ia com uczynił, tom uczynił z przywiązania ... wiém ia iedną rzecz ... ale nie śmiem ...

P. *Prewortowa.*

Próś moy Synu, mów, nigdy nadto prośić nie możesz, żebym nadgrodziła krzywdy które ci wyrządzałam. ---

Karolek.

Niechay się czego uczę, gdy Nauczyciel mądry przyiedzie.

P. *Prewortowa.*

Nie tylko to, nie tylko to będzie, że się uczyc wszystkiego będziesz z dziećmi naszemi, ale w zimie poiedziesz z nami do Miasta; będziemy mówić Oycu twemu, żeby zupełnie ciebie nam oddał.)

(*Angustynek i Paulinka, okazuią radość wielką, ściskaią za ręce karolka.*)

P. *Prewort.*

Otóż tego czekałem! Mężny chłopczyno! dziękuię ci całem moim sercem, wielką radość mi ſprawuieſz, dowodząc moiey familii, że dzieci nayuboższe i wzgardzané, maią duſzę częſtokroć naysżlachetnieyszą; tryumfuiesz nad dumą i óſzukaniem tuż przy urodzeniu zacnem bywaiących. ---

P. *Prewortowa.*

Daruy mi ... Uznaię winę moią. ---

P. *Prewort.*

Upokorzywszy moie dziéci, będą miały przykład z ciebie, żeby były lepszemi.

Karolek.

O Boże! czyż wart ieſtem aby Pan o mnie tak mówił? O iakże będę uśiłował koniecznie bydź dobrym!

P. *Prewort.*

Już ieſteś, i będziesz lepſzym ieſzcze. Miawszy taką duszę iak twoia, niepodobna zoſtawać w kącie, a Opatrzność którá takową ci dała, niechay raczy kierować memi zamyſłami.

Koniec Komedyiki.

* * * *

RO-

ROZMOWKA XI.

Matka.

MOie dzieci, cóżeście wczoray czytały? *Anulka.*

Komedyikę.

Matka.

Jeſtże zabawna?

Anulka.

Bardzo zabawna; lecz Julisia coś w niey poſtrzegła.

Matka.

Cóż takiego!

Julisia.

Jak to bydź mogło, żeby Auguſtynek tak brzydkiego dopuścił się uczynku, maiąc tak dobrego i tak litościwego Oyca! i dopuścił aby karolek będąc niewinny był za niego bity, na co on zaſłużył? kłamać! obmawiać! o co za nic dobrego dziecię! nie mogę cierpieć go, ani iego sioſtry, a z całey ich familii, sam tylko Oyciec godzien kochania.

Matka.

Upatruiesz więc błąd niepodobności w tey komedyice, ponieważ rozumieſz, że dzieci zawsze bydź podobnemi ſwem Rodzicom powinne.

Anulka.

Jeżeli to prawda, to ty kochana Julisiu naylepszą bydź masz.

Matka.

Dziękuię ci naymilsza Anulku! Otóż taka pochwała nazywa się nieznaczna, bo nie wymieniaiąc mię, naypochlebniey mię wychwalasz. Roztrząśniymy teraz krytykę twą Julisio! prawda że Augustynek powinienby bydź lepszym, maiąc takiego Oyca. Ale siostrę iego uznaieszże za winną?

Julisia.

Rożnośćiest między niemi ta, że Paulinka radziła mu żeby był złośliwym, a on z razu opierał się iey radzie.

Matka.

W pierwszey Scenie Augustynek okazuie się wahaiącym, a takowy niedalekim iest od złośliwości, zwłaszcza kiedy tego okolicznośc podaie się.

Anulka.

Taki charakter nie może nazwać się cnotliwy, ponieważ nie umie siebie samego przezwyciężyć.

Matka.

W samey rzeczy; lecz może bydź

dobrym sprawiedliwym, szczerym, ieżeli go nic nie nuży.

Julisia.

Prawda, bo gdyby Augustynek nie bał się plag, niepozwoliłby na szkodzenie, biednemu Karolkowi.

Matka.

Aby swietnieysza cnota wydała się karolka, Autor musiał wystawić zły charakter brata i siostry, ale zręczniey wystawił winnieyszą Paulinkę.

Julisia.

Zaiste powinien był okazać gorszą od Augustynka, ponieważ ią edukowała Matka dumna, burzliwa; lecz darować im trzeba, bo przy końcu obie poprawiły się.

Matka.

Uważaycie moie dzieci, iakto zaslepia, iak wielką krzywdę sam sobie czyni, ktory używa kłamstwa, żeby błąd popełniony ukrył. Wszak dla tego Augustynek kłamał, żeby nie wyznał swey płochości; ale gdy widział że karolek dla miłości iego był srodze skatowany, i że życie w niebespieczeństwo swe podał, ratuiąc tych, którzy iego byli nieszczęścia przyczyną, uznaiecie, że był sto razy nieszczęśliwszym, niżeli żeby był wziął plag kilka.

Julisia.

Co za wielka rożnica! bo sumnienie mocno go ſtrofowało, że był przyczyną bolu tak dobremu, tak cnotliwemu karolkowi.

Matka.

Mocno się wſtydził, trapił, porównywaiąc siebie do Syna wieśniaka. Jeżeli bardzo miła rzecz, gdy kto sam do siębie mówić może, *dobrze uczyniłem*, nie ma więc nic bardziey, dolegaiącego, gdy muśi sam do siebie mówić *złegom się dopuścił.* W tedy iuż sam siebie lekce waży, nie może polegać na przyiaźni innych, każda wesołość dla niego ieſt goryczą, a przepędziwszy dzień w smutku, noc bezsenną ma, sen niespókoyny, obudziwsy się, zaraz to co zbroił na myśl mu przychodzi. Niezapominaycie nigdy tych dwóch maxym. *Złośliwy sam siebie oszukuie. Nie może pokoiu mieć złośliwy.*

Julisia.

Cnotliwy zaś przeciwnie; iak mi powiadała Mamunia, czyniąc dobrze drugim, sam sobie tem czyni dobrze.

Anulka.

Karol tedy był szczęśliwy, obroni-

wſzy od zatonienia dwie osoby, dobry ten był uczynek!

Juliśia.

Owszem coś więcey; ia rozumiem, że trzeba ten uczynek nazwać *bohatyrſkim*, ponieważ podał się sam w niebeſpieczeńſtwo ratuiąc drugich w niebeſpieczeńſtwie.

Anulka.

Ja iedney rzeczy w pierwszey Scenie komedyiki niezrozumiałam. P. Prewort powiedział, że cnoty Szlachty coby miały pochodzić z dobrego początku, wypływaią z prożności. Proszę Ciotuni to mi wytłomaczyć.

Matka.

Uczynek bydź może dobry, albo mniey dobry według pobudki dla ktorey się czyni,

Juliśia.

Mamunia pewnie przypomina owe baieczkę *dela Fontaine*, zaczynaiącą się

Trzeba każdego z ludzi zobowiązać
sobie.
Może czasem przydać się i naymnieyszy tobie.

Matka.

Do czegóż to baieczka?

Julisia.

Zdaie mi się że tu służy, rozumie Mamunia moią myśl, ponieważ zawsze Mamunia zgadywa co ia chcę mówić.

Matka.

Prawda, rozumiem co myślisz, ale powiedz twey siostrze.

Juliś a.

Ten co baykę tę ułożyl, chce abyśmy każdego z ludzi sobie obowięzywali, ponieważ często potrzebuiemy naymnieyszych z ludzi pomocy. Ta tedy iest pobudka żebyśmy dobrze czynili drugim. Ale mi się zdaie, że ta pobudka nie iest zacna. Pewna iestem, że kiedy Mamunia daie pieniądz ubogiemu nie dla tego daie, ze może ten ubogi byłby kiedy potrzebny, ale dla tego, żeby go wspomodz.

Matka.

Powiem ci historyą kochana Anulku, z którey nauczysz się że iest ten prawdziwie cnotliwym, który ma cnotliwą pobudkę.

Bogacz Indyiski.

Pan Billon przeżywszy trzydzieści lat w Indyach powrócił do Europy wielką sobie zrobiwszy fortune. Przyiecha-

wszy do miasta w którém się urodził, poszedł do kupca korrespondenta swego. Nie mam dzieci, mowił, ani brata, ani siostry, muszą przecie bydź iacy dalecy krewni, mogę kogo mi się zdawać będzie z nich ubogacić, chcę zaś tego z bliskich moich, który będzie naygodnieyszy mego dobrodzieystwa, dopodopomoż mi, abym dowiedział się. Nie znam twey familii, odpowiedział kupiec, ale wiem że masz dwie krewné w tém mieście są rodzone siostry obiedwie, maią się nie zle, lecz różny bardzo oboyga charakter. Starsza Pani Dorwilier, z nikim nie widuie się; zle stoi, iednego tylko ma służącego, a naywiększé ma ukontentowanie, zbierać chować y zamykać pieniądze. Baronowa Seranz zaś przeciwnie lubi wydawać na stroie i inne okazałości, ale to wszystko iey nie przeszkadza do czynienia dobrze drugim, raz w tydzień każe przychodzić pewnym ubogim i rozdawać iałmużnę. Uydzie Baronowa, rzekł stary Marynarz, ale co drugiey i widzieć niechcę, brzydzę się łakomemi. Nazaiutrz odwiedził Panią Seranż, przyięła go pięknie i podobała mu się.

Służebna Pani Dorwilierowy, by-

ła siostra sługi kupca przyiaciela P. Billona. Sługa był przyiemny, gdy mowił Indyanin że nie chce nawiedzic łakomey kolligatki. Otóż twoia Pani dobrze ukarana powiedział do Siostry. P. Billon może co chcieć uczynić z swemi pieniądzmi, ale i szeląga nie da twey Pani, bo nieumiałaby ich użyć. P. Derwilleir podeyrzliwa, burzliwa, słysząc że ktoś idzie, wstała przybliżyła się do naymnieyszego słowa wysłuchała rozmawiaiących Wielki smutek na tę nowinę opanował ią. Skarb ten który nazgromadzała niczem iey zdawał się w porownaniu do bogactw, które iey krewny przywiózł. Cóż uczynię rzekła sama do siebie, abym zarobiła na iego szacunek? --- muszę zostać szczodrobliwą, ponieważ tych kocha, którzy drugim dobrze czynią. Ale czyliż można tę troszkę z pracą zebraną rozdać, zaiste rzecz przykra? lecz nie widzę innego sposobu, Dla tego myśląc coby czynić miała Pani Dorwilier, przedsięwzięła poysdź do Pani Seranz spodziewaiąc się tam zastać bogatego Indyanina. I w samey rzeczy zastawszy, usiłowała różnemi podchlebstwami pozyskać przychylność iego ku sobie, wymawiała łago-

dnie, że iey nienawidził. Zapewné, mowiła, niewiész WCPan, że masz kuzynkę ieszcze oprócz P. Seranż. Wiem dobrze, odpowiedział Marynarz, że i P. Dorwilier ieſt moią należącą, ale i o tem wiem, że nie ieſtem iednego z nią guſtu, WCPani lubi zbierać, a ia użyć pieniędzy umiem --- Prawda, odezwała się P. Dorwilier, że od śmierci mego męża mało co wydaię, zowią mię łakomą, otóż tak to są ludzie źli: ia że żyię oſzczędnie; że zrobiłam sumkę znaczną, to dla tego żebym nowy Szpital wyſtawiła w mieście. Jutro rano póydę do iednego z maiſtratowych, abyśmy tę rzecz ułożyli. Dam mu pięcset czerwonych złotych na zakupienie placu na ktorem będzie ſtał Dóm. P. Billon zadziwiony wpatrywał się w P. Dorwilierową. Czyż prawda? mowił, --- O iak ludzie znayduią się niesprawiedliwi! WCPani za łakomą miana, maſz zacną duszę, uymuieſz ſwym wygodom, okazuieſz się łakomą, a to dla tego, żebyś nędznych zaratowała. Szacuię teraz WCPanią, lubo przed godziną iey nie lubiłem. Poydźmysz Mężna kuzynko, i ia do tego dzieła przyłożę się, iutro rano przyidę do WCPani i razem poy-

dziemy do Maiſtratowego, Pani Dorwilierowa powróciła do domu z wielką radością, pewną będąc przychilności ku sobie bogatego Indyanina. Dotrzymał nazaiutrz słowa, znaczną summę przyłączywszy do pięciuset dukatow P. Dorwilierowy, złożył w ręce Maiſtratowego.

Źle mi doniesiono o tey Pani. mowił Billon do swego przyiaciela kupca, ma ona zacną duszę: iałmużny P. Seranz, nie są wporownaniu do tego, co uczyniła. -- Bardziey mi podoba się od Sioſtry, i ią ubogacę. Stary ſługa tych dwóch Pań Oyca, ieſt tu teraz rzekł kupiec, pytał się kędy WCPan mię ſzukasz, chce z WCPanem mówić. Każ mu WCPan przyiśdź, pewnie czego potrzebuie. Przyszedł ubogi Beltrand, tak się nazywał. Coż czynić mam dla ciebie moy kochany spytał się Indyanin -- „ Ah Mospanie ia ieſtem nieſzczęśliwy, „ a o WCPanu powiadaią że ieſteś do- „ bry, otóż dla tegom tu przyszedł. „ Dwadzieścia lat ſłużyłem u Wuja „ WCPana; po śmierci iego ożeniłem „ się, otworzyłem mały handelek; ale „ wſzyſtkie towary moie popaliły się te- „ temu lat trzy; nie ieſtem w ſtanie wy-

„ żywić moiey familii. Otóż przyszedłem prośić abyś kazał iakiego rzemięsla uczyć Syna mego ---„

Czemużeś się nie udał do P. Dorwilierowy albo Seranżowy?

„ Udawałem się nie raz Panie, ale „ mię z niczem odesłały, P. Seranżowa obiecała mię wspomodz. lecz żebym w dzień naznaczony z innemi ubogiemi przychodził. Ale gdy ona „ niechce ukrywać swe dobre uczynki „ ia też niechcę odkrywać moiey nędzy, „ przykrá dla mnie bardzo, iśdź do bramy domu tego żebrać, w ktorym „ wiernie lat dwadzieścia służyłem; wolałem ieszcze służyć. ---

A kędyż są twoié dzieci?

„ Moią corkę wychowuie z łaski „ swey WCPana kuzynka Panna Zofia, „ ta zacná Panna, lubo samá uboga, iednak znayduie sposob wspomagania „ drugich. „

Cóż to mówisz, mamże ia moią krewnę ubogą a cnotliwą, i nieznam iey? kędyż iest.

„ Jest ona siostra Pani Dorwilier i „ P. Seranż, trzecia córka Wuia WCPana.

Jak to bydź może, obiedwie nie

wspomnieli mi o niey? kędyż mięszka? dla czego uboga?

;, Po śmierci swego Oyca dała ie-
,, dnemu kupcowi swoią summę, ale ten
,, stracił trefunkiem wszystko. Widząc
,, więc, że nie może w mieście wyży-
,, wić się, udała się na wieś do przyia-
,, ciołki swoiey, żony iednego Ekono-
,, ma. Żyie tam poczciwie, robi su-
,, knie dla ubogich, uczy małe dziewczę-
,, ta. Wpaia w nie i swym przykładem
,, i słowy, aby były poczciwé, łago-
,, dné, cierpliwé. Jeżeli kto choruie
,, na wsi, nawiedza, cieszy, i iak mo-
,, że, ratuie.

Otóż takiey ia to szukałem, odezwał się P. Billon: móy kochany Bertrandzie, iutro poiadę do tey wioski, w którey mięszka Zofia, poiedziesz i ty ze mną. Nie troszcz się o twego Syna, dam mu edukacyą. Ty stary iesteś do służby, idź do twego Pana podziękuy mu, chcę abyś resztę dni twoich przepędził spokoynie. ---

,, O moy Panie będę zawsze prosił
,, Boga za WCPana i Pannę Zofią ,,

P. Billon przybywszy do wsi pytał się Ekonoma różnę mu zadaiąc pytania, o swoią kuzynkę. Ah! Mospanie, od-

powiedział Ekonom Zofia ieſt to Anioł. Innaby narzekała utraciwszy swóy maiątek, a ona patrz WCPan iak wesoła, nic iey dobroci odebrać niezdoła, i ta dobroć czyni ią szczęśliwą. .... Proszę WCP. rzekł Indyanin, powiedz iey, że krewny ktorego nigdy niewidziała, chcę ią poznać nayprędzey Zofia zadziwiona, przywitała P. Billona zwykłą swoią grzecznością. Pogadawszy z ſobą, Indyanin odezwał się. Rozpływam się od radości moia kuzynko, bardziey mi się podobasz bez ozdob ſtroiu, w tem płocienku, niżeli Baronowa Seranż ze swoią okazałością; a chociasz ieſteś uboga, bardziey ieſteś, iako widzę, kontenta niżeli Pani Derwilierowa z swemi ſkarbami. Ale dla czegoż to Panie nic mi o tobie niepowiedziały, czy się gniewacie? Widząc gdzie się znayduieſz WCPanna? ... Owszem pisuię do nich odpowiedziała Zofia, dopiero trzy dni do obydwoch poſłałam liſty .... O nielutościwé serca! zawołał Pan Billon, nie mogę im darować bez względności na tak miłą Sioſtrę .... Daruy WCP. proszę, rzekła Zofia, zapomnienié to może się naprawić ... Nie ieſt zapomnienie, na to P. Billon, są one u siebie

przekonane że więcey wartaś WCPanna nad nie, i dla tego nie powiadały mi nic o WCPannie, życząc zagarnąć te bobogactwa, których dorobiłem się w Indyach. Ale się omylą, niechcę ia zostawić moiego maiątku dla P. Seranz, bo co czyni, czyni z prożności, żeby ią miano za miłosierną; niechcę zbogacać Panią Dorwilier, ponieważ czyni dobrze dla interessu. Mam dowód tego na słudze wysłużonym u Oyca ich, nie chciały mu dopomodz. Dowiedziawszy się o tem, miarkuię że i Szpital Pani Dorwilier dla nabycia moiey fortuny. WCP, zaś kochana Zofio czynisz dobrze, bo piękną rzeczą rozumiesz czynić dobrze, ponieważ czyniąc dobrze drugim sam iest szczęśliwym i wart prawdziwie szacunku: Otóż czynię WCPannę samą dziedziczką, odtąd możesz tem rozrządzać wszystkiem co iest moiego. Wiém ia że nie potrzebuiesz bydź bogatą, żebyś była szczęśliwą, lecz wielu uczynisz szczęśliwémi będąc bogatą.

Anulka.

Moia Ciotuniu bardzo dziękuię za tę historyą. Naucza mię, iaka iest rozność czynić dobrze, z pobudki dobrey, a iaka z pobudki prożności albo interessu.

Julisia.

Cóż Siostry Zofii mówiły mamuniu, dowiedziawszy się o tem!

Matka.

Zasmuciły się z dwoiakiey różney pobudki. Pan Billon mówił przed wielu osobami, że dobra swoie zapisze tey z krewnych, ktora by była naycnotliwszą. Ambicya Panią Seranż uwodziła, żeby ią miano za miłosierną, mocno tedy zmartwiła się widząc że Zofia nad nią przeniesiona.

Julisia.

Ja przeczumam, że Pani Dorwilier bardzo kochaiąc pieniądze, mocno się zmartwiła niedostawszy maiątku Indyanina.

Matka.

Bez wątpienia, a naybardziey żałowała owych pięćset czerwonych złotych oddanych Maistratowemu.

Anulka.

Ja wierzę, że dobrego uczynku nicht nie żałuie.

Matka.

Nigdy się nie żałuie z dobrey pobudki czyniąc dobrze, ale nie miała iey Pani Dorwilierowa. Pamiętayciesz o tem dobrze moie dzieci, że aby bydź we-

sołó cnotliwym, nie tylko dzieła dobre czynić należy, ale z dobrey pobudki.

Julisia.

Upewniam Mamunię, że niezapomniemy. Kiedy Mamunia będzie zabawná, pozwoli nam zabawić się czytaniem o kopersztychach, które nam wczora wieczorem dała Mamunia: prośiłyśmy Mamuniney przyiaciołki, żeby nam czego niezrozumiemy o czwornogich zwierzętach, wyłuſzczyła.

Matka.

Prośiłam ią, żeby chciała to uczynić.

Anulka.

Kiedym tu przyiechała, tak byłam niewiadoma rzeczy, że nie wiedziałam iż czworonogie zwierzę to się zowie, które o czterech nogach chodzi. Julisia to mi wyłożyła, codzień czego nowego od niey nauczę się.

Matka.

A ty moia Anulku, ieſteś, ſkromná, powolná, szczerá, poczciwâ, to więcey waży niżeli wiadomość rzeczy obcych.

KO-

KOPERSZTYCHY.

NAUCZYCIEL.

Alexander. (
Henryk. (
Albert. (
Karol. (
Guilelm. (Uczniowie
Franciszek. (Klaſs.
Edward. (
Guſtaw. (
Fryderyk. (
Filipp. (
Edmund. (
Jakób. (

Alexander.

O Co za przykrość gorąco dziśiay! chce mi się spać.

Henryk.

I mnie. Wolałbym, żeby dziś nie było Szkoły. (*ziewa.*)

Franciszek.

Póydźmy do Nauczyciela prośić.

Fryderyk.

Ja poydę z tobą.

Fran-

Franciszek.

Trzeba żeby Alexander poszedł.

Alexander.

Ja nic niewſkóram. Nieuprośiemy go.

Franciszek.

Ale mu powiemy że nieznośny upał.

Alexander.

I wczora wielkie było gorąco, a niemieliśmy uwolnienia.

Guſtaw.

O co dziś daleko większe!

Karol wbiega do śiedzących.

Bądźcie weſeli przyiaciele, dobrą wam niosę nowinę. ... Idźmy wszyscy do ogrodu. Nauczyciel będzie nas uczył na chłodzie w cieniu.

Wszyscy razem porywaią się i biegną.

Tem lepiey, tem lepiey, będziemy chłod mieć w ogrodzie,

Nauczyciel.

Nie ieſtże miley wam tu niżeli w Szkole?

Wszyscy.

Tysiąc razy! o iak miło w tem cieniu. Nie będzie nam się drzymać chciało.

Nauczyciel.

Mám ia lekarſtwo na drzymanié (*dobywa z kieszeni koperſztychy.*)

Edmund.

Ah! co to takiego?

Franciszek.

Mnie się zdaie, że to coś należy do hiſtoryi Naturalney.

Nauczyciel.

Może to bydź (*rozdaie kopersztychy uczniom.*) *Alexander.*

Kopersztychy! koperſztychy! ia to nad wszyſtko wolę. Mam Słonia.

Henryk.

A ia Lwa! Lwa!

Albert.

Patrzay! patrzay! a ia Małpę!

Karol.

Nie, nie, patrzcie na moią Sowę.

Gwilelm.

Kto chce widzieć Iża, mam go.

Franciszek.

Ja coś lepszego, Oto Struś, patrzcie co za nogi wysokie, co za szyia!

Guſtaw.

Bóbr. A tego znasz, iak pies drzy, to ieſt Mrówka Indyiſka.

Fryderyk.

A ia mam Renna.

Filipp.

Wolę ia moie zwierzęta, o to ieſt Jeleń, a to Orzeł.

Edmund.

Ja coś mam cudownego. --- Chamaleon.

Nauczyciel.

Uciſzcie się moie dzieci. Powiém wam teraz, Słuchaycie, co czynić będziemy z temi koperſztychami. ... Naprzód weźmiemy nayznaiomsze zwierzęta, i każdy z nas powie, to, co wié, o poſtaci, oyczyznie, naturze, własnościach, pożytku albo szkodzie iakie dla ludzi czynią. --- Alexandrze ty zaczniy pierwszy, a zaczniy od którego ci się podoba.

Alexander.

Które mi się podoba? Otóż biorę konia. To ia zwierze naybardziéy lubię; Otóż to ten ieſt. O iak piękny, rzezki wesoły, bardzo mi się podoba kiedy w kitę głowę ma ubraną, krotko mowiąc z czwornogich koń u mnie w naywiększych łaſkach! Jeſt pracowity, wierny, poiętny, powolny na naymnieysze ſkinienie swego iezdzca. Można z nim ſię bawić, głaſkać go bez żadney boiazni.

Nauczyciel.

Nie życzę każdemu dowierzać koniowi.

Alexander.

Doświadczałem nie iednego, a nic mi się nie stało złego.

Nauczyciel.

Może kiedy się trafi. Są konie zuchwałe, które kąsaią, wierzgaią, i bardzo kaleczą. Drugie są lękliwe, na naymnieysze dotknięcie srożą się. Więc kochany Alexandrze nie głaskay żadnego konia póki o nim nie iesteś pewny. Przeczyć temu nie można, żeby dobry koń nie był z zwierząt naywiernieyszy i naypotężnieyszy.

Alexander,

I tak rączo biegnie a galoppem iak wiatr.

Nauczyciel.

I owszem nie kiedy prędzey. Na biegach końskich w Anglii koń biegun w pięciu minutach godzinną milę ubiegnie, a wiatr naygwałtownieyszy milę godzinną w sześciu minutach przepędza.

Henryk.

To cudowna!

Karol.

Lecz te konie muszą uczyć tak biegać.

Nauczyciel.

Uczą. Wszyſtkie konie Europeyſkie są zwierzęta domowé karmione i ujeżdzane od ludzi. Lecz w Ameryce Hiſzpańſkiey, wielka liczba koni sama się pasie. Nigdy nie uderza na inné zwierzęta; chodzą hurmem, niczego się nie boią; żyią ziołami, liściami z drzew. (*a*) Uważmy teraz kochani uczniowie iaki nam pożytek czyni koń. Pozwolmy, że tak wyginely konie, iż żadnego niemaſz na świecie. ---

Alexander.

Ah! bardzoby zle było. Chłopi nie mieliby czem koło roli robić, my mielibyśmy głód. Używaliby w prawdzie wołów; ale by tego niemi nie dokazali, co końmi. *Henryk.*

A Monarchowie niemieliby ani Kawaleryi ani Dragonii, ani Huſsarow, ani Kiryſsyerow.

Nauczyciel.

Ale chłopi z tego cieszyliby się.

Albert.

Nie możnaby było iezdzić, ani liſtów poſyłać na pocztę.

(*a*) U nas na Podolu ukrainie w Stepach czyli polach wielkich znayduią się konie malutkie.

Karol.

I iakby ſprowadzały się materyały do budowli? Dziesięciu naymniey ludzi trzeba do tego co ieden koń uciąga!

Edward.

Jakże bym grał na ſkrzypcach, gdyby koni nie było, nie miałbym ſmyczka.

Fryderyk.

Krzesełka i kanapy bardzoby twarde były, bobyśmy nie mieli szersci do wypychania.

Franciszek.

O iakby Panie i Panowie wielcy ubolewali, żeby muśieli chodzić piechotą.

Henryk.

Holendrzy którzy wygodnie płyną w ſtatkach ciągnionych od koni, cóżby bez koni czynili?

Alexander.

I chorzy, którym każą konno ieździć.

Nauczyciel.

Otóż krotko mówiąc, widźicie kochani moi, że koń koniecznie potrzebne zwierze dla nas Europeyczykow, kiedy podrośniecie moie dzieci, niezażywayciesz źle tego zwierzęcia. Tyle dawaycie pożywienia mu, ile potrzebuie, i nieobciążaycie go pracą nad siły iego. gdy iuż wypracuie się, nie oddaway-

cie go ludziom nielitościwym, którzy w ſtarości ich męczą, katuią.

Alexander.

Ja wolałbym sam głód cierpieć, niżeli nie dawać iesdż koniowi memu.

Nauczyciel.

Dobrze mówisz, bądź zawsze tego zdania, i niezapominay o maxymie. *Sprawiedliwy lituie się nad bydlętami.* Podźmy do innych zwierząt, iakie masz.

Henryk.

Ja mam bardzo małe zwierżątko.

Nauczyciel.

Jákie:

Henryk.

Kotka.

Nauczyciel.

Lubisz to kotki?

Henry k

Bardzo lubię. Mam w domu malutkie kociąteczko, żwawé swawolné o iak mię swemi ſkoczkami bawi!

Nauczyciel.

Cóż to masz na ręce, widzę okaliczyłeś się.

Henryk.

Kotek móy zadrasnął mię wczora,

Nauczyciel.

Nieufay mu, może bowiem swą łapką ciebie oślepić.

Henryk.

Nic mi złego nieuczyni, mam ia oko na to.

Nauczyciel.

Nieufay mu, mowię ieſzcze raz. Kot ieſt to zwierze chytré, zwinne, obłudne, okrutné. Aby o tem bydź pewnym, dosyć patrzeć co robi z swoim łupem, podrzuca myſz, chwyta, dławi, i z konaiącą bawi się po tyrańſku, i znowu tóż czyni, męcząc długo, poki nie zaduśi, i niezezrze. Powiedzcież mi teraz, możeż bydż okrutnieysze zwierze!

Henryk.

Ale tó czyni z myſzami, nie z ludźmi.

Nauczyciel.

Myliſz się, bezwzględny ieſt na ſwe dobrodzieia, a częſtòkroć niewdzięczny, rani i kaleczy rękę głaſzczącą i karmiącą.

Wszyscy.

O złośliwé zwierze!

Franciſzek.

Gdybym go miał, rozdarłbym go.

Henryk.

Poczekay no poczekay, ſkoro przyidę do domu; złapię cię i wrzucę w Rzekę.

Nauczyciel.

Z wolna, nie tak nagle. Dozwól niech żyie, niechay kot łapie myſzy, bo

na to ieſt: lecz nie baw się z nim, nie pieſzcz się, a bądź pewny że ci nic złego nie uczyni.

Albert.

Co za rożność kota od mego baranka, ia bawię się niekiedy z nim, i nie boię się o moie oko.

Nauczyciel.

Dobrze, opiſz nam, iak umieſz owieczkę. Zaiſte wſzyscy lubicie to zwierże. Jakaż natura iey.

Albert.

Niewinność i proſtota.

Karol.

I głupſtwo.

Albert.

I głupſtwo? Nad to tego.

Karol.

Alboż nie ieſt głupią, kiedy od ſwego nie umie uciekać niebeſpieczeńſtwa? Gęsi nie są chytre, a z drogi uciekaią; kiedy kto ich ſpotka.

Albert.

I owieczki także.

Karol.

Zapewne, nieuważałeś dobrze. Ale tylko uważay, a obaczyſz, że nie czułe są na wſzyſtkie niewygody, tam ſtoią kędy ich napadnie deſzcz, ſzaruga, cho-

ciażby tylko o trzy kroki był dach, nie poydą pod niego. Widziałem to nie dwadzieścią razy.

Albert.

I cóż im szkodzi deszcz, gdy maią dobre odzienie?

Nauczyciel.

Nie bez przyczyny karol mówi. Owce są to zwierzęta słabé, boiaźliwe, głupie, zginełyby bez pomocy ludzi. Ale natura boiaźliwa owieczek bardzo iest użyteczna dla ludzi. Gdyby owce były tak chytre iak lisy, albo żeby miały kły iako dziki, iakżeby można było strzydz. Dobrodzieystwo to iest opatrzności Boga że owce są łagodne, powolné i człowiek według upodobania swego, i wełną i życiem ich rozrządzać może.

Karol.

Przecie trzeba przyznać że baranki taką maią sztukę, ktorcybym się niepotrafił nauczyć.

Albert.

Czegoż takiego?

Karol.

Bardzo bawi patrzeć na to. Kiedy owce z pola zeydą, i do owczarni wbiegaią kędy są baranki, wszystkie beczą aż do zagłuszenia, potem iagnięta szukaią

i znayduią swe Matki, i nieomylą się, chociażby tysiąc było owiec.

Edward.

I coż to ieſt trudnego?

Karol.

Co trudnego! Sprobuy między piećdźiesiąt owieczkami, rozeznay przynaymniey cztery. Stawię iak naywięcey, że nie potrafisz.

Nauczyciel.

Jeſtem tegoż i ia zdania, trzeba długiego wzwyczaienia się, aby rozeznać między iednakiemi zwierzętami.

Albert.

Prawdaż to, że owce zdaią się lubić muzykę?

Nauczyciel.

Powiedaią, ale to pewnieyſza, że rozrywkę czyni Paſterzowi, i mniemaią że życie ſamotne pasienia owiec przyczyną wynalezienia tey sztuki.

Alexander.

Toby to iuż drugą wynalezieniu Paſterzow przypiſywano.

Nauczyciel.

Paſterze Chaldeyscy w nocy przypatruiąc się gwiazdom i uważaiąc obrot ich, założyli pierwsze fundamenta Aſtronomii. Ale powroćmy się moie

dzieci do owieczek. Pomyśliliżcież kiedy o wielkich pożytkach z owiec?

Fryderyk.

Tak ieſt, wiem, że mleko owcze ieſt wyśmienité, chciałbym go mieć na wieczerzą.

Guſtaw,

Łopatka barania przewyborna.

Edward.

Jeżeli się nie mylę, podobno ſłyſzałem; że pargamin robią ze ſkory barani.

Nauczyciel,

Prawda, a tak można mówić, że pożytek z owiec sięga nawet sztuki woiowania, Muzyki, i innych nauk. Rozumiecieſz moie dzieci!

Karol.

Co do woienney sztuki rozumiem, bo pargaminu używaią do kotłów. Nieprawdaż!

Alexander.

Co do nauk to przyimuię, bo przed wynaleźienlem robienia papieru, piſano na pargaminie, i dzisiay w pargamin książki oprawuią, lecz co do muzyki niewiem.

Nauczyciel.

Niewidziałże z was żaden wewnątrz układu organów.

Filipp.

Prawda, prawda! przypominam ſobie, że miechów powleczone są brzegi pargaminem.

Nauczyciel.

Miechy, piszczały, nie możnaby zrobić iak mi się zdaie, organów bez pargaminu. Otoż co się tycze muzyki.

Alexander.

Ale to niczem ieſt w porownaniu do wełny, ktorą mamy z owiec; robią ſukna, i każdy potrzebuie ſukna, zacząwſzy od Monarchy aż do żebraka.

Nauczyciel.

Nie tylko ſukna, lecz flanellę, kuczbaie, multan, barchan, ratynę i inne pod rożnemi nazwiſkami materye. Do tego, i bez to millionow ludzi żyie róbiąc koło wełny, w ſamey Anglii przeſzło million ludzi w fabrykach wełnianych.

Karol.

W tem razie chciałbym wiedzieć, wiele by znaydowało się owiec w Anglii? muśi bydź iak piaſku na brzegu morza.

Nauczyciel.

Na pamięć nie umiem wam powiedzieć ale to pamiętam, że na początku wieku tego rachowano dwanaście millionow owiec. Z tem wſzyſtkim wełna kraiowa niewyſtarcza Anglikom, tylo

drugie biorą z Hiszpanii, Portugalii, nawet z Afryki i Ameryki. To mówię o iedney Anglii, a w każdym krolestwie mniey więcey wypotrzebuie, na sukna czapki, kapelusze, pończochy &c. Jeżeli prawda że Europa ma ludzi sto pięćdziesiąt millionow, to przynaymniey sześć milionow koło wełny robi i żywi się. Nierachuiąc prządkow, przedawaców, farbierzów, praczów, kupców, iako także białoskurnikow, kapeluszników, introligatorów, Pasterzów &c.

Jakob.

Praczów, białoskorników, ia tych słow nie rozumiem.

Nauczyciel.

Pracze ci nazywaią się inaczey folusznicy, którzy sukna piorą, maią na to nakształt młynów, w ktorych woda podnosi kiianki, czyli łopaty. Białoskurniki, którzy gnoią skory, a potem z nich oczesuią szerci żelaznemi korbaczami. .... Nie uważacież teraz że owca acz boiaźliwa, lękliwa, głupia, arcypożyteczna iest dla człowieka.

Wszyscy.

Prawda, prawda i koniecznie potrzebna.

Nauczyciel.

Weżmiymy insze iakie zwierze.

Alexander.

O to to.

Wszyscy.

To, to, Słonia, Słonia, prosiemy WCPana nasz Nauczycielu, powiedzieć racz nam co o nim.

Nauczyciel.

Dla czegoż lubicie Słonia! ... Patrzcie iak brzydki, słup żywy z niego, żadney nié má w sobie proporcyi.

Gustaw.

Prawda, lecz dowcipny!

Nauczyciel.

Jeżeli dla tego, otóż ciekawych wiele rzeczy o nim wam powiém.

Gustaw.

Prosiemy bardzo.

Nauczyciel.

Mowiliśmy dopiero, że owce są boiaźliwé, że nieumieią od niebespieczeństwa uciekac, otóż Słoń trefunkiem na drodzę spotkawszy stado owiec, zwolna odpędza ie trąbą żeby którey nie zgniót. Tóż samo czyni i z dziećmi ludzi, kładzie ich na ziemi bez żadnego obrażenia, żadnemu zwierzęciu nic złego nie czyni Słoń, byle mu co przykrego nie uczyniło.

Gustaw.

O szacowné zwierze!

Fryderyk.

O gdyby do nas przyszło!

Gustaw.

Nie ie żadnegoż mięsa?

Nauczyciel.

Nie. Chociażby był naygłodnieyszy na żadné nienapada zwierze. Uważcie nayrzadsze rosporządzenie Boga. Gdy by Słoń iadał mięso, i gdyby tak był natury drapieżney iako naprzykład Tygrys, w kilku dniach całą okolicą nayobszernieyszą spustoszyłby.

Edmund.

Jakiey wielkości bywa Słoń, i gdzie się rodzi!

Nauczyciel.

Słonie mnożą się w Afryce i Azyi. Indyiskie są naymocnieysze i naywiększé, powiadaią, że maią wysokości trzynaście, czternaście do pietnastu stóp, a ważą do pięciu tysięcy funtów.

Jakób.

To potężne! muszą tedy bardzo wiele iadać.

Nauczyciel.

Jeden kraiowidz twierdzi, że Słoń zie na dzień sto funtów ryżu, i tylo zie przez tydzień, ile trzydziestu Murzynów:

twier-

twierdzi także iż można go przyzwyczaić do iedzenia każdey rzeczy nawet mięsa gotowanego. Słuchaycie iako karmiono młodego Słonia w zwierzyńcu Króla Francuskiego. Codzień mu dawano ośmdziesiąt funtów chleba, dwanaście kwart wina, i dwa wiadra polewki, do ktorey kraiano cztery, pięć funtów chleba, co drugi dzień zamiast polewki, dwa wiadra ryżu gotowanego w wodzie. Kładziono przed nim codziennie dla zabawki iego snop zboża; ponieważ ziadłszy ziarna, robił ze słomy ogankę od much. Słomę po iedney łamał sztucznie, a to wszystko trąbą swą: zrywał zioła przechodząc, codzień bowiem przeprowadzano go.

Filipp.

Cóż piie nie będąc między ludzmi?

Nauczyciel.

Cożby miał pić inszego? wodę: lecz ią wprzod mąci, ponieważ za ciężką wodę ma czystą. Z tem wszystkiem Słonie mogą wytrwać bez iedzenia i napoiu siedm, ośm dni.

Edmund.

Słoń nie iest mocnieyszy od konia, prawda?

Nauczyciel.

Mocnieyszy od sześciu i to mało.

Edmund.

Niepodobna!

Nauczyciel.

Niepodobna! widzisz ten mur? Słoń do razu iednem zamachem obali go, i tąż trąbą drzewo to które widzisz, może wyrwać. Kiedy go obładuią, tak odmie brzuch, że wszystkie wiązania zerwie, i łańcuch z niego spada.

Alexander.

Ja słyszałém, że może unieść wieżę z pięcmiu sześćmiu ludzmi.

Karol.

A człowiek na szyi iego siedzi.

Fryderyk.

Ale niepodobna żeby tak biegł prędko iako koń, wszak prawda?

Nauczyciel.

Jako koń, i prędzey.

Jakob.

Proszę, patrz iak ma długie uszy!

Nauczyciel.

Nie bez przyczyny ma długie uszy. Ten który stworzył człowieka i zwierzęta, dał im to co potrzeba. Uszy Słonia zwykle wiszą, ale on ie podnosi i obraca łatwo, służą mu do ocierania

ócz, do zasłonienia ich od prochu i much. Słuch ma ostry, zdaie się że lubi muzykę, uczy się chętnie iśdź w miarę obracać się, i obracać swą trąbą na odgłos bębna albo trąby.

Fryderyk.

To osobliwsza! któżby wierzył, że tak słupowate zwierze bydź może i muzykantem, i skoczkiem?

Nauczyciel.

Słoń ma oczy małe, iasne, żywe, i wyraznieysze, od innych zwierząt. twierdzą że obraca niemi zwolna mile na okazanie przywiązania ku swemu Panu, gdy ten do niego mówi. Węch ma wyborny, wszystkie wonności bardzo lubi, zrywa kwiatki po iednemu, i z nich robi bukiet.

Jakób.

Maszże Słoń nos!

Nauczyciel.

Nie inaczey, trąba mu służy do wąchania i dotykania: przez nią oddycha, i tę trąbę ma za nos, i ręce.

Edmund.

Prawdaż, że słoń pamięta o dobrodzieystwach i krzywdach sobie uczynionych?

Nauczyciel.

Tak twierdzą.

Alexander.

Słyszałem o dwóch zemſtach które ów Słoń w zwierzyńcu Wersalſkim uczynił.

Edmund.

Powiedzże nam, proſzę.

Alexander.

Człowiek ieden udawał, że mu rzuca coś w gardło, Słoń taki mu raz zadał trąbą, że dwa żebra złamał, obalił go, nogami deptał, i zębamiby przebódł gdyby nietrafił niemi w ziemię. Zemſta ta była okrutna, lecz naſtępuiąca ucieſzna. Jeden malarz chciał go odrysować podnoszącego trąbę i otwieraiącego, ſługący malarza rzucał mu owoce, żeby podnośił trąbę, a gdy nie ſtało owoców, udawał ręką rzucanie. Rozgniewany Słoń, dorozumiawszy się, że Malarz był przyczyną tego natręſtwa, coby miał zemścić się na ſługącym, pomścił się na Panu iego; tylo wody wyrzucił trąbą na papier, że wszyſtek ryſunek zalał.

Karol.

Przypominam ia ſobie podobną zemſtę. Krawiec Arabſki przy bramie sie-

dząc robił swe rzemiesło, a na drugim stole leżały iabłka. Co dziennie w południe, Słonie przechodziły koło tego stołu do wody. Jeden z nich przybliżywszy się wziął iabłko, toż i drugiego dnia uczynił, ale krawiec ukłoł go igłą w trąbę żeby więcey niebrał. Słoń poszedł w swoią drogę, w krótce powracaiąc się, przechodził koło krawca, i pełną trąbę maiąc wody na krawca wylał ią, iak z cebra.

Wszyscy się rozśmieli.

Dobra zemsta! dobrze mu oddał.

Fryderyk.

Ale iakże tylo wody może utrzymać w trąbie.

Nauczyciel.

Bardzo łatwo. Wystaw sobie, że to iest machina gęsta, wydrążona, na kilka łokci długa.

Henryk.

Nie umiem ieszcze poiąć. Proszę WCPana powiedz mi czy ta trąba służy mu za pysk.

Nauczyciel.

Nie, wpatrz się dobrze; ma pysk iako i inne zwierzęta, a to w tyle za trąbą.

Henryk.

Otóż tegom nieuważał.

Nauczyciel.

Lecz gdy Słoń ma ſzyię bardzo krótką, nie mogłby się schylić i ſzukać pożywienia dla siebie. Otóż trąbą to wſzyſtko robi, może ią iak chce obracać, podnośić, zniżać, i nią pokarm, i napóy ſpuszcza do pyſka.

Henryk.

Cudowna rzecz!

Nauczyciel.

Słoń ma ſkorę tak grubą, że chyba kulą armatną można razić. Lecz ſkoro utraci swą trąbę, ani oddychać, ani ieśdź ani pić nie potrafi. Trąba iego tak mocná iako łapa tygrysa albo niedzwiedzia, a tak zręczna iak małpy.

Karol.

Móy Oyciec widział Słonia w iednem mieście Niemieckim, który to czynił co mu iego Dozorca kazał. Kiedy wiéle osób obſtąpiło go, witał każdego z osobna ſchylaiąc trąbę i głowę i trąbą zdeymował kapelusz swego Pana, kładł mu na głowę, pieniądze rzucané zbierał po iednem, do kieszeni kładł iego, do którey kazał. Naoſtatek wziął butelkę z likworem, korek wyiął zręcznie,

likwor wylał w trąbę, butelkę postawił na ziemię, i dopiero z trąby wlał w swe gardło.

Wielu Uczniów.

O iakbym rad był to widzieć!

Gustaw,

Słyszeliśmy iak bywa mściwy Słoń, iabym chciał słuchać o jego wdzięczności.

Nauczyciel.

Słoń bardzo lubi napoie tęgie. Jeden z żołnierzów zwykł był czasem nosić mu Arak, iest to gatunek gorzałki z ryżu paloney. Dnia iednego Żołnierż coś zbroił, i miał bydź wzięty od straży, uciekł więc pod Słonia, który tak mócno bronił go, że nie mogł bydź wzięty w areszt,

Alexander.

Wielka chwała dla człowieka, ułaskawić tak ogromnego zwierza.

Karol.

Jakże Słoniów łowią?

Nauczyciel.

Innego czasu o tém powiém, dosyć abyście wiedzieli o wielkości poiętności, i zręczności Słonia, to tu dodam wczem pomocny iest człowiekowi. Wszelkie beczki, paki z iednego na drugie mieysce przewożą na Słoniach, może cięża-

ry dźwigać, na karku, na sobie, i na swych zębach, koniec powroza podany w zębach trzyma. Łącząc wyrozumiałość do mocy, nic nie psuie co mu oddano. paki przenosi z iednego brzegu na drugi przez wodę nie zamoczywszy, ſtawia na brzegu, i doświadcza trąbą czy dobrze ſtoią, a gdy poſtrzega że beczka toczy się, idzie ſzukać kamieni i podkłada aby beczka ſtała w mierze.

Karol.

Słoń i po śmierci pożyteczny.

Jakób.

Jak to?

Karol.

Te wielkie zęby nazywaią się ſłoniową kością, z ktorey tak wiele rzeczy robią.

Nauczyciel.

Teraz obierzcie iakie inne zwierze.

Edward.

Weźmy to, które ma rog na czole.

Nauczyciel.

Zawsze oſobliwsze, zawsze obce. Wierzaycie że w Europie wiele ieſt nie mniey ciekawych zwierząt od Rynocerosa. Macie naprzykład to, zna go kto z was.

Edward.

Jeſt to szczur.

Nauczyciel.

Nazywa się Hamster, albo szczur polny.

Gwilelm.

Ah! to złodziey, ktory wielkie szkody czyni chłopóm, kradnie zboże i po lochach chowa.

Nauczyciel.

Dla czegoż nazywasz go złodzieiem? Pewnież rozumiesz, że wszystkie płody ziemne dla samego tylko są człowieka? tak rozumieć byłaby subtelność, łakomstwo, których się strzedz potrzeba. Natura niezmierzonym iest magazynem, w którey tak ludzie iako i zwierzęta czego potrzebuią szukać maią, więc niemamy im zazdrościć tego, bez czego obeysdź się nie mogą.

Gwilelm.

Lecz co zabieraią Hamstery nie iest mało: słyszałem że stare nanoszą do swoich iam sto funtow ziarna.

Nauczyciel.

Może to bydź, lecz wygubiaią hamsterow, któż ma przyczynę użalenia się czy hamster czy człowiek?

Filipp.

Powiedziałeś WCPan że hamster iest zwierze ciekawe, pewnie iest dowcipne?

Nauczyciel.

Zapewne, ponieważ umié budować pod ziemią dla siebie mięszkania, dzielic na sypianie, i na iadło.

Edmund.

Kędyż znayduią się hamftery? nie możnaż mieć przynaymniey iednego.

Nauczyciel.

Zyią pod ftrefą umiarkowaną, znané są w Niemczech i w innych kraiach. Jedzą żyto, ięczmień, pfzenicę, groch bób &c. zbieraią w lecie i noszą na zimę do fwoich iam.

Guftaw.

Ale iak zboże przenośi?

Nauczyciel.

Jak rozumiecie?

Guftaw.

Cięfzko zgadnąć, ponieważ nie umieią robić worów?

Nauczyciel.

Prawda, lecz natura im dała coś podobnego. Są dwie torby nakfztałt pęchyrzy po obudwoch ftronach pyfka, długie na trzy cale, napełnia one ziarnem, i przynośi do mięszkania fwego.

Albert.

Zbóże muśi go kłóć, bo ieft kończyfte.

Nauczyciel.

Dobra uwaga, lecz te torby maią humor w ſobie gęſty, przezco nie dolega hamſterowi acz kończyſte zboże.

Filipp.

A gdy napakuie te torby, iakże wyproźnia?

Nauczyciel.

Używa do tego dwóch nóg przednich, przyciſka nięmi czyli wypycha z tórb ziarna, a potém wymłaca?

Filipp.

To on z kłoſkami ziarna zbiera? iak że ie wymłaca.

Nauczyciel.

Nogi mu za cepy ſłużą, póty biie niemi, poki do naymnieyſzego ziarnka nie wymłoci, ſłomy używa na łożko, i na uſtroienie swego mieſzkania.

Franciszek.

Dziwna rzecz bardzo!

Nauczyciel.

Nie mniey ku podziwieniu, iak zimę przebywa. Gdy nadchodzi zima, hamſtery do swych ſchraniaią się mieszkań i wniyiście zawalaią. Zoſtaią spokoyni na ſwoich lochach, żyiąc tem co nazbierali, póty póki nienaſtąpią tęgie zimna, pod cas których zaſypiaią iakby w le-

targ wpadaiąc. Doſtawszy się w ten czas do ich iam, da się widzieć, że hamſter śpi miętko na łożeczku ſwoim wyſłanem ſłomą. Leży zaś tak, głowę trzyma między dwoma łapkami spartą maiąc na brzuchu. Oczy ma zamknięte, powieki bardzo łatwo odmykaią się. Członki wſzyſtkie zimné iak lod, a ſerce bardzo zwolna biie.

Franciſzek.

Jakże się przebudzaią z tego letargu!

Nauczyciel.

Uſtępuie zdrętwienie, oddycha gwałtownie po nie małem przeciągu czaſu, ruſza łapami, otwiera pyſk iakby do ziewania, i głos nię przyiemny wydaie. Po nieiakim czaśie otwiera oczy, usiłuie chodzić; lecz tak z początku ſtąpa iak człowiek piiany, i póty wzmaga się póki do brze nie póydzie. W tem tedy ułożeniu ſtoi pogląd aiąc na siebie, iakby po nayw iękſzem unużeniu, potem chodzi, iak i przed tem.

Edmund

Lecz gdy śpi w zimie, ſkądże bierze pożywienie obudziwſzy się?

Nauczyciel.

Łatwo dorozumieć się. Na wioſnę ocknąwſzy się nie ma w polu kłosów,

więc co przed zimą nazbierał, tem się żywi.

Alexander,

O naturze iego nic nam WCPan nie powiedział.

Nauczyciel.

Mówię. Pafsya iego panuiąca zdaie się bydź cholera, bo co tylko napada na drodze, na to się sroży, na to uderza, a coby miał uciekać, woli zabitym bydź; ani konia, ani psa, nie lęka się. Dla tego to hamſtér z wſzyſtkiemi zwierzętami walczy, nawet ze swoim rodem. Kiedy torby swé ma napakowané, można go wziąść ręką, bo nie może ukąsić, nie ma bowiem wtedy ſzczek swoich wolnych, ale byle trochę dadź mu czasu, wypróżnia swe torby, i ſtaie do potyczki.

Karol.

Znam ia ieſzcze dowcipnieyſzé zwierze nad hamſtera, trzyma obraz iego Edward.

Edward.

Ja? ktoreż?

Karol.

Z ogonem płaſkiem łuſkowatem, to, to samo.

Guſtaw.

Bóbr, Bóbr! muśi bydź bardzo ciekawé.

Nauczyciel.

Dowcipne, znayduią się bobry we wszystkich prawie kraiach, żyią razem, w Ameryce koło budynkow swoich robią 200. i 300. razem. Pan Bonnet Naturalista twierdzi, że kraiowidz widząc te budynki a niewiedząc, że to kastorów [czyli Bobrów; niewahaiąc się powiedziałby że ludzkich rąk dziełem są. --- Po układzie waszem poznaię, że to się zdaie wam niepodobną rzeczą.

Jakób.

Przepraszam WCPana, wiem albowiem że WCP. nigdy nas nie oszukuiesz, ia przypatruię się wizerunkowi, postaci iego, niewydaie się żeby miał wielki dowcip.

Nauczyciel.

Prawda, iednak obaczysz że Bóbr nie mniey dowcipnym iest od Słonia.

Jakób.

Czyliż podobna!

Edmond.

Prosiemy WCPana naymilszy nasz Nauczycielu, racz opisać budynki bobrów.

Alexander.

O to dawno i ia miałem, prosić, wiém że poymę prędzey opisanie WCPana, niżeli z książki.

Nauczyciel.

Opiszę.

Edmond.

Bóbr ieſtże to zwierze, wodné, ziemné, albo wodnoziemné.

Henryk.

Ja tych wyrazów nierozumiem.

Nauczyciel.

Nazywaią się wodné zwierzęta, któré żyią w wodzie. Ziemné któré tylko na ziemi. Wodnoziemné zaś częścią na ziemi, częścią w wodzie. Kaſtor, czyli Bóbr, może żyć na ziemi, ale bardzo lubi wodę. W ſwoim budynku ſtoi, kąpie się przez część większą dnia, zawsze do połowy w wodzie, dla tego mięso iego tę ma oſobliwość, że od głowy do połowy smak zwyczaynego ma mięsa, a od połowy i uda i ogon ſmak mięſo ryby. Aby tedy połowé moczyły w wodzie, zgromadzaią się bobry na brzeg ieziora albo rzeki, i ſtawiaią dla siebie budynki. Jeżeli na wodzie ſtoiącey, domoſtwa ich beſpieczne od nawałności; lecz gdy woda biegąca, która przybywa, iakże ich domoſtwa bydź ubeſpieczone mogą! Chociażby były na naymocnieyſzych fundamentach, uliwy, roztaiane śniegi, lody, kry te małe dom-

ki wniwecz obrociłyby. Poymuiecieſz to moie dzieci?

Wszyscy.

Bardzo dobrze rozumiemy.

Nauczyciel.

Teraz więc ſtawcie się sami na mieyscu Bobrów, cóżbyście czynili, żeby waſzych dómków woda niezburzyła.

Alexander.

Niewiém cobyśmy czynili, co o bobrach to wiem że przez wodę wprzecz tamę ſrobią a tak domkóm ich wody przybytek nie czyni szkody.

Edmond.

A kiedy woda znieśie tę tamę?

Alexander.

Niepodobná żeby zniosła!

Nauczyciel.

Mylisz się, to bydź może, że znieśie, i nieraz to widziano. Z tem wſzyſtkim bóbr może w ſwem budynku zoſtawać za tamą, iak my w naſzych; mogą nasze mięſzkania obalić się, my iednak w nich mięſzkamy. Wiedzcie może dzieci, że ta tama ieſt wybornem dziełem bobrów. Dziwić się trzeba nad dowcipem ich i pracą, zwłaszcza gdy ci rzemieslnicy nie używaią ani siekiery, ani

ani topora, ani świdra, ani kielni iako nasi cieśle i mularze. Innego instrumentu nie maią bobry, nad zęby, łapy, i ogon.

Albert.

To cudownieysza, niżeli co o Słoniu mówią.

Nauczyciel.

Uważaycie daley. W mieśiącu Czerwcu i Lipcu zgromadzaią się Bobry na dwieście, trzysta, mniey więcey. Szukaią mieysca, w którem drzewa podostatek, ponieważ skóra drzew naysmaczniey sze ich iest iadło, i bardzo zabiegłe są bobry w opatrzeniu się w żywność. Jeżeli znaydą drzewo na brzegu grube, zaczynaią go ścinać, drzewo bywa grubości człowieka, obskoczywszy go gryzą ustawicznie poty póki go nie zwalą.

Jakób.

Ja tego poiąć nie mogę.

Nauczyciel.

Gdybyś widział zęby bobra, łatwo byś poiął, długie są na kilka calów, krzywe w półkręg, a ostre iak nóż. Ma dwa takich zębow na dole, dwa na gorze, i służą mu za topór i za siekierę.

Albert.

Cóż czynią gdy drzewo spadnie z pnia.

Nauczyciel.

Niżeli odpowiém, uważcie tę ſzczególność, że bobry umieią tak z drzewem zachować się, że nim kieruią aby na wodę upadło, a tak nie mieli utrudzenia go przeciągać. Lecz gdy takiego drzewa znaleśdź nie mogą przy brzegu, większey mozoły zażyć muſzą w toczeniu i ciągnieniu go na wodę. To więc drzewo ſłuży na przycieś tamy, do obalonego drzewa zbiegłſzy się, odcinaią gałęzie, a drugie rozbiegłſzy się ścinaią rozmaitey grubości drzewa, i wleką ie w zębach trzymaiąc, do mieyſca budowli. W tedy ſpuſzczaią się niektóre w wodę na dnie dół łapami wykopuią, a drugie w ten doł drzewo końcem iednem wpuſzczaią, a tak iedno drzewo koło drugiego ſtawiaią.

Alexander.

Zapewné te kawałki kładą przy owem wielkim drzewie?

Nauczyciel.

Nieinaczéy. Drzewo to wielkie utrzymuie inne, ale to nie wſzyſtko, aby lepiey umocnili pal, część robotnikow

przynośi gałęzie, i niemi zatyka dziury.

Franciszek.

Proszę powiedz mi WCPan, do czego używa ogona, bo do tych robót łap i zębow tylko zażywał.

Nauczyciel.

Jeszcze tama nieskończona; to iest nayistotnieyszego, żeby opatrzyć się przeciw nagłości wody.

Franciszek.

Prawda, byłyby zawsze otwory.

Nauczyciel.

Cóż tedy czynią bobry aby ich nie było.

Franciszek.

Cale nie wiém.

Nauczyciel.

Otóż do tego używaią ogona. Chociaż Bobry nigdy nieuczyły się od ludzi, iednak wiedzą, że ziemia dobrze ubita nie przepuszcza wody. Część więc bobrow idzie szukać kleyney ziemi, czyli gliny. Znalazłszy gnietą iak piekarz ciasto.

Franciszek.

Ogonem że to robią?

Nauczyciel.

Nie, kopią i mieszaią nogami prze-

dniemi, a potem ogonem nakſztałt kielni przyklepuią, a tak maſsa ſtaie się gęſta. To zrobiwszy na ogónach, albo w pyſkach przenoſzą, i tem ſpoſobem ci mularze zatykaią ſzpary między drzewami, i ogonem przyklepuią uderzaiąc.

Guſtaw.

Tak robiąż w ciąż całey tamy?

Nauczyciel.

Tak, tama bywa długa na ośmdzieśiąt aż do ſto ſtop, dzieśięć dwanaście grubości, ſzerokość zaś iak w naſzych bywa tamach, kiedy ma fundamentu dwanaście ſtóp, na wierzchu trzyma trzy dwie. Nieieſtże cudowna robota!

Jakób.

Nie mogę się ia temu wydziwić!

Edward.

Jakże wyſoka ta ich tama?

Nauczyciel.

Wyżſza nad wodę, boby cała robota była daremną. Kiedy to dzieło ſkończą dzielą się na kompanie, mniey więcey, i robią dla siebie mięſzkania. Kſztałt tych budynkow albo okrągły, albo iaykowaty, a wielkość obſzerność według liczby mięſzkańców, ſą niektóre na dwa i trzy piętra. Naymnieyſze budynki mieſzczą dwóch, czterech, ſześć bo-

brów, naywiękſzé, ośmnaście, dwadzieścia. Chociaż tyle mięſzkańców, iednak w ſpokoyności i w zgodzie z ſobą żyią. W każdem domku maią ſkorę z drzew, gałązki młodé, dla wyżywienia ſwego. Mieſzkańcy żyią ſpolnié, z iednego domku do drugiego nie zabiegaią, ani kradną. Gdy iakié niebeſpieczeńſtwo poſtrzegą ogonami klaſk czynią, a tak iedni zanurzaią ſię drudzy do domów swych chowaią się.

Franciszek.

Jakich używaią materyałów do ſtawiania ſwych domów!

Nauczyciel.

Drzewa, kamieni ziemi piaſzczyſtey. Mur dwie ſtóp grubości, a każdy domek ma dwa wyiścia, iedno na brzeg, drugie do wody w głąb.

Karol.

Chciałbym wiedzieć przynaymniey malowany ich domek.

Nauczyciel.

Znaydzieſz koperſztych w hiſtoryi powſzechney kraiówidzów.

Franciſzek.

Nie mowiliśmy o pożytku bobrów dla ludzi.

Nauczyciel.

Wiécie, że ſkóra iego użyteczna, z

niey robią pończochy, czapki, kapeluſze. Mięſo iego można ieść w poſtne dni, i do lekarſtw bobra używaią. --- Zabawciéſz się moie dzieci, ia iuż poyśdź muszę.

ROZMOWKA XII.

Matka.

PRosiłaś mię Juliśiu; abym ci przeczytała komedyikę, w którey wſzyſtkie oſoby byłyby cnotliwé. Otóż iednę wytłumaczyłam.

Juliśia.

Muśi bydź bardzo zabawna! czytaymy.

MIŁOSC BRATERSKA.

KOMEDYIKA.

OSOBY.

Pan Belmont *Major.*
Pani Belmontowa *Żona Majora.*
Paulinek. (*Dzieci PP. Belmontów.*
Henryś. (
Adeleysia.
Edward *Cyrulik.*

Scena w gabinecie P. Belmonta.

SCENA PIERWSZA.

Henryś sam.

CZyżem się nieprzesłyszał? .... tak, czwarta biła ... a ia ieszcze zadania z Arytmetyki nierozwiązałem, które mi zostawił Nauczyciel. .... O bezecna Arytmetyko! niczego bardziey nad ciebie nie lubię ... Gdybym mogł znaleśdź Paulinka dopomogłby mi zapewne. .... dobrze umie rachować, ia zawsze się mylę, a gdy mi się zdaie że naylepiey

rachuie, zawſze nie dobrze wypadnie. .... Z tem wſzyſtkiém trzeba rachować, bo by mię złaiał Tatunio, a Mamuniby przykro było. .... (*Mowiąc zbiera to po ſtoliku czego trzeba do piſania, przyſuwa ſobie ſtolik, siada; ſzuka w xiążce Arithmetyczney*) To to, obaczę czy ten podział zrobić potrafię. (*piſze liczbę.*)

W 3547. groſzach wiele ieſt złotych, w iednem złotem groſzy 30. piſzę 30. 30. w 35. raz, dobrze, piſzę 1. raz 30. czyni 30, 30. od 35. zoſtaie 5. do pięciu przyłożyć 4. będzie 54. 30. w 54, raz; raz 30. czyni 30: 30, odiąć od 54. zoſtanie 24. bardzo dobrze do 24. dodawszy 7. będzie 247. o to dużo, zapewne iuż się tu zmylę, nieçhayże będzie 8. (*rachuie na palcach*) raz 30. drugi, trzeci, czwarty, czyni 120, a tyleż drugie uczyni 240. (*słyſzy huk ſtrzelenia, porywa się z zalęknieniem z krzeſełka.*) Przebóg! Coż to? coż to? ktoś ſtrzelił. .!.. bardzo bliſko ſtrzelił ... o ścianę... póydę dowiem się ... o gdybym tę przeklętą liczbę ſkończył! *idzie ku drzwióm, a w tem drzwi się otwieraią, wpada zalękniony Paulinek do pokoiu.*)

SCE-

SCENA DRUGA.

Paulinek, Henryś.

Ah! ah! ah! kochany Henrysiu! umieram .... O Boże! cożem uczynił!

Henryś z wielką ciekawością.

Cóż to? Cóż to móy Paulinku kochany? .... kto to ſtrzelił!

Paulinek.

Ah! móy braciſzku! .... ukryi mię .... możeſz? ia .... ią

Henryś.

Cóż to takiego? ah ſłabo mi!

Paulinek.

Boże! zabiłem naymilſzą Adeleysie.

Henryś.

Sioſtrzyczkę naſzą! (*płacze głośno*) cożci złego uczyniła? iakżeś się ważył..

Paulinek.

Nie ... nieumyślnie braciſzku.

Henryś.

Jakimże ſpoſobem?

Paulinek.

Słyſzałeś, że Tatunio mówił przy obiedzie, że poiedzie konno, i że Janowi kazał piſtolety przygotować ....

Henryś.

Już się domyślam....

Paulinek.

Kazał siostrze naszey obaczyć czy iuż gotowo wszystko: poszedłem z nią do przedpokoiu. Jana nie było, poszedł był do Marsztelerza, żeby konia okulbaczył. Nieszczęściem ia postrzegłem pistolety na stole. .... O gdybym był na ten moment oślepł, albo żebym był sam sobie w łeb strzelił ... gdybym się był zabił!

Henryś.

Ah! Paulinku, Paulinku! cożeś zrobił?

Paulinek.

Wziąłem w rękę ieden zacząłem swywolować z Adeleysią, i rzekłem strzeż się, bo cię ubiię, a w tem momencie. .... O Boże? zlituy się nademną! pistolet wypalił ... ona upadła ... krwią zalana! ah! ...

Henryś.

O Adeleysiu! kochana siostruniu! -- ah! moy bracisżku! .... bracisżku nieszczęśliwy! ... Tatunio, Mamunia wiedzą! .... o biedny bracisżku .... cóż się z tobą stanie! ....

Paulinek.

Niewiem .... uciekłem do ciebie bracisżku ... lecz słyszałem biegących, i krzyczących za mną .... ieżeli umarła? .... Adeleysia moia kochana! ..

Henryś.

O gdybym cie mogł kędy ukryć! ... wiész że Tatunio iak się rozgniewa, strasznie się gniewa, ... zapewnie zabiię cię braciszku.

Paulinek.

Niechay zabiie, ... zabiie, niechcę dłużey od Siostrzyczki żyć.

Henryś.

Jabym dał moie życie z ochotą, za Adeleysię i za ciebie. ... Cóż uczyniemy! .... czego się chwyciemy? .... Poydź, ukryimy się tym czasém tam, gdzie siano złożoné.

Paulinek.

Nie ... nie ... ia poydę w świat ... ucieknę.

Henryś.

Dokądże ... znaydą cię, ... złapią ..

Paulinek.

Wskoczę w kanał ten bliski.

Henryś.

Broń cię Boże, kochany braciszku! nie wieszże, iż gorzeyby było to niżeli tamto? ...

Paulinek.

To pewna. że ia niedłużey żyć będę nad Siostrzyczkę. ... czy się utopię ... czy mnię móy Tatunio zabiie. ...

Henryś.

Ktoś tu prędko idzie ... Otóż on ... Boże! On ...

Paulinek.

Ah! ... ah! bracifzku, bratuniu? (*drzy i z boiaźni omdlawfzy pada.*)

SCENA TRZECIA.

P. Belmont, Paulinek, Henryś.

P. Belmont.

Który z was hultaiow naylepfze me dziecię zgładził? ... który

Henryś (*pada do nog, i chce uchwycić za kolana.*)

Ah! móy Tatuniu ... patrz ... Paulinek takze umarł ... Adeléysia. ...

P. Belmont.

Paulinek to? On to uczynił?

Henryś.

Nie Tatuniu ... nie on ... nie on. ... Mnie mnie, Tatuniu zabiy dla Boga ... mnie.

P. Belmont.

Ty to ... ty ... przeklęty chłopcze! (*porywa go za włosy*) giń! giń! (*Paulinek przychodzi do siebie z omdlenia, otwiera oczy.*)

Henryś.

Ja, ia ... chcę umrzeć ... ale daruy Tatuniu braciszkowi ... (*postrzega że Paulinek przyszedł do siebie.*) Żyie ... żyie! Bogu niech będą naywiększe dzięki!

Paulinek (*widząc że P. Belmont iedną ręką trzyma Henrysia, a drugą pistolet mierząc nim, pada na ręce Oyca.*)

Przebóg! Cóż to Tatunio chce czynić?

P. *Belmont.*

Zgładzić z tego świata małego zboycę, który wydarł życie moiey Corce, a tak i mnie do grobu wpycha. Zaboyco Oyca i siostry!

Henryś.

Strzel Tatuniu ... strzel ...

P*aulinek.*

We mnie Tatuniu, we mnie, ia zabił Siostrzyczkę, ia.

P. *Belmont.*

Chcecie mię omamić? ktoryż, ktory?

Henryś.

Ja, ia wziąłem nieszczęśliwy pistolet ze stołu ...

Paulinek.

Nie wierz moy Tatuniu. --- Henryś był w naszem pokoiku.

P. *Belmont.*

O Niegodziwe bębny! ieden z was łże. Mamże was obudwoch zgładzić?.. który z was ſtrzelił!

Obadwa razem.

Ja... Ja....

Paulinek.

Henryś był tu, ia wart kary.

P. *Belmont.*

To obydwa warciście kary... czy ten, czy ten...

SCENA CZWARTA.

Poprzedzaiący, i Edward.

Edward *uchwyciwszy za rękę* Pana *Belmonta.*

Dla Boga! cóż to WCPan chceſz robić, Mospanie Majorze! Imość lęka się, żebyś WCPan w gniewie ---

P. *Belmont.*

A Waszeć iakim prawem ſmieſz mi niedopuſzczać, żebym się zemścił za moią Adeleydę? Alboż ia nie ieſtem Panem moich dzieci?

Edward.

Panna Adeleyda nie umarła.

Paulinek i Henryś z weſołości krzyczą.

Żyie! żyie!

P. *Belmond.*

Chceſz że mię omamić? wſtrzymać móy ſprawiedliwy gniew? ... (*miną i tonem grożącym.*) Edwardzie ... poprzyśięgam ...

Edward.

I ia WCPanu Moſpanie Maior poprzyśięgam. ...

P. *Belmont.*

Ci niegodziwi ...

Edward.

Moſpanie Maior! ſą niewinni ... żaden z nich ---

Paulinek.

Nie ... ia ...

Henryś.

Nieinaczey Panie Edwardźie, ia...

Edward.

Cóż to mówicie obadwa? .... ona ſama ...

P. *Belmont.*

Chceſz Waſzeć we mnie wmówić? .. wpadłeś w czaśie gniewu ---

Edward.

Przyśięgam ...

P. *Belmont.*

Że mię oſzukuieſz.

Paulinek.

WCPan mówiſz, że moia Sioſtrzyczka żyie.

Henryś.

O gdybybyła prawda!

Edward.

Nie inaczey żyie i zdrowa. Ranienie lekkie bardzo -- (*Henryś i Paulinek ieden na drugiego ſpartſzy się okazuią radość wielką.*)

P. *Belmont.*

Jeżeli mię łudziſz Panie Edward, ieżeli... alboż ia nie widział we krwi leżącą, bez ruſzenia, ... bez życia?

Edward.

Sam WCPan oczyma swemi, doznasz... widziałeś iak umartą, lecz ona żyie: kula ſkorkę tylko czaſki drasnęła; huk, ſtrach, obalił ią na ziemię.

P. *Belmont.*

Edwardzie czy tylko prawda?

Paulinek.

Ah! umieram z radości! ...

Henryś.

I ia. ---

Edward.

Opatrzyłem Pannę Adeleydę Moſpanie Maior -- nie ma żadnego niebeſpieczeńſtwa.

P. Belmont (*westchnąwſzy ciężko*) ah, przeciem odetchnął! ... lecz ... muſzę ſam poyśdź obaczyć. *Edward*

Edward.

Moment cierpliwośći, odmienia ſuknie.

P. Belmont (zaſmucony.

Muſzę uśiedź trochę. -- Czyliż gada? nie narzekaż na ból?

(Siada, Paulinek i Henryś przybliżą się, i chcą brać rękę.)

Precz ... nie waſza w tem wina że nie umarła.

Edward.

Ale zważyć WCPan chciey, że to dzieci są niewinne.

P. *Belmont.*

Niewinne ... ktoż im pozwolił tykać piſtolety? Nieznaiąż ich ſkutku niebespiecznego? nabite czy nie nabite, nie zakazywałżem im nie ſto razy? ...

Edward.

Córka WCPana powieda! że iey w tem wina; chciała obeyrzeć piſtolet; nie poſtrzegła iak ...

P. *Belmont.*

Co za nieſzczęście. ... A te bębny sprzeczaią się między ſobą.

Edward.

Owſzem trzeba im darować Mospanie Maior, w podobney okoliczności,

nichtby na siebie nie przyiął winy.

P. *Belmont.*

Prawda ... a tu każdy siebie obwinia, każdy chce ginąć z ręki moiey.

Edward.

Czyż to bydż może? (*ściſka ich i całuie*) o mężne dzieci! ktoryż z was. --

Paulinek.

Ja Mospanie.

Henryś.

Nie wierz WCPan ia ... ia ... Panie Edward.

Edward.

Nic podobnego niewidziałem .... Mospanie Maior! nie dziwiſz WCPana taka cnota? .... Miarkuię, że ieden z nich ... a ieden za drugiego chce bydź karany? karą śmierci, zaiſte przyiaźn, bohatyrſtwo! ... Naywſpanialſze duſze niewiem czyby tak sobie poſtąpiły! ... Daruy im WCPan.

P. *Belmont.*

Muszę pierwey obaczyć moią Córkę (*wstaie.*)

Henryś.

Naykochańszy Panie Edwardzie. ..

Paulinek.

Wdzięczny WCPanu ieſtem, że za nami mówiſz.

SCENA PIĄTA.

Poprzedzaiący, Pani Belmont Adeleyda (prowadzi ią Matka, bladą, głowę maiącą, związaną. Bracia biegną ku niey, ściskaią, radość okazuiąc.)

P. *Belmont do Corki.*

Co za szczęście moie! że cię ieszcze widzę!

Pani Belmont.

A dla mnie, że widzę żyiących Synów moich! Lękałam się bardzo o was! w zamięszaniu moiém, niepostrzegłam że wasz Oyciec porwał, pistolet.

Henryś.

Żyie! nasza kochana Siostrzyczka.. nasza milutka Adeleysia!

P. Belmont.

Szczęście wielkie że Pan Edward nadszedł! ... gdyby nie ... nie byłem sam przy sobie ... Pistolet był nabity. ... Boże! cóżbym był uczynił będąc w gniewie ... Dziękuię, dziękuię mocno WCP. żeś mi przeszkodził P. Edwardzie.

Paulinek.

Daruieszże mi naykochańsza Siostruniu! Daruy ... proszę ... wiesz żé nie ze złości ... nie umyślnie.

Adeleyda słabym głosem.

Cóż to Paulinku? a zaż nie ia miałam się zaſtrzelić? ia sama?

Paulinek.

Ty! ty! sama? o co za dobroć twoia!

Edward (cicho do P. Belmonta.)

Trochę usuńmy się, i udawaymy że nieuważamy co mowią między ſobą, bo się boią rzecz wyiawić.

P. *Belmont.*

Lepiey wyidźmy na chwilę,... muſzę wykręcić piſtolet, bo na niego patrzeć nie mogę... Jeſtże teraz bespieczna! nie mamże się lękać o nią?

Pani Belmont.

Bynaymniey! moie ſerce, nie byłabym ia, iak widzisz spokoyną.

Edward.

Ufay mi WCPan... rana bardzo lekka trochę wodki, zagoi w krotce.

P. Belmont (do żony.)

Poydę wykręcić naboy, wrocę się nie bawiąc (*do dzieci.*) Zgodźcie się, i powiecie mi iak powrocę, kto z was ſtrzelił?

(*wychodzi z Edwardem.*)

SCE-

SCENA SZOSTA.

Pani Belmont, Paulinek, Henryś, Adeleysia.

Paulinek.

Adeleysiu! nie będziesz mię nienawidziła w całém twém życiu?

P. *Belmont.*

Tyś to zrobił Paulinku!

Henryś.

Nie mamuniu .... ia!

Adeleysia.

Cóż to mówisz bracifzku! pamiętay że Mamunia nafza dobra, możemy przed nią przyznać się. ... Nieoftrożność Paulinka, lecz o iak wiele z moiey przyczyny bracifzku wycierpiałeś! ilebyś ieszcze mogł cierpieć, gdyby Bóg mię nie ftrzegł!

Paulinek.

Życié moié iuż było na włofku, gdyby kochany Henryś. (*za szyię go obłapia.*) O móy bracifzku, nigdy, nigdy, nie zapomnę o tobie, ... umrę za ciebie iak, i kiedy chcesz; moie życié w ręku twoich było.

P. *Belmont.*

Jak to?

Henryś.

Nie uczyniłbyś tegoż famego dla mnie?

Paulinek.

Kiedy Tatunio wszedł do tego pokoiu trzymaiąc w ręce pistolet, omdlałem i padłem na ziemię; braciszek powiedział że on strzelił. Już Tatunio mierzył do serca Henrysia, kiedy, niech Bog będzie pochwalony! ia otworzyłem oczy, i krzyczałem, żem ia zabił Adeleysię. Tatunio nie wiedział, którego z nas miał skarać, a w tem nadszedł Pan Edward i obronił nas ...

Henryś.

I oznaymił nam wesołość, że nasz Aniołek, siostrzyczka, żywy.

P. *Belmont.*

Henrysiu mężné dziecię (*ściska go*) niechayże łzami radosnemi omyie twarzyczkę twoią!

Henryś.

Nasza Adeleysia nie wzięłaż na siebie ... i Paulinek nie broniłże mie od kuli, wyznaiąc swą winę.

Paulinek.

Prawda, kiedyś mi dał przykład.

P. *Belmont.*

Wszystkié troié moié dzieci kochane, iesteście mężnemi, chwałą i uszczęśliwieniem moiem! ...

Paulinek.

Ah Mamuniu! ia to przyczyną byłem Tatuniowi i Mamuni boiaźni z bolu Adeleysi, i braciszkowi lękania się smierci; ale odtąd będę dobrym, posłusznym, powolnym ...

Adeleysia.

Uspokóy się braciszku! bo mnie rozrzewniasz. Nielepieyże zrobiemy kiedy nie powiemy Tatuniowi, możeby długo był zły na ciebie.

Paulinek.

Nie ... nie ... zasłużyłem, niechay mię karze.

P. Belmont.

Jeżeli będzie wymagał, trzeba się przyznać ... prośić o odpuszczenie .... oto idzie ...

SCENA SIODMA I OSTATNIA.

Poprzedzaiący P. Belmont, Edward.

P. Belmont.

Jakże ... dowiém się kto był lekkomyslny?

Paulinek (pada do nog Oyca.)

Ja moy Tatuniu! poddaię się naysurowszey karze.

Henryś, Adeleysia, (padaiąc do Nóg Oyca.)

Daruy mu Tatuniu!

Henryś.

Albo podziel na nas ukaranié!

P. Belmont.

Podnieście się moié dzieci! Zawstydzacie mnie! Ledwie nie ia sam powinienem prosić .... Boże! do iakiego mnie cholera nie przyprowadziłaby nieszczęścia! do zgryzoty, do męki! ---- O mężny Henrysiu! ledwiem cię nie zgubił? ledwiem tak poczciwych nie pozbawił życia?

Paulinek.

Niebo! swiadczę się tobą żé nigdy bawić się nie będę z narzędziem szkodliwém!

P. Belmont.

Ja nigdy w tak wielką nie będę wpadał cholerę!

Pani Belmont.

Jeżeli dotrzymasz obietnicy, dzień ten będzie u mnie naypamiętnieyszy!

Edward.

Co za ukontentowanie, co za zaszczyt, chwała mieć tak mężne dzieci!

Koniec Komedyiki.

Julisia.

Mamuniu, nayuniżeniey dziękuię, za tę komedyikę, bardziey mi się podoba nad poprzedzaiącą.

Anulka.

Toż ia myślę, co i Julisia, bo w tey komedyice wszystkie osoby są cnotliwe.

Julisia.

Chciałabym wiedzieć Mamuniu, ktory cnotliwszy czy Henryś czy ow Karolek chłopek mężny.

Matka.

Powiedz iakci się zdaie.

Julisia.

Mnie się zdaie Henryś.

Matka.

W czemże?

Julisia.

Oskarza siebie w tem, czego nieuczynił, i gotow był umrzeć. . . .

Anulka.

Tóż i Karolek uczynił, odebrawszy plagi za drugiego, życie swoié w niebespieczeństwo podał ratuiąc Augustynka i iego Siostrę.

Julisia.

Masz przyczynę moia kuzynko.

Matka.

Henryś i karolek, obadwa mężni

według swoich okoliczności, a gdy ci się bardziey podobał Henryś, to dla tego, że przytomne bardziey uderzaią niżeli te, które przeszły, rzeczy.

Julisia.

Mamuniu! i ia chcę uczynić co bohatyrskiego.

Matka.

Okoliczności czynienia dzieła bohatyrskiego nie nadarzaią się w tedy, kiedy chcemy! Jeżeli przez nie rozumiesz dzieła nadzwyczayne, trudne i sprawuiące zadziwienie. Lecz możesz bardzo bydź kontenta, kiedy będziesz się starała codziennie bydź lepszą, ponieważ usiłować poznać swé błędy, zawsze się poprawiać, iest to coś bohatyrskiego.

Julisia.

Ja tego nie poymuię, żeby tak mógł się znaleść Oyciec zły, iakim Pan Belmont. Nieprawdaż Mamuniu.

Matka.

Mylisz się, Pan Belmont niebył złym Oycem.

Julisia.

Jak to, ten nie zły, ktory chciał zabić Paulinka i Henrysia? Oh Mamunia żartuie!

Matka.

Nie żartuię ... Wszak bardzo kochał swé dzieci.

Julisia.

Córkę, ale Synów ...

Matka.

Podobnie.

Julisia.

Przyznam się że nie rozumiem Mamuni.

Anulka.

Ani ia Ciotuniu.

Matka.

Otóż mówie iaśniéy. Pan Belmont nie był złym Oycem, ale paſsyonatem.

Anulka.

Częſto ſłyszałem wyraz ten paſsya ale niewiem co to znaczy.

Matka.

Mieć paſsyą ieſt to iednem zabawiać się przedmiotem.

Julisia.

Naprzykład Pani Dorwilier, krewna bogatego Indyanina, zabawna ſwem złotem, a iey więc byłaż paſsya?

Matka.

Tak ieſt, łakomſtwo z paſsyi iedna.

Julisia.

A które są drugié?

Matka.

Tylé bydź może pasſyi, ile przymiotów, czyli rzeczy, ktore można kochać albo nienawidzieć.

Anulka.

Kochać albo nienawidzieć bardzo co, ieſt mieć paſsyą?

Julisia.

Dobraż rzecz mieć paſsyą?

Matka.

Sama to zapytanie ułatwiasz przywiodłaś Panią Dorwilierową, szacuiesz że ią?

Julisia.

Bynaymniey, ktożby szacował łakomą?

Matka.

A gdyby ci powiadano o osobie, któraby miała paſsyą, więcey umieć, bydź coraz cnotliwszą, aby była szacowaną pożyteczną dla drugich, iakiegobyś była o niey zdania?

Julisia.

Bardzobym ią szacowała.

Matka.

Otóż o dwoch paſsyach rożnych ma zdania różné.

Julisia.

Toć są złe i dobre paſsye.

Matka.

Wyrazniey mówiąc są godné nagany i wzgardy iako łakomstwo, są i chwalebné iako passya dobroczynności.

Julisia.

Rozumiem teraz; kiedy się obiera złe, kiedy się kocha to, co nie iest warté kochania, passya takowa zła, a przeciwnie kiedy się obiera, i kocha dobre, passya iest dobra.

Anulka.

Passya P. Belmonta była cholera?

Matka.

Zawsze, sam w ostatniey scenie sobie wyrzuca *ślepiącą cholerę* kiedy iey się nieopiera.

Anulka.

Dla czegoż się nazywa ślepiąca.

Matka.

Jest ten wyraz przenośny, znaczy, że cholera tak mięsza rozum, iż nie uważa człowiek na to co czyni, i nie ma rożnicy między złem a dobrem w ten czas gdy w cholerze zostaie.

Julisia.

A iako ślepy bez przewodnika łatwo upada, tak w cholerze będący człowiek dopuszcza się złego, niesłuchaiąc rozumu. Powiedała mi Mamunia, że S

zum ieſt poznanié tego co nam ieſt szkodliwego albo pożytecznego.

Matka.

P. Belmont zażycie rozumu utracił będąc rozgniewany; mniemał że córka była zabita chciał się zemścić i zabić zaboycę; niezważał że żałowaćby mu przyszło dwoyga dzieci. Nie uważał, że ieden z Synów iego był mężny, ktory za brata chciał zginąć.

Anulka.

Ah! prawda! cholera oślepia.

Matka.

Cóśmy mówili o P. Belmoncie, nie dowodziż iż był dobrym Oycem, niebywſzy w gniewie.

Anulka.

Nie był złym Oycem, chyba kiedy wpadł w cholerę, bo niewiedział co czynił.

Julisia.

Musi ta paſsya cholery bydź bardzo zła, kiedy dobrego człowieka, czyni złym. Mamuniu przychodzi mi na myśl, że ci ktorzy nie są z natury zli wpadłszy w cholerę podobni są do piękney twarzy maszką przykrytey, rozumieliby że w ſamey rzeczy byłaby brzydką.

Matka.

Twoié podobieństwo dobré. Lecz gdy czuiesz ſkutki cholery, więc ſpodziewam się że wyſtrzegać się będziesz wszelkich złych ſkłonności do wyſtępku prowadzących.

Julisia.

Ah! Mamuniu, boisz się, żebym nie była podobną P. Belmontowi?

Anulka.

Któreż błędy prowadzą do wyſtępku tego.

Matka.

Nie ścierpieć żadney przeciwności, trapić się, gryźć się, dąsać się, obruszać gdy nie na naszey ſtaie się woli: krótko mowiąc, dziecie niewzwyczaiwszy się w łagodność, w dalsze lata, gdy się poda okoliczność będzie takim furyatem, iako P. Belmont.

Julisia.

Mamuniu, boię się bardzo o siebie, bo niekiedy ia nie ieſtem łagodna. ---

Matka.

Jeſteś w tem wieku, --- w ktorym szczerze żałuiąc poprawić się możesz łatwo.

Anulka.

Alboż nie można się poprawować w każdem wieku!

Matka.

W ostatniey naszey przechadzce pukazywałam dąbka. Nie mogłyście poiąć, żeby wyrósł i bydź mógł tak duży iak inne: łatwoby było małego dąbka wyrwać, nieprawdaż?

Julisia.

W samey rzeczy, teraz dobrze rozumiem Mamuniu, te małe drzewka są obrazem błędow dziecinnych, które łatwo iest wykorzenić, a bardzo ciężko wyrwać starego dębu; tak i błędy w starych.

ROZMOWKA XIII.

Julisia, Matka.

Julisia.

O Mamuniu iak ia wiele ieszcze nie umiem! ile razy Mamunia z kim mowi, nierozumiem wielu wyrazow, iako tego naprzykład *Fizyonomia iego okazuie piękną duszę.* Chciałabym wiedzieć co to iest *dusza*, często ten wyraz słyszę, a Mamunia tego mi nie wyłuszczyła.

Matka

Matka.

Miałam moie przyczyny. Otóż dziś wyłuszczę. Zaczynam od tey uwagi. Że *niekiedy łatwiey iest mówić o rzeczy iakiey czem nie iest, aniżeli czem iest.*

Julisia.

Jak to?

Matka.

Naprzykład, widzisz te puszeczkę, którą wyięłam z moiey kieszeni, nie wiesz co iest w niey, prawdaż!

Julisia.

Prawda Mamuniu.

Matka.

Weź ią, ale nieodmykay; iak rozumiesz czy iest tam złoto albo srebro;

Julisia.

Ani złota ani srebra, byłaby cięższa.

Matka.

Uwierzyłabyś że zawiera w sobie tak duży wachlarz, iak ten który na stole leży.

Julisia.

Niepodobna, ponieważ puszeczka mała na taki wachlarz.

Matka.

Łatwiey więc niekiedy iest mówić o rzeczy iakiey czem nie iest, a niżeli czem iest.

Julisia.

To wſzyſtko nie naucza mię co ieſt duſza.

Matka.

Prawda, lecz niżeli mówić będę co ieſt dusza, odpowiedz mi pierwey, o co się spytam. Kto malował ów obraz, który wczora widziałaś u Pana A.

Julisia.

Niewiem.

Matka.

Nie twoiaż kuzynka Anulka?

Julisia.

Mamunia żartuie. Anulka kwiatka dobrże nienaryſuie.

Matka.

Ten obraz sam się nie zrobił? prawdaż?

Julisia.

Nie zrobił się, wſzyſtko się dzieie nie bez przyczyny, Mamunia mi nie raz powiadała, więc i ten obraz roboty ieſt Malarza.

Matka.

Znaſzże tych rzemieślnikow, ktorzy Kościoł tuteyſzy wyſtawili?

Julisia.

Nieznam i onych, i Malarza owego.

Matka.

Pamiętayże, że ſą Iſtoty ktorych

iubo nigdy nie widzieliśmy, a iednak pewni ieſteśmy o bytności ich.

Julisia.

Poznaiemy ich z dzieł ich.

Matka.

Zaſłona którą widziſz przy kominku, ieſt wſzak cała, cóżbyś mowiła gdybyś iutro na pół opaloną widziała?

Julisia.

To, że bliſko przyſunięta była do ognia.

Matka.

Chociażbyś tego była nie widziała iak przyſuwano?

Julisia.

Tak ieſt, dorozumiałabym się, uważaiąc ſkutek ognia: iako naprzykład rano wſtawſzy, widząc ziemię mokrą wnioſłabym, żegdym ſpała deſzcz padał.

Matka.

Widziałaś podobno Marionetki?

Julisia.

I bardzo mię bawiły, dziwowałam się patrząc na lalki drewniane, biegaiące, ſkaczące.

Matka.

Wytłomaczyli ci iak to się dzieie.

Julisia.

Są ludzie za zasłoną którzy temi lalkami ruszaią.

Anulka.

Dobrze moie dziecię, ciało twoie iest nakształt lalki, którem rusza Istota nie widziana.

Julisia.

Czyż to bydź może! --- dziwna rzecz! -- I któż tem ciałem moim rusza?

Matka.

Istota, która w niczem niepodobna do ciała, a nie mogę ci iey ani pokazać, ani opisać tak, iak te rzeczy ktore widzieć możesz, słyszeć i dotykać się. Pamiętasz com ci nie dawno mowiła, że niekiedy łatwiey mówić o rzeczy iakiey czem nie iest, aniżeli czem iest.

Julisia.

Jakże się nazywa ta istota, ktora w niczem nie iest podobna do ciała?

Matka.

Chciałaś wiedzieć co to znaczy wyraz *dusza*: prawdaż?

Julisia.

Tak iest Mamuniu.

Matka.

Otoż ia o duszy teraz mowię. Nie iest ona podobna do ciała, a kieruie cia-

łem. Przeto człowiek ſkłada ſię ze dwóch iſtot od siebie rożniących się, iedna roſkazuie druga ſłucha, iedna ieſt widzialna drugiey nie można widzieć.

Juliśia.

Ponieważ nie można widzieć duſzy, iakże wiemy że ieſt?

Matka.

Dla czegoż przekonanaś, iż Malarz nie Anulka zrobił ow Obraz, bo wieſz że nie potrafiłaby. Podobnież rozumuiąc człowiek doſzedł coś rożnego w sobie od ciała; a roztrząſaiąc uznał, że ma także własności, ktorych nie można rzeczom przyſtoſować, które znamy przez zmyſły. Nie widziałaś Malarza robiącego ów obraz, ani Rzemieslnikow ſtawiaiących kościoł, ani ludzi za zaſtoſtawiaiących lalki. Więc są, iakom ną obracaiących lalki. Więc są, iakom mowiła, także Iſtoty, które znamy z ſkutków, chociaż tych Iſtot, nigdy niewidzieliśmy.

Juliśia.

Proszę Mamuni nauczyć mię iak poznawać duſzę z ſkutkow iey.

Matka.

Otwórz pierwey puſzeczkę ktorą m dobyła z kieſzeni. Patrzay co ieſt w niey.

Julisia.

Portrecik iakiś piękney Damy.

Matka.

Zawrzyi oczy na moment, pamiętasz coś widziała.

Julisia.

Zdaie mi się, że widzę ten sam portrecik.

Matka.

Ale nie oczyma widzisz.

Julisia.

Nie, - - nie - - Pewnież dusza moia widzi?

Matka.

Nie inaczey. Ma tę własność wyobrażać sobie rzeczy.

Julisia.

Więc dusza iest Istota wyobrażaiąca sobie rzeczy.

Matka.

Nie dobrze się tłomaczysz. Słuchay. Wczora wieczór pod czas przechadzki przyparrowałaś się Xiężycowi w wodzie odbiiaiącemu się, i cieniom drzew, krzaczków, codziennie idąc koło zwierciadła widzisz w nim twarz twoią, więc zwierciadło i woda czysta wyobraża rzeczy.

Julisia.

Prawda, lecz mi się zdaie iednak, że między temi i duſzą, wielka bydź muſi różność. Nie zdołam ia tego wymowić, ale czuię ią.

Matka.

Czuię, mowiſz, gdybyś nie miała duſzy tego niedoznawałabyś. Otóż ia ci wyłuſzczę co czuieſz a nie umieſz wyrazić. Wielkie ſą dwie rożności między zwierciadłem i duſzą, tamto wyobraża rzeczy niewiedząc i nieznaiąc o tem, ta zaś wyobraża ſobie ſama rzeczy, i wie, o tem. Druga różność, że zwierciadło przytomne tylko wyobraża rzeczy, a dusza wyobraża i nieprzytomne, od lat kilku nie widziane.

Julisia.

O co to, to rozumiem bardzo dobrze.

Matka.

Pokazywałam ci niekiedy obrazki w xiążce P. Basedow, bardzo cię bawiły, było pięcioro dzieci wyryſsowanych, każde czem innem zabawiało ſię.

Julisia.

Pięć zmyſłow te obraſki oznaczały.

Matka.

Jedno ztych dzieci patrzało na portrecik ktory odbiiał się na iego duszy.

Drugie dzwoniło, a duſza iego wyobrażała ſobie dzwięk; trzecie dziecie pioro nad swiecą przypalało, i czuło ſmród, wyobrażenie iego miało węchem; czwarté iadło iabłko, wyobrażaiąc ſobie ſmak; piąté palec raniło nożem, i miała duſzą iego wyobrażenie bolu ktorego przyczyną było zarznięcie. Daymy to, że te dzieci wſzyſtkiego doznały co mówiłam. Wierzyſzże temu, że też dzieci mogą ſobie przypomnieć w dalſzem czaśie ieden portrecik, drugi dzwonek, trzeci smrod piora ſpalonego &c.

Julisia.

Wierzę Mamuniu.

Matka.

Otóż ta własność duſzy, nazywa się *pamięć*, która przywodzi wyobrażenia rzeczy.

Julisia.

Mnie się zdaie, że gdybyśmy nie mieli zmyſłow, niemoglibyśmy rozeznawać rzeczy, ktore teraz znamy; wſzak ſłyſzałam mówiących, że ślepy żadnego nie ma wyobrażenia kolorow.

Matka.

Dobrze mowiſz, toż ſamo o dzwięku, węchu, ktorzyby nie mieli tych zmyſłów ſłuchu i powonienia. Więc

zmyſły ſą to narzędzia, ktorych duſza używa do nabycia wyobrażenia.

Julisia.

Duſza czy nicby nie była bez zmyſłów?

Matka.

Niżeli ci odpowiem na to zapytanie, powiedz mi czego potrzeba, żeby taką zrobić ſuknią iak to moia.

Julisia.

Trzeba muślinu, iedwabiu różnego koloru, krosien, i igieł do haſtowania ſposobnych.

Matka.

Więc te wſzyſtkie rzeczy miawszy iuż się zrobi haft.

Julisia.

Ah zapomniałam powiedzieć, że aby taką ſuknią uhaſtować trzeba umieć haſtować tak iak umie Mamunia.

Matka.

Ja teraz tego, czego potrzeba do haſtowania niemam, więc w tem momencie nie mogę zacząć haſtować.

Julisia.

Bez wątpienia.

Matka.

Wnosiſz więc że nie umiem haſtować.

Julisia.

Ani pomyśliłam o tem, lecz Mamu-

nia nie ma tych rzeczy i narzędź do haftów.

Matka.

Więc źlebyś myślała o duszy rozumieiąc że nie ieſt bez zmysłów, które są narzędzia czyli inſtrumentu dla duszy.

Julisia.

Rozumiem Mamuniu teraz.

Matka.

Moié dziecię mam ci wiele mówić w tey materyi, lecz niechcę razem. Abyś pamiętała o tem com dotąd mowiła. Naucz się że dusza rożną ieſt iſtotą od ciała, właſność iey *poymować* i *przypominać* rzeczy, które za pomocą zmysłow iako narzędzi poznała.

ROZMOWKA XIV.

Julisia.

MAmuniu wiele bardzo myślałam o duszy od wczora, i ieszcze myślę, a bawiąc się z moiem kanarysiem, chciałabym wiedzieć ieżeli zwierzęta maią duszę taką iakową my.

Matka.

Maią duszę zwierzęta.

Julisia.

Jaká naſza?

Matka.

Obaczemy. Mam się cię spytać o niektorych rzeczach, niżeli na twoie zapytanie odpowiem. Powiedz mi naprzykład czy ſą ſmutku iakie gatunki?

Julisia.

Są, ia wiem z doświadczenia, płakałam nie raz gdy mię ząb bolał; płakałam także, kiedy Anulka odieżdzała. -- Przypominam ſobie że żebrak mały przyſzedł był do mnie prosić o iałmużnę, on i ia byliśmy ſmutni, a z rożney przyczyny, on że nie iadł drugi dzień, ia zaś lubom dobrze ziadła obiad, iednak bardzo byłam ſmutną że byłam przyczyną do przykrości Mamuni.

Matka.

Uciech ſąż gatunki rozmaité.

Julisia.

Są. Uciecha pić gdy się pragnie, ſpać kiedy się mruży, i znów uciecha bawienia się gadaniem, ſłuchania hiſtoryi, i dobrze czynienia nędznym.

Matka,

Zwierzęta znaiąż tę przykrości i uciechy?

Julisia.
Niektóre, iako to bolu, uciechę ieśdź, pić, fpać.
Matka.
Czuią dobra i złe fizyczne, takiemi się nazywaią te ktore tyczą się ciała.
Julisia.
My mamy takowe uciechy, iakich zwierzęta wyobrazić sobie niezdołaią,
Matka.
Mamyż przykrości, ktore im fą nie znane, naprzykład zgryzota.
Julisia.
Mamuniu, zwierzęta pafące się na łące nie maią zgryzoty. Nie profzą aby im powiedać hiftórye.
Matka.
Nie znaią iak potrzebna rzecz ieft bydź nauczanym.
Julisia.
Niewiadomość ich nieobchodzi.
Matka.
Jakże rozumiefz, czyliż maią pociechę ufłużenia drugim, albo fmutek, że źle drugim uczyniły.
Julisia.
Ani tey ani tego. W baykach tylko opifuią ufługę politowanie zwierzęce, ia rozumiem, że kiedy pies ukąsi, a kot zadrapnie, nie żałuie anij pies, ani kot.

Matka.

Słyszałaś, że koza, szczur, kruk, i żółw zawarły z sobą przyiaźń. Dnia iednego zasmucony żołw, że w godzinę obiedną nie widać było kozy, prosił kruka, aby się dowiedział, kruk dostrzegł lataiąc, że koza była w sieci o czem dawszy znać towarzyszom, szczur pobiegł i przegryzł sieć. ---

Julisia.

Mamuniu niezapomniałem o tey baieczce i mogę ią dokończyć,

Matka.

Niepotrzeba. Gdyby kto ci teraz powiedział, że to ani iest bayka, ani powieść lecz prawdziwa historya, uwierzyłabyś?

Julisia.

Nie uwierzyłabym, rozumiałabym owszem, że ze mnie żartuie.

Matka.

A to iako?

Julisia.

Bo przypisuie te zwierzętóm własności których nie maią.

Matka,

Prawda, że zwierzęta, niezdaią się żadney skłonności mieć ku różnego od siebie rodzaiu. Dzieci swoie kochaią,

ſtaranie o nich maią, a gdy iuż mogą ſame dla siebie wyżywienie znalesdź, w tedy iuż o one niedbaią, i tak ſą bezwzględnemi na nie iako i na inné. To więc wſzyſtko co mówię przekonać cię powinno, że wielka rożność ieſt między zwierzętami i człowiekiem.

Julisia.

Widzę że nie tylko rożnią się poſtacią.

Matka.

Człowiek porownywaiąc ſobie z rzeczami, które go otaczaią, znayduie w wielu nieco podobieńſtwa. Zwierzęta rodzą się i umieraią, znaią rozmaité potrzeby, które są także ludzi potrzebami. Porownywaiąc się z roślinami tak ieſt ſłaby w dziecińſtwie, rośnie i zmacnia się i niknie, i tóż się dzieie z ciałem człowieka. Człowiek porownywaiąc siebie z rzeczami będącemi na świecie, uznaie że ma podobieńſtwo do nich; wszyſtkie bowiem dzielą się na części, iako ciało człowieka. Lecz uważaiąc w człowieku to czego nie maſz w zwierzętach, a tem bardziey w roślinach i w innych rzeczach widzialnych. Naprzykład, iakom wyżey mowiła, ciekawość i potrzeba uczenia się, ulitowanie wro-

dzone nad nędzą drugiego, żal, że się złe uczyniło, uciecha czynienia dobrze, nie znayduie się nic złego w zwierzętach; więc człowiek wnośi, że ieſt nad nie i nad to, co go otacza.

Julisia.

Teraz Mamunia mi odpowiedziała na zapytanie czy maią zwierzęta duſzę taką iak naſza. *Matka.*

Rożnica iſtotna która ieſt między zwierzętami i nami, ta. Człowiek ieſt Iſtota *rozumna,* rozumuie ſam o ſobie i o rzeczach otaczaiących go; może naywiększy poſtępek uczynić w wiadomości, a im więcey poznaie rzeczy tym więcey poznać pragnie. Zwierzęta zaś bardzo maią wyobrażeń mało, nie ſą pochopne nauk. Uczą niektóre zwierzęta naśladować dzieł ludzkich, ale rożnem ſpoſobem od ludzi, i nie mogą drugich zwierząt nauczyć, czego ich nauczono.

Julisia.

Kiedy ſroka albo papuga gadaią nie rozumieią tego.

Matka.

Słysząc częſto powtarzané słowo, głos iego wyobraża, i powtarza nierozumieiąc znaczenia.

Julisia.

Więc gdybym nauczyła srokę powtarzać Julisia, nierozumiałaby że to moié Imię.

Matka

Zaiste nierozumiałaby. Poydźmy do drugiey rożnicy. Człowiek nie tylko ma duszę rozumną ktora ieſt zdolna uciech umyſłu, lecz zna i inne ieſzcze, które się nazywaią uciechy serca. Takowe są, przywiązanie do naszych Rodzicow, wdzięczność ku dobroczyńcom, uczynność ku nam podobnym, podziwienie, ktore w nas wzbudza opowiadanie uczynku cnotliwego, uciecha naymilża, gdy ſami co uczyniemy cnotliwego, i wesołość kiedy ſtaiemy się godnemi ſzacunku drugich.

Julisia.

Co raz bardziey uznaię, że my daleko ważemy więcey nad zwierzęta.

Matka.

Mowiłam ci o uciechach ſerca, ale trzeba, żebyś wiedziała, że ſą rzeczy, które zadaią przykrość ſercu, ponieważ dla nas na tém świecie są złe z dobremi pomięſzane. I tak doznaiemy pociechy będąc pomieszanemi od tych ktorych ko-

kochamy, z niemi obcuiąc; a smutek serce nasze opanowywa, kiedy od nas kochani przestaią nas kochać, albo umrą. Toż samo mówiąc o wdzięczności, ponieważ sentymentem iest naysłodszem, niewdzięczność więc arcy iest przykrą dla dobroczyńcy. Sama Julisiu wiesz z doświadczenia, że iak naywiększa iest pociecha, gdy może człowiek sobie mówić, dobrzem uczynił to to, tak naydotkliwszy smutek złego się dopuścić swey powinności nie wykonać. Nazywaią się więc *dobrem moralnem* uciechy, *a złem moralnem* przykrości serca.

Julisia.

Co inszego więc iest *dobro fizyczne*, *złe fizyczne*, bo do samego ciała należy?

Matka.

Tak iest ponieważ dusza może bydź spokoyna, lubo ciało co dolega: i przeciwnie ciało może bydź bardzo zdrowe, a na umyśle człowiek bydź dręczonym. Człowiek w gniewie będący wielkim gdy raniłby kogo, mogłby bydź bardzo zdrowem na ciele, lecz co do umysłu nie byłby przy sobie o tenże czas.

Trzymam po tobie Julisiu, że poięłaś, iż człowiek będąc istotą rozumną i moralną, przewyższa zwierzęta, ponieważ zwierzęta, nie mogą mieć ani wiadomości, ani cnot, których nabydź może człowiek.

LIST

Julisi do Anulki.

RAdosna bardzo dla mnie wiadomość! gdy donosisz, że w krótce mieć będę pociechę usciskania ciebie kochana Anulku? Mamunia także się z tego cieszy, obiecała wszystko powtorzyć czego mię nauczyła iak przyiedziesz do nas. Wielka pociecha umieć wiele rzeczy, i chciałabym udzielić ich moiey przyiaciołce. Spodziewam się że mię znaydziesz odmienną, wiesz że nie byłam łagodną, gniewałam się ieżeli inni moiego zdania, i po moiey nie czynili woli; a teraz staram się tak bydź dobrą iak ty iesteś kochana Anulku. Będziesz ciekawa dowiedzieć się przyczyny moiey odmia-

ny! Oto ustawiczne obcowanie z Mamunią, i mówienie, które tyle wyrazów we mnie sprawiły, że napisałam to wszystko. Prosiłam Mamuni, aby przeczytała i raczyła poprawić, uczyniła z łaski swey, i dodała wiele rzeczy, ktòre mowiła, a ia albom przepomniała, alboli też źle wyraziłam. Bądź zdrowa kochana Anulku, i kochay mię.

Julisia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

REIESTR
TOMU. I.

Chło-

